

INDIANA JONES™

i TAJEMNICA SFINKSA

 AMBER



MAX MCCOY

MAX McCOY

INDIANA JONES

I TAJEMNICA SFINKSA

(INDIANA JONES AND THE SECRET OF SPHINX)

Przełożyła: Joanna Hetman



AMBER

Wydawca światowych
bestsellerów

Wydawnictwo: Amber 2000

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Tajemnicy, gdziekolwiek się ona znajduje

Motto

1. Grobowiec grozy

2. Pan Sokai

3. Sztuczka z liną

4. Ty Fung

5. Wyspa Łazarza

6. Jadoo

7. Dzieci diabła

8. Zaklinacze węży

9. Szakale

10. Ojciec grozy

11. Cuda i ich ofiary

12. Kryształowa czaszka

13. Świat do góry nogami

Epilog.

Tytuł oryginału
INDIANA JONES AND THE SECRET OF THE SPHINX

Redakcja stylistyczna
EWA BOBOCIŃSKA

Redakcja techniczna
ANNA BONISŁAWSKA

Korekta
JOANNA CHRISTIANUS

Ilustracja na okładce
DREW STRUZAN

Opracowanie graficzne okładki
STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Skład
WYDAWNICTWO AMBER

Informacje o nowościach i pozostałych książkach Wydawnictwa AMBER oraz możliwość zamówienia możecie Państwo znaleźć na stronie Internetu <http://www.amber.supermedia.pl>

Copyright © & TM 1999 by Lucasfilm Ltd.

All rights reserved
Used Under Authorization
Published originally under the title
Indiana Jones and the Secret of Sphinx by Bantam Books.

For the Polish edition
© Copyright by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o. 1999

ISBN 83-7245-256-3

WYDAWNICTWO AMBER Sp. z o.o.
00-108 Warszawa, ul. Zielna 39, tel. 620 40 13, 620 81 62
Warszawa 2000. Wydanie
I Druk: Wojskowa Drukarnia w Łodzi

*Tajemnicy,
gdziekolwiek się ona znajduje*

„I porzucił Aaron laskę swoją przed Faraonem, i przed sługami jego, która się obróciła w węża. Wezwał też Faraon mędrców i czarowników, i uczynili i ci czarownicy egipscy przez czary swe także. I porzucił każdy laskę swą, a obróciły się w węże; ale pożarła laska Aarona laski ich”.

Księga Wyjścia, 7:10-12

„Biblia Święta”, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa
1961

1.

Grobowiec grozy

Mount Hua, prowincja Shaanxi, Chiny 1934

– Drzwi - burknął wieśniak i stuknął laską w zbocze Świętej Góry. - Teraz odchodzę.

– Nie - odparł Indiana Jones. Otrzeptał z kurzu kapelusz. Z trudem łapał oddech. Wspinaczka była trudniejsza niż się spodziewał. Z dołu w gasnącym świetle dnia zbocze nie wydawało się aż tak strome. Teraz był środek nocy, a przed nim jeszcze mnóstwo do zrobienia. - Umawialiśmy się, że sprowadzisz mnie też z powrotem - stwierdził Indy. Położył dłonie na kolanach i pochylił się do przodu, by zmniejszyć ból w piersiach. - A może myślisz, że nie wrócę?

Stary wieśniak uśmiechnął się ponuro. Przycisnął do siebie laskę i mętnymi oczami obserwował dyszącego Amerykanina. Wreszcie uśmiechnął się leniwie, demonstrując braki w uzębieniu. Pochylił się do przodu.

– Jones płacić Lo natychmiast - powiedział.

Indy zazgrzytał zębami.

Przyglądając się twarzy Lo z tej odległości, miał takie wrażenie, jakby trzymał w ręku oswojonego szczura, który szczyrzy zęby. Człowiek nie wie, w którym momencie zwierzak zatopi zęby w jego ręce, ale wie, że to się może stać w każdej chwili.

Lo, najlepszy przewodnik w całej prowincji, był notorycznym kłamcą. Gdy trzy dni wcześniej Indy znalazł się w wiosce Lintong, Lo przysięgał, że wchodził już do wszystkich najważniejszych, kryjących skarby

grobowców na równinie Wei Bei. I chociaż Lo potrafił wymienić imiona wszystkich pochowanych w grobach osobistości i opisywał mrozące krew w żyłach szczegóły każdego z tych miejsc, Indy był przekonany, że wiele czasu upłynęło od chwili, gdy wieśniak oglądał wnętrze nie splądrowanego grobu. O ile w ogóle w nim był. Gdyby naprawdę odwiedził jedno z tych miejsc, nie mieszkałby na stercie śmieci i nie musiałby żebrać u obcych o pieniądze na opium.

– Nie widzę tu żadnych drzwi - powiedział Indy.

Wyjął z tylnej kieszeni dużą chustkę i otarł krew z dłoni, które poranił, chwytając się występów skalnych podczas wspinaczki. Łokcie i łydki miał obolałe od utrzymywania z trudem równowagi; a mięśnie drżały mu jak galareta.

– Drzwi tam - odparł Lo. - Dotknij.

Indy opuszkami palców wyczuł zarysy drzwi. Zapomniał o siniakach i otarciach. Jego dłonie, badające powierzchnię skały, przypominały dwa ciekawskie pająki. Wyczuł idealny okrąg średnicy około jednego metra, wyznaczający krawędź drzwi. Przesunął dłonie ku środkowi. Prawą dłonią wymacał kamienny uchwyt i mocno zacisnął na nim palce.

Pociągnął.

Wydawało się, że drzwi były przytwierdzone tak mocno do zbocza góry jak ona sama do podłoża.

Lo zachichotał. Zakrył usta lewą dłonią i nie przestawał się śmiać. Nie ulegało wątpliwości, że drzwi sobie z towarzysza podróży.

– Mówiłem ci - stwierdził. - Nie dadzą się otworzyć. Niektórzy mówią, że potrzeba do tego czarów, inni, że to tylko kontur drzwi wyryty w zboczu góry.

– A co ty sądzisz? - zapytał Indy.

– Powiem ci, jak dostanę pieniądze.

– W porządku - odparł Indy. Wyjął z kieszeni skórzanej kurtki zwitek banknotów różnych walut i przeliczył je. - Dlaczego wcale nie jesteś zmęczony? Ja jestem wykończony.

– Amerykanie oddychają za płytko, dlatego tracą oddech - Lo zademonstrował rękami sposób, w jaki powietrze wchodzi i wychodzi z przepony. - Trzeba wciągać powietrze aż do żołądka i karmić *chi* - siłę życiową.

Indy potrząsnął głową.

– Nieźle jak na narkomana - stwierdził i wcisnął wieśniakowi banknoty.

Lo chwycił kolorowy zwitek, przeliczył i schował za pasek.

– Nie zawsze narkoman - powiedział Chińczyk. - Kiedyś najlepszy złodziej grobów. Potem przyszli Japończycy.

Lo splunął.

– A teraz Lo nie może w uczciwy sposób zarobić na utrzymanie.

Od momentu, gdy Cesarska Armia Japonii zawładnęła Mandzurią, pojedyncze oddziały regularnie przekraczały granicę w poszukiwaniu łatwych łupów w legendarnej krainie grobowców. W regionie tym, leżącym na końcu Jedwabnego Szlaku nieco na północ od Czangan, stolicy prowincji, Xi'an, nazywanej przed wiekami - „Miastem Wiecznego Pokoju” usytuowane były groby jedenastu dynastii chińskich rodzin królewskich. Hua, Święta Góra wyrastała nad równiną niczym smok chroniący swoje legowisko.

Wszystkie łatwo dostępne groby już dawno zostały splądrowane. Zazwyczaj wystarczyło jedynie rozkopać rzucające się w oczy kopce, zwane przez miejscowych „kretowiskami”. Indy był jednak przekonany, że gdzieś głębiej, poza zasięgiem łopat wieśniaków, musiało jeszcze coś zostać. Może pod korytem rzeki albo we wnętrzu góry.

Stawiał na tę drugą możliwość.

Nie były to tylko domysły. Dotarł do tego miejsca kierując się wskazówkami odnalezionymi na ostrzu noża. Według inskrypcji Święta Góra jest grobowcem Qin Shi Huanga, pierwszego cesarza Chin. Nóż ofiarował Indy'emu potomek Dżyngis-chana podczas wyprawy przez Pustynię Gobi.

– Japończycy wrócą tu o świcie, więc lepiej weźmy się szybko do roboty - stwierdził Indy. - Opowiedz mi o tych drzwiach.

– To tylko rysunek wyryty na skale - powiedział Lo arogancko. - Siedemnaście lat temu Lo ze swoimi kuzynami przyszedł tu i przywiązał do uchwytu grubą linę. Potem położyli tam za głazem potężny pień, przywiązaliśmy do niego koniec liny i wszyscy napieraliśmy na ten pień.

– I co?

– Lina pękła - odparł Lo i odwrócił się. - Do widzenia.

– Nie tak prędko - powiedział Indy. Płynnym ruchem włożył kapelusz na głowę i tą samą dłonią chwycił wieśniaka za ramię.

– Co jeszcze? - spytał Lo.

– Jeszcze kilka pytań - Indy wyciągnął ze skórzanej torby notes. Trzymając ołówek w ustach, odszukał stronę zaznaczoną gumową zakładką. Był tam szkic okrągłych drzwi wraz ze wszystkimi wymiarami. Indy skopiował rysunek ze starożytnego arabskiego rękopisu. Rękopis nie miał związku ze skarbem Qin Shi Huanga, ale Indy już od dawna był przekonany, że projektanci kryjówek myśleli w podobny sposób, nawet jeżeli pochodzili z innych epok i odmiennych kultur. Najważniejszą wskazówką dla Indy'ego była ostatnia linijka napisu na ostrzu noża: „Oddech Świętej Góry chroni grobowiec Qin”.

Indy wyciągnął miarkę i porównał wymiary drzwi w zboczu góry z tymi na rysunku. Gdy skończył, wyjął z torby kawałek kredy i odmierzając starannie odległość od środka uchwytu, narysował X na prawej połowie

drzwi. Wyjął metalowy kątomierz, odmierzył kąt, przyjmując brzeg miarki jako podstawę, po czym wykonał kolejny znak X w tej samej odległości, ale przesunięty o czterdzieści pięć stopni od poprzedniego. Wreszcie zmierzył odległość między dwoma znakami, podzielił ją na pół i narysował tam większy znak X.

– Qin, staruszkule - powiedział. - Iks oznacza właściwe miejsce.

– Co to za czary? - spytał Lo.

– Geometria - odparł Indy, odkładając notes. Wyjął z torby młotek i dłuto, którego końcówka była tak ostra jak igła.

– Teraz trochę pohłasuj. Nie potrwa to długo, ale może zwrócić czyjąś uwagę. Miej oczy szeroko otwarte.

Lo skinął głową.

Indy umieścił końcówkę dłuta w miejscu oznaczonym kredą, wziął potężny zamach i uderzył młotem w dłuto tak mocno, że posypały się iskry.

Lo zakrył uszy.

Indy nie przestawał walić młotem. Robił to coraz szybciej, z rosnącym zapalem. Spod dłuta sypały się iskry i odłamki granitu.

Po kilkunastu uderzeniach przerwał i odkaszlnął, żeby oczyścić płuca z pyłu. Przyjrzał się uważnie wgłębieniu, które utworzyło się w kamiennych drzwiach.

– Może wybrałem niewłaściwe miejsce, ale z książki, którą znalazłem w Kairze... - zacisnął zęby. - Nie, to dobre miejsce. Nie mogę się mylić.

Znow przyłożył dłuto do znaku, zamachnął się młotem i uderzył. Nastąpił huk jak wystrzał z dubeltówki i dłuto przebiło skałę, po czym zniknęło, jak gdyby niewidzialna siła wyrwała je z ręki Indy'ego i wciągnęła do środka.

Lo zakrył usta dłonią i zrobił krok do tyłu.

Nocne powietrze było wsysane ze świstem przez utworzony otwór. W ciągu kilku sekund powierzchnia drzwi wokół otworu pokryła się białą warstwą szronu, który momentalnie zamieniał się w lód.

– Czarna magia - wyjąkał Lo.

– Niezupełnie - odparł Indy, gdy powietrze przestało być wciągane do środka.

Złapał za uchwyt i pociągnął. Okrągłe drzwi, dopasowane do skrywającego się za nimi otworu, niczym stożkowaty korek wsunięty do wąskiego tunelu, poruszyły się. Lo rzucił się do pomocy i po chwili stu pięćdziesięciokilogramowy korek spoczywał między nimi.

– Ale jak? - zapytał Lo.

– Próżnia - odparł Indy. - Wejście do grobowca zostało zapieczętowane przy pomocy częściowej próżni. Drobną różnicą ciśnień i niepotrzebne były żadne zamki ani łańcuchy. Sam przekonałeś się, że nawet kilka koni nie zdołałoby odciągnąć tych drzwi. Wystarczyło naruszyć pieczęć, wyrównać różnicę ciśnień i wszystko poszło jak z płatka.

Lo skinął głową.

– Dłuto przebiło zalepione zaprawą dziury, w które budowniczowie grobu wsunęli rurki, by wypompować z wnętrza powietrze - stwierdził Indy i wyciągnął zasilaną baterią latarkę. Przymocował reflektor do kapelusza, baterię zaś przypiął do paska. Nim włączył zasilanie, przeciągnął przewód przez szlufkę na plecach, by ten nie wisiał mu przed oczami.

– Co Jones myśleć jest w środku? - spytał Lo, a jego oczy błyszczały. - Opowieści, jakie słyszałem od dziecka: góry złota, rzeki srebra, niezliczone klejnoty.

– Zamierzam się przekonać - stwierdził Indy, wspinając się do tunelu. Nagle popatrzył ostro na Chińczyka. - Jeśli poza mną ktoś wejdzie do środka, będzie to oznaczało kłopoty. I zachowam się adekwatnie do

sytuacji. - Położył prawą dłoń na kaburze, w której spoczywała trzydziestka ósemka. - Jeżeli spotkam tam kogoś, to znaczy kogoś, kto nie należy od kilku tysięcy lat do świata zmarłych, zastrzelę go. Rozumiesz?

Lo skinął głową.

– Dobrze - odparł Indy. - Zostań tu na straży. Jeżeli coś będzie się działo, krzyknij. Jeżeli nie wrócę na godzinę przed brzaskiem, odejdz.

Indy spojrział na zegarek. Było po pierwszej. Wciągnął głęboko świeże powietrze i dał nura do tunelu. Po chwili tunel zmienił się w szeroki korytarz z kręconymi prowadzącymi w dół schodami. Sklepienie grobowca pozwalało Indy'emu swobodnie poruszać się w pozycji wyprostowanej bez obawy uderzenia się w głowę. Do chwili, gdy Indy pokonał pierwszą pętlę schodów, wydawało się, że korytarz nie kryje w sobie nic przerażającego.

Nagle znalazł się oko w oko z pierwszymi postaciami, z niekończącego się, jak się wydawało, rzędu żołnierzy z terrakoty. Stali na baczność po obu stronach korytarza; na ich twarzach zastygła agresja. Oczy żołnierzy zrobione były z niebieskich, czerwonych i zielonych wypolerowanych kamiennych kulek, które wciśnięto kiedyś w wilgotną glinę. Policzki mieli wypukłe, jakby szykowali się do dmuchania ogromnego balonu, a usta złożone w ciup. Za glinianymi wargami niektórych figur widać było takie same kamienne kulki, z jakich wykonano oczy. Przymocowany do podłogi potężny bambusowy kij, prawdopodobnie, jak przypuszczał Indy, utrzymywał figury w pozycji pionowej. Nawet ich równowaga jest nieprawdziwa, pomyślał Indy. Autentyczna była jedynie broń, którą trzymali żołnierze. Miecze lśniły, dzidy wzbudzały grozę, cięciwy łuków były napięte, a strzały wycelowane w środek korytarza.

Indy'emu szczególnie nie spodobały się te łuki.

Zauważył, że nie ma dwóch jednakowych żołnierzy; podobne były tylko kamienne oczy i wydęte policzki. I rzecz nie w tym, że postacie miały różne

pozy, odmienną broń i ubranie; każda z figur miała niepowtarzalną twarz, własną osobowość, jak gdyby rzeźbiarz portretował autentyczne modele. Tyle że nadał im wygląd karykaturalny.

Kilka metrów dalej Indy znalazł na podłodze swoje dłuto, leżące pomiędzy brązowymi odłamkami. Uklęknął, schował je z powrotem do torby i wstał, by przyjrzeć się lepiej glinianemu żołnierzowi, w którego uderzyło dłuto.

Figura upadła na stojącego po prawej towarzysza. Dłuto trafiło żołnierza poniżej uzbrojonego ramienia i roztrzaskało gliniany pancerz ochraniający klatkę piersiową. Indy oświetlił powstały w ten sposób otwór.

Wewnątrz lśniły ludzkie kości.

Indy znał ludowe podania o Qin, pierwszym chińskim cesarzu, twórcy Muru Chińskiego, który władał tą krainą dwieście lat przed narodzeniem Chrystusa. Według legendy budowa stanowiącego miniaturę wszechświata grobowca, przy której pracowało siedemset tysięcy robotników, trwała blisko czterdzieści lat. Wraz z cesarzem pochowano tam dwieście tysięcy jego najlepszych żołnierzy. Nie było nic niezwykłego w tym, że władców grzebano ze strażnikami, służbą czy członkami rodziny, by uprzyjemnić im życie pozagrobowe. Indy jednak zawsze wątpił w przekazywaną w podaniach ludowych liczebność pośmiertnej armii pierwszego cesarza Chin. Teraz jednak, spacerując pomiędzy rzędami pokrytych gliną ciał, nie był już tego taki pewien. Miał wrażenie, że żołnierze ożyją nagle, by bronić grobu swego władcy.

Ponieważ grobowiec był hermetycznie zamknięty, na glinianych postaciach nie było najcieńszej nawet warstwy kurzu. Ściany i podłoga były tak nieskazitelne, jak gdyby budowę skończono zaledwie kilka dni temu. Indy miał niepokojące uczucie, że znalazł się we współczesnym, dobrze

zaprojektowanym muzeum, nie zaś w grobowcu, którego przez tysiące lat nikt nie niepokoił.

Chciał opuścić grobowiec przed wschodem słońca, więc ruszył naprzód.

Niemal nie poczuł jedwabnej nitki tuż przy twarzy, nie zauważył wymierzonego w siebie łuku, trzymanego przez pozbawione życia dłonie. Ale gdy nic dotknęła jego nosa, dostrzegł błyski, a w końcu lśniący grot strzały wymierzonej w jego splot słoneczny.

Cięciwa łuku jęknęła, ale Indy już rzucał się na schody. Strzała przeleciała mu tuż nad głową, przebiła główkę kapelusza, po czym roztrzaskała brzuch glinianego wojownika stojącego po drugiej stronie. Żołnierz, trzymający nad głową topór wojenny, przewrócił się.

Indy odturlał się w bok, i potężny topór wbił się w stopień w miejscu, w którym sekundę wcześniej była szyja mężczyzny. Wojownik roztrzaskał się; pozostała po nim sterta glinianych skorup i ludzkich kości.

Indy usiadł, otrzepał ubranie z brązowego pyłu i potrząsnął głową.

– Jestem już na to trochę za...

Stopień, na którym siedział obniżył się o kilka cali i Indy usłyszał syk powietrza w bambusowych tulejach.

– ...stary.

Z ust jednego z żołnierzy wypadła kamienna kulka i stoczyła się trzy stopnie w dół, zanim Indy ją złapał. Była zielona z białymi żyłkami. Indy obracał ją w palcach. Była solidna i gładka; w dzieciństwie uznałby ją za „Strzelca”.

– To ma być straszne? - spytał, podrzucając kulkę i chwytając ją w otwartą dłoń. - Pokaż coś lepszego, Qin.

Kolejna kulka potoczyła się obok niego, tym razem czerwona.

Nagle usłyszał odgłos setek kulek uderzających o podłogę ponad nim i pędzących w dół korytarza. Wstał i zrobił jeszcze kilka kroków w dół

tunelu. Każdy schodek obniżał się nieco bardziej. Z ust wszystkich żołnierzy runęła lawina kulek i pędziła w dół po schodach, grzmiąc jak burza.

Czerwono-niebiesko-zielona rzeka otoczyła Indy'ego.

Stał przez chwilę, wpatrując się w pędzące kulki; w końcu ich siła okazała się zbyt potężna. Indy stracił równowagę; rwąca rzeka kulek, rozbijająca się o ściany i przewracająca glinianych wojowników jak kręgle, porwała go ze sobą. Miecze i noże wypadały z martwych dłoni, strzały świstały we wszystkich kierunkach. Z potrząskanych glinianych figur wysypywały się kolejne kulki i dołączały do pędzącego nurtu.

Hałas był aż bolesny.

Dywan z kamiennych kulek sprawił, że tunel był teraz śliski niczym wypolerowana tafla lodu. Indy próbował zmniejszyć tempo spadania, chwytając się figur żołnierzy, ale gliniane ręce i nogi odrywały się od korpusów. Indy skrzywił się - spadający miecz przeciął jego skórzaną kurtkę i drasnął skórę na prawym ramieniu.

– Okay, to jest straszne - powiedział Indy.

Obu rękami wcisnął kapelusz na uszy i przyciągnął nogi do piersi. Nurt niósł go szybko w dół spiralnego korytarza.

Korytarz przechodził dalej w lejkowaty szyb. Tysiące kulek ześliznęło się z jego krawędzi i niczym strumień wody zniknęło w dole. Niesione przez nurt przedmioty - broń, odłamki gliny, fragmenty kości - również wpadały do czeluści.

Balansując nad przepaścią, Indy wyjął zza paska bat i na oślep strzelił z niego, szukając punktu zaczepienia. Bat zaczepił się o coś nad jego głową i wkrótce Indy zwisał przy przeciwległym brzegu szybu. Powódź kulek opływała go i znikwała w czeluści.

Indy spojrzał w mrok.

– Cokolwiek jest tam na dole - powiedział - nie jest to nic przyjemnego.

Obracał się przez chwilę, aż wreszcie mocno chwycił pięciometrowy bat i zaczął podciągać się na rękach. Spojrzał w górę. Światło lampki elektrycznej odbiło się od kilkunastu lśniących punktów. Indy pomyślał najpierw, że to nocne niebo, gdyż świetliste punkty tworzyły znajome konstelacje. Ale gdy odwrócił głowę, światła zgasły.

Zbocze szybu zaczęło łagodnieć. Chwilę później, pokonując ostatnie metry, Indy poczuł pod stopami grunt. Gdy dotarł do szczytu, stanął.

Miał wrażenie, że wydostał się z tunelu w zaświatach. Bat zaczepił się o skrzydło kamiennego smoka, który przycupnął na szczycie leja na tylnych nogach. W zębach trzymał księżyc. Indy przyklęknął i odczepił bat. Zamarł w bezruchu, gdy światło lampki padło na znajdujący się w smoczych zębach księżyc. Indy był zachwycony. Na wykonanym z kości słoniowej księżycu wyrzeźbiono morza i kratery. Był wielkości melona. Ostre światło lampki odbijało się od jego powierzchni, dzięki czemu pomieszczenie było skąpane w łagodnym blasku przypominającym światło księżyca. Nagle Indy dostrzegł kątem oka tysiące lśniących punktów. Odwrócił głowę.

Spostrzegł, że znajduje się na ozdobionym klejnotami morzu, które przemierzały miniaturowe żaglowce ze srebra i złota. Powyżej nocne rozgwieżdżone niebo lśniło blaskiem brylantów. Sklepienie przypominało odwróconą do góry dnem miskę wysadzaną od środka drogimi kamieniami. Indy mógł niemal dotknąć zenitu. Podłoga pomieszczenia była płaska i miała jakieś sto pięćdziesiąt metrów średnicy. Brązowozielone płaszczyzny oznaczały kontynenty, ale nie były ułożone w taki sposób, do jakiego Indy przywykł od czasów szkolnych. Przeciwnie, wszystkie były pomieszane - Afryka, Indie, Azja; i otaczał je jeden ocean. Brakowało obydwu Ameryk oraz obszarów podbiegunowych; świat najwyraźniej kończył się na

południowej Europie. Na kontynentach w różnych punktach umieszczono wykonane z drogocennych metali oznaczenia.

Indy stał przy wybrzeżu starożytnych Chin. Miniaturowy Wielki Mur wił się po jodeitowych wzgórzach. Jangcy i jej dopływy były wykonane z płynnej rtęci. Pekin, centrum wszechświata, był oznaczony za pomocą lśniącej świątyni.

Indy był oszołomiony. Gdyby choć przez chwilę pomyślał bardziej racjonalnie, poczułby zawrót głowy wobec ogromu bogactwa zgromadzonego w komnacie, wobec jego wartości materialnej i historycznej. Ale Indy był zafascynowany doskonałością świata stworzonego przez pierwszego cesarza Chin; wydawało mu się, że śni, leżąc we własnym łóżku w maleńkim domku w Princeton, w stanie New Jersey. Niczym Guliwer, przekroczył próg leja i pochylił się, by dotknąć bezcennego świata.

Jego ciężar uruchomił jakieś starożytne urządzenie do ustawiania poziomów. Za plecami Indy'ego księżyc wypadł ze smoczego pyska i zaczął spadać w czeluść leja. Indy rzucił się, by złapać cudeńko z kości słoniowej, dotknął go opuszkami palców, ale nagle coś pociągnęło go gwałtownie do tyłu. Pasek jego torby zaczepił się o jeden ze smoczych pazurów. Indy zawisł do góry nogami pod kamienną poczwara, księżyc zaś okrążył wlot leja, po czym zniknął.

Indy zamknął oczy i słuchał, jak jasna kula grzechocze, spadając i uderzając o znajdujący się pod nim system rur. W końcu rozległ się ostry, mechaniczny dźwięk, a potem plusk wody.

Niedobrze, pomyślał Indy, próbując odzepić pasek torby. Nie był pewien, czy bezpieczniej będzie pozostać w komnacie pełnej skarbów, czy lepiej zaryzykować i spuścić się w dół, stając oko w oko z licznymi pułapkami, które na pewno czyhały tam na intruza.

Lekka mgiełka już osiadała na jego policzkach. Indy wciągnął powietrze w płuca i zamknął usta. W jednej chwili woda zaczęła przeciekać, a w końcu przeciek przerodził się w ulewę. Indy chwycił kapelusz w tym samym momencie, gdy ten został mu zdarty z głowy. Wisiał uczepiony paska od torby, niczym liść uwięziony w rynnie podczas burzy. Mimo huku wody słyszał pomruk potężnej maszynierii gdzieś w dole. Wyobraził sobie kości pękające niczym zapałki, kruszone kamiennymi zębiskami.

Czuł, że pod naporem wody pasek utrzymuje go coraz słabiej. Próbował podciągnąć się, by chwycić pazur kamiennego smoka. Bez skutku. Gdy rozpaczliwie potrzebował już tlenu, otworzył usta, by wciągnąć powietrze. Za karę nałykał się wody i zaczął się krztusić.

Nagle woda opadła.

Usłyszał, że księżyc z kości słoniowej z powrotem wpada w znajdujące się powyżej szczęki kamiennego smoka. Pęd powietrza zmniejszył się, a po chwili ustał. Indy, zwisając niczym mokra gąbka, odetchnął z ulgą. Cieszył się, że nie udało mu się odczepić paska torby od smoczego pazura.

– Wreszcie - westchnął. - Chwila przerwy.

Nagle pasek, który wytrzymał napór wody i ocieranie o kamień, pękł. Smok drgnął, reagując na gwałtowny ruch i księżyc znowu wysunął się z jego paszczy i wpadł do leja.

Indy zaczął opadać w mrok i zniknął w szybie. Księżyc podążył za nim. Kilka metrów dalej szyb zakręcał. W drżącym świetle lampki Indy dostrzegł małe, ruchome drzwiczki, tej wielkości, by księżyc mógł się przez nie wsunąć. Obrócił się, chwycił księżyc i przycisnął go do siebie jak obrońca na boisku, stający twarzą w twarz z przeważającą siłą przeciwnika. Indy zdawał sobie sprawę, że uchylenie drzwiczek ponownie spowoduje napływ wody i tym razem, uwięziony w wąskim szybie, utonie.

Przestał już niemal spadać na łeb, na szyję, gdy szyb znowu zakręcił. Indy wylądował na czworaka w warstwie błota i nieokreślonej, ohydnej mazi. Znajdował się w jakimś innym pomieszczeniu. Warstwa miękkiej, obrzydliwej mazi pokrywała dno i boki głębokiego dołu. Wciąż klęcząc, Indy wyprostował się i przyjrzał się uważnie swym dłoniom. Ze szlamem zmieszane były drobne fragmenty kości. Wytarł ręce o spodnie, podniósł księżyc i schował go do torby. Związał pęknięty pasek i zarzucił go sobie na ramię.

Rozejrzał się uważnie dookoła.

Po obu jego stronach znajdowały się potężne, kamienne walce, które najwyraźniej miały zetknąć się ze sobą pod naporem wody i zmiażdżyć intruza. Powyżej na jadeitowym tronie siedział wyniośle Qin, sprawując kontrolę nad tym ponurym wymiarem sprawiedliwości. Cesarz miał na sobie napierśnik oraz ozdobny hełm. Do jego czaszki wciąż przylegały fragmenty skóropodobnej substancji oraz kosmyki czarnych włosów. U jego stóp spoczywały szkielety kilku nałożnic.

Sklepienie pomieszczenia tworzyło kopułę. Na samym środku znajdował się sześcioboczny, mały otwór. Przy każdym boku widniał jakiś symbol. Indy rozpoznał osiem symboli występujących w *I Ching*, czyli Księdze Przemian.

Indy wspiął się po kamiennych, śmiercionośnych walcach i znalazł się we właściwej komnacie. Stanął przed cesarzem i uchylił kapelusza.

– Co za ego - odezwał się. - Musiałeś zostawić sobie jakieś wyjście na wypadek, gdybyś zmartwychwstał. W końcu byłeś bogiem.

Zaczął dokładnie przeszukiwać pomieszczenie, wreszcie znalazł to, czego szukał. Po prawej stronie tronu, w zasięgu martwych palców cesarza znajdowało się pięć dźwigni z brązu. Indy uklęknął i przyjrzał im się uważnie. Mógł się założyć, że tylko jedna z nich prowadzi do upragnionego

wyjścia, a pozostałe cztery są śmiertelnymi pułapkami. Nawet jeśli intruz doszedłby do tronu cesarza, wciąż były cztery szanse do jednej, że nie wyjdzie żywy z grobowca władcy.

Indy wstał i popatrzył w puste oczodoły cesarza.

– Co ci chodziło po głowie?

Stawiał na liczby trzy i pięć, które Qin i jemu współcześni uważali za święte. Ale którą z tych dwóch wybrać?

Spojrzał na zegarek. Szkiełko było zbite, a wskazówki zatrzymały się tuż przed czwartą. Upłynęło sporo czasu, od kiedy zegarek stanął, ale Indy nie był pewien, ile dokładnie.

Sięgnął do piątej dźwigni, ale zawahał się.

– Nie urządźbyś tego tak prosto - powiedział w końcu. - Może to nie ma znaczenia, czy wybierze się piątą czy trzecią, może wszystko zależy od tego, gdzie się stoi albo... siedzi.

Tron otaczało pięć szerokich płyt kamiennych - dwie z przodu, dwie po bokach i jedna z tyłu.

– Posuń się, Qin.

Indy wdrapał się na jadeitowy tron, po czym najdelikatniej jak mógł usiadł na cesarskich kolanach. Mimo to z ciała uniosła się chmura kurzu. Indy skrzywił się. Pochylił się, prawą ręką chwycił mocno dźwignię numer jeden i pociągnął.

Płyta przed tronem zapadła się z hukiem. Przypominało to zapadnię pod szubienicą. W tej samej chwili otworzyła się szczelina w środku sklepienia. Pomieszczenie zadrżało, gdy przez otwór zaczęły sypać się do wnętrza tony piasku, które znikwały w otwartym szybie przed tronem.

Nagle piasek przestał się sypać, a tron zaczął się wznosić.

W górze Indy dostrzegł migoczące gwiazdy na tle różowiejącego nieba. W dole widział otwarty szyb. Miał ochotę skoczyć w dół, ale powstrzymał

się. Z całego grobowca najbezpieczniej było z pewnością obok cesarza.

Tron unosił się pod znacznym kątem tak, że mimo iż piach wpadał do szybu tuż przed nim, nie ulegało wątpliwości, że tron przejdzie przez ten sam otwór.

Wznosząc się, nabierał prędkości.

Przemknął przez otwór w suficie, sześć metrów nad ziemią, po czym nadal unosił się pod tym samym kątem, po skosie. Indy czuł już w płucach rześkie, nocne powietrze. Na końcu szybu widział kawałek nieba, na którym świt dogaszał gwiazdy.

Tron poruszał się teraz jeszcze szybciej, ostatnie trzysta metrów szybu pokonując zaledwie w kilka sekund. Nagle znalazł się na powierzchni, na zboczu góry. Zatrzymał się gwałtownie, spowity kurzem unoszącym się ze zwłok cesarza. Czaszka władcy oderwała się od korpusu, stoczyła się po tronie, potem dalej po zboczu i zniknęła.

Indy spadł z kolan cesarza, zdołał jednak chwycić się dźwigni numer pięć. Ta była niewłaściwa. Usłyszał kliknięcie maszyny, a po chwili tron zaczął cofać się z powrotem do wnętrza góry.

Poniżej Indy usłyszał sapanie.

– Aj!

Oddział żołnierzy japońskich, który wcześniej trzymał pod strażą wieśniaka Lo, wpatrywał się w cudowny spektakl: niezwykle ukazanie się tronu z wnętrza góry, cesarskie szczątki, wreszcie Indy'ego dyndającego na tle różowiejącego nieba. Lo skorzystał w okazji i uciekł. Żaden z żołnierzy nie rzucił się w pogoń.

Mając wybór między pewną śmiercią poprzez zgniecenie o zbocze góry a prawdopodobną śmiercią z rąk Japończyków, Indy wybrał to ostatnie. Puścił dźwignię i skoczył do stóp żołnierzy.

Góra zadrżała, wydając z siebie głuchy odgłos. Zdawało się, że szyb znikła. Nagle okrągłe drzwi, przez które Indy dostał się do wnętrza i które Lo przed przyjściem żołnierzy wsunął z powrotem na miejsce, zatrzęsły się i zostały wessane do środka - w grobowcu znowu zapanowała poprzednia różnica ciśnień.

Indy popatrzył na żołnierzy z krzywym uśmiechem i zasalutował po japońsku:

– *Ohio gozaimash 'ta.*

Jeden z żołnierzy ruszył na Indy'ego z bagnetem, ale dowódca oddziału odrzucił broń na bok.

– Nie mówić nam dzień dobry! - dowódca wrzasnął na Indy'ego po angielsku. - Nic nie mówić! Jak się nazywasz?

Indy milczał.

– Jak się nazywasz?

– Miałem nic nie mówić.

– Milczeć!

Dowódca wymierzył Indy'emu kopniaka w żebra.

– Nie musiałeś tego robić - powiedział Indy, zwijając się z bólu.

– Jak się nazywasz?

– Mała Ruth - odparł Indy.

– Wstawaj.

Indy wstał.

Dowódca wyjął webleya z kabury Indy'ego i wsunął sobie za pasek. Następnie zaczął grzebać w jego torbie i wyciągnął księżyc z kości słoniowej. Podniósł go do góry, żeby inni mogli zobaczyć.

– Hej - odezwał się Indy. - To nadal są Chiny i ta rzecz należy do Chińczyków.

– Teraz to własność Cesarskiej Armii Japonii - odparł dowódca. -
Wtargnąłeś na terytorium Mandżukuo, głupi Amerykańcu. Jesteś
aresztowany. Dopilnujemy, żebyś bezpiecznie wrócił do siebie.

2.

Pan Sokai

Cela w więzieniu była ciemna i wilgotna. Indy siedział zupełnie sam. Od kiedy został schwytany na górze Hua, widział jedynie tył ciężarówki Cesarskiej Armii oraz wnętrze więzienia, do którego został wtrącony w środku nocy. Odebrano mu wszystko, nawet ubrania i notatki. W zamian otrzymał jedynie pasiak, niewiele lepszy od łachmanów.

Światło i świeże powietrze wnikało do celi przez małe zakratowane okienko wysoko nad głową więźnia. Nie było prądu. Gdy słońce zachodziło i za oknem dogasały ostatnie smugi światła, cela do następnego ranka pogrążała się w mroku. Nocą panował tam chłód, a kiedy padał deszcz, woda lała się przez okienko i wsiąkała w stertę słomy, która służyła za posłanie.

Latrynę stanowiła miska, którą opróżniano raz dziennie.

Indy nie miał pojęcia, gdzie się znajduje ani co Japończycy zamierzają z nim zrobić. Nie widział innych więźniów. Dwa razy dziennie strażnicy przynosili mu miskę zimnego ryżu i metalową puszkę z cuchnącą wodą. Indy był wdzięczny, że w ogóle zechcieli go karmić. Podejrzewał, że utrzymują go przy życiu, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o pełnym skarbów grobowcu. W przeciwnym razie zabiliby go od razu.

Piątego dnia dwaj żołnierze wywlekli go z celi. Bardzo się różnili od niechlujnych, nierozgarniętych strażników, którzy codziennie przynosili Indy'emu zimny ryż; ci Japończycy byli starannie ubrani i ostrzyżeni, i mieli bystre, ostre spojrzenia. Młodszy, gładko ogolony, miał wyjątkowo delikatne rysy i czarne włosy. Indy dopiero po chwili zorientował się, że to kobieta. Miała na sobie kombinezon lotniczy z grubego płótna narzucony

na ciemny mundur. Na jej kołnierzyku Indy dostrzegł żółtoczerwoną naszywkę podporucznika. Drugi żołnierz był potężniejszy, o kilka lat starszy i świetnie zbudowany. Był łysy, o mocnej szczęce i patrzył spode łba, bez przerwy mrużąc oczy. Miał na sobie ciemnobrązowy mundur oficerski. Na jego lewym ramieniu widniała opaska ze wschodzącym słońcem. Oboje mieli na głowach czapki z daszkami ze złotą gwiazdą na denku.

Gdy żołnierze wlekli Indy'ego korytarzem, zwykli strażnicy pokornie ustępowali im z drogi i salutowali, ale nie patrzyli przybyszom w oczy.

Zły znak, pomyślał Indy.

Żołnierze wepchnęli go do pomieszczenia, w którym nie było nic poza dwoma krzesłami o prostych oparciach i drewnianą ławką. Nie było okien; pomieszczenie oświetlała zawieszona u sufitu lampa naftowa. Knot lampy był od dawna nie przycinany, więc płomień palił się nierówno i od czasu do czasu do sufitu unosiły się kłęby czarnego dymu.

Żołnierze brutalnie posadzili Indy'ego na jednym z krzesel, po czym stanęli za nim na baczność.

Na ławce leżało ubranie Indy'ego, jego torba, papiery, bat, kabura, rewolwer, a nawet księżyc z kości słoniowej. Ubranie było uprane i starannie odprasowane.

W drugim końcu pokoju stał mężczyzna w czarnym trenczu do kolan. Był młody, mniej więcej dwudziestopięcioletni, średniego wzrostu i delikatnej budowy ciała. Miał brązowe oczy, krótko przycięte czarne włosy i ogorzałe policzki. Pomimo dzielącej ich odległości, Indy poczuł woń spalin i benzyny. Na szyi mężczyzny wisały okulary lotnicze, spod których błyskała biel jedwabnego szalika. Mężczyzna palił papierosa i robił to z taką wystudiowaną nonszalancją, że Indy'emu skojarzył się z hollywoodzkim gwiazdorem.

Dał żołnierzom znak, żeby wyszli. Ukłonili się i opuścili pomieszczenie.

– Jak samopoczucie?

Mężczyzna mówił po angielsku bez śladu obcego akcentu.

– Nieźle - odparł Indy.

– To dobrze.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni trencza i niedbałym ruchem wyjął paczkę papierosów Lucky Strike. Podał ją Indy'emu.

– Nie palę - powiedział Indy.

– Wcale nie myślałem, że pan pali, doktorze Jones - powiedział mężczyzna, chowając papierosy z powrotem do kieszeni. - W pańskich rzeczach nie znalazłem nic, co by na to wskazywało. Ale w więzieniu palenie to utarty zwyczaj. Jedną z nielicznych swobód, jaką cieszą się aresztowani.

Z przyklejonym do warg papierosem mężczyzna wszedł na krzesło i przykręcił knot lampy. Płomień palił się teraz jaśniej i mniej kopcił.

Indy zamrugał, nie przyzwyczajony do tak jasnego światła. Przesunął dłonią po policzku, wyczuwając coraz dłuższy zarost, przeradzający się już w brodę.

– Przejdźmy do rzeczy - powiedział Indy.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Proszę wybaczyć - powiedział. - To trochę niezręczna sytuacja, prawda? Muszę przeprosić pana za sposób, w jaki został pan potraktowany. Mam nadzieję, że żołnierze, którzy tu pana przyprowadzili, nie byli zbyt brutalni. Nie? To dobrze. Nazywam się Pan Mishima Sokai. Pracuję w resorcie spraw zagranicznych w Tokio.

– Więc jest pan szpiegiem - stwierdził Indy.

– Tak, i to całkiem niezłym - odparł Sokai z uśmiechem.

– W takim razie proszę mi powiedzieć, dlaczego zostałem tu przywleczony przez pańskich oprychów - powiedział Indy. - Jestem profesorem archeologii na uniwersytecie w Princeton i prowadziłem oficjalne badania na Hua, kiedy...

Sokai podniósł rękę.

– Proszę się nie unosić - poprosił uprzejmie. - Nie łatwo jest mnie zastraszyć, a poza tym wiem o panu więcej niż pańscy koledzy z uniwersytetu w Princeton. Pana tajemnicze życie jest niezwykle fascynujące. Gdziekolwiek zjawia się doktor Jones, towarzyszą mu kłopoty. To nie jest zwykły zbieg okoliczności, prawda?

– Powiedzmy raczej, że mam do tego talent.

– Rzeczywiście - przyznał Sokai. - I muszę przyznać, że doceniam pańską dyskrecję.

– Skoro pan tak dużo o mnie wie - powiedział Indy - dlaczego nie powie pan czegoś o sobie. - Bez pytania sięgnął po swoje ubranie. Sokai podniósł brew, ale bez słowa patrzył, jak Indy przebiera się.

– Poza tym, że przez wtajemniczonych uważany jestem za super szpiega, jestem pilotem myśliwca, dowódcą *chutai* w 24 Oddziale Sił Powietrznych Cesarskiej Armii.

– A ja myślałem, że te okulary to tylko tak dla zgrywy.

– Bycie pilotem ma swoje dobre strony. Nie interesuje nas rozkład jazdy pociągów czy statków, a do tego dochodzi duża siła ognia i możliwość rekonesansu z lotu ptaka.

– Zauważyłem, że faszyci mają szczególne upodobanie do lotnictwa - stwierdził Indy. - A tych dwoje, którzy wyszli? Pański strzelec i bombardier?

– Nie, to piloci z mojego *chutai* - odparł Sokai. - Porucznik Musashi i dyplomowany oficer Miyamoto. Latamy na dwupłatowych myśliwcach Ki-

10 typ 95. Ten model osiąga wysokość trzech tysięcy metrów, maksymalną prędkość czterysta kilometrów na godzinę i ma dwa 7.7mm karabiny maszynowe na dziobie.

– Nosi pan jego zdjęcie w portfelu?

– Doceniam poczucie humoru - odparł Sokai - ale używane z umiarem. A pan, jak nad wiek rozwinięty dzieciak, wypróbowuje moją cierpliwość. Zapewniam, że nie uda się panu wyprowadzić mnie z równowagi.

Przez chwilę Sokai wpatrywał się uważnie w Indy'ego, czekając na jego reakcję, po czym mówił dalej.

– Dobrze, odpowiem na pytania, które ludzie zazwyczaj mi zadają. Mówię dobrze po angielsku, ponieważ zostałem wykształcony na Zachodzie. Mój ojciec był obcokrajowcem, *gaijin*, dyplomata. A matka? Gejszą, która miała to nieszczęście, że się w nim zakochała. Urodziłem się w 1904 roku, podczas wojny japońsko-rosyjskiej, tego samego dnia, w którym ojciec został stracony jako szpieg. Więc widzi pan, we własnym kraju byłem traktowany jako *gaijin*. Polubiłem nawet amerykańskie filmy, amerykańskie papierosy i amerykańskie ciuchy.

– Ale pod względem politycznym jest pan zdecydowanie imperialny?

– Ameryka to tylko hobby - odparł Sokai. - Japonia zaś to kraj moich przodków. Poza tym, obaj jesteśmy po tej samej stronie. Nasze kraje nie są w stanie wojny.

– Niech pan to powie Chińczykom - uciął Indy.

Sokai roześmiał się. Rzucił na podłogę niedopałek papierosa i zgniótł go obcasem starannie wypolerowanego buta.

– Życie to walka - powiedział. - Jestem adeptem sztuki walki. - Sięgnął pod płaszcz i wyciągnął miecz samurajski. Trzymał go oburącz pionowo przed sobą.

– Często stare metody są najlepsze - stwierdził. - Ten miecz ma ponad pięćset lat, a nadal nie ma ostrzejszego na świecie.

Indy chciał się odezwać, ale Sokai położył palec na ustach.

– Snycerz poświęcił dziesięć lat, żeby go zrobić. Został wykuty dopiero po oczyszczeniu warsztatu i złożeniu ofiary bóstwu, które miało zamieszkać w mieczu. Ostrze wykonano z jednego kawałka żelaza, które ogrzewano, kuto i zwijano pięć tysięcy razy. I za każdym razem ochładzano je w śniegach Fuji, by je zahartować.

– Słyszałem już takie opowieści - stwierdził Indy, pochylając się, by zawiązać sznurowadła.

– Duch, który wstąpił w to ostrze jest odzwierciedleniem pobożności wykonawcy - kontynuował Sokai. - Czasami, gdy umysł snycerza zmaćniała zła myśl, w mieczu zamieszkiwał zły duch. Ale nie można było tego odkryć dopóki miecz po raz pierwszy nie zakosztował krwi.

– Mam wrażenie, że pan się już o tym dowiedział.

– To było dawno temu - odparł Sokai. Nagle dotknął kciukiem ostrza miecza. Popłynęła strużka krwi. - Nie powinno się dobywać miecza i nie pozwolić mu skosztować krwi. W przeciwnym razie głód może stać się nie do wytrzymania.

Wprawnym, płynnym ruchem Sokai przeciągnął miecz między lewym kciukiem a palcem wskazującym, po czym wsunął go do pochwy.

Indy patrzył na niego bez słowa.

– Zawsze mam go przy sobie - powiedział Japończyk. - Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie potrzebny.

– Osobiście wolę nowocześniejsze metody - stwierdził Indy, sięgając po swojego webleya.

– Proszę się nie krępować - zauważył Sokai. - Oczywiście nie jest nabyty.

Indy otworzył bębenek. Sokai miał rację. Schował broń do kabury i z przyjemnością poczuł znajomy ciężar.

– A to co? - zapytał Sokai, podnosząc bat z ławki. - Na pewno nie uważa go pan za nowoczesny. Niewolnicy znali bat od początku świata. Dziwaczny wybór.

Sokai strzelił z bata.

Indy chwycił swoją własność.

– Czasami - odezwał się - niewolnicy używają bata przeciwko swym panom.

– Idealista. - powiedział Sokai - Jakie to urocze.

– Czego pan chce? - zapytał Indy, wkładając kapelusz.

Sokai wziął do ręki księżyc z kości słoniowej.

– To z grobowca Qin.

– Skoro tak pan twierdzi - odparł Indy.

– Nie zastanawia się pan, jakim cudem astronomowie cesarza Qin mogli wiedzieć, że księżyc jest okrągły? I jak mogli poznać go tak dokładnie, że zaznaczyli morza i kratery po drugiej stronie księżycy? Przecież my wciąż nie wiemy, jak wygląda tamta strona, bo zawsze jest odwrócona do nas tyłem.

– Gadanie.

– Nie interesują mnie jedynie skarby, doktorze Jones - mówił dalej Sokai, wkładając księżyc do torby Indy'ego. - Interesują mnie nieznane moce. Starożytna wiedza. Magia. Ta siła była zrozumiała dla poprzednich cywilizacji. Na przykład starożytni samurajowie zajmowali się nie tylko sztuką walki. Rozwijali swoje talenty również poprzez literaturę, muzykę, malarstwo, poprzez grę pozytywnych i negatywnych sił we wszechświecie, poprzez zaklęcia i czary. Żołnierze opowiedzieli mi jakąś bajkę o pańskim

nagłym pojawieniu się z wnętrza góry. Mówili coś o duchu cesarza, który rzucił pana do ich stóp.

– Musieli być pijani - odparł Indy, wkładając kurtkę. - Byłem tak podniecony znalezieniem tego przedmiotu, że potknąłem się, zbiegając, żeby powiedzieć o tym mojemu przewodnikowi. To wszystko.

Zdjął kapelusz, strzepnął z denka kurz, po czym schował go do torby, tę zaś zarzucił na ramię.

– Zbiera się pan do wyjścia? - spytał Sokai.

– A pan nie?

Sokai schylił się, podniósł z podłogi drewnianą skrzynkę wielkości pudła na kapelusze i postawił ją na ławie. Skrzynka była pomalowana na czarno; wieko miało zawiasy i było zamknięte na kłódkę. Japończyk wyjął klucz z kieszeni, przekręcił go w zamku i otworzył skrzynię.

Popchnął ją w stronę Indy'ego.

– Widział pan kiedyś coś takiego?

W środku znajdował się przedmiot przypominający hełm, wykonany z żelaza wyglądającego na bardzo stare.

– To się nazywa dziadek do orzechów - objaśnił Sokai. - Tak, doskonała nazwa. Służy do rozłupywania twardych orzechów. - Popukał się w głowę.

– Śliczny - stwierdził Indy.

– Jak już mówiłem, stare metody zawsze się sprawdzają - powiedział Sokai i wyjął ze skrzynki żelazny przedmiot. Z otworów przeznaczonych na oczy, usta i uszy wystawały grube śruby. Szpila wsunięta w metalowy zatrzask łączyła obydwie połówki piekielnej maszyny.

Sokai rozdzielił je, pokazując wewnętrzne końcówki śrub. Ostrza w kształcie korkociągów były czarne od zaschniętej krwi.

– I zamierza pan użyć tego w stosunku do mnie?

– Jeśli będę musiał - odparł Sokai. - Ale mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– Aż drży pan z niecierpliwości.

– Bardzo śmieszne - powiedział Japończyk. - I odważne, wzięwszy pod uwagę perspektywę stopniowej utraty wzroku, słuchu i mowy. Aha, widzę, że teraz słucha mnie pan z większą uwagą. Tak właśnie to działa: najpierw rozprawia się z jednym uchem, potem z drugim. Potem przychodzi kolej na język. Na końcu, ponieważ większość z nas najwyżej ceni sobie wzrok, wyciągnięte zostaje jedno oko, a potem nastaje wieczna ciemność. Ale po co martwić się zawczasu. Zazwyczaj udaje się skruszyć orzech, zanim do tego dojdzie.

Sokai popatrzył na Indy'ego ze współczuciem.

– Oczywiście może pan uniknąć tych nieprzyjemności i wyjawić mi tajemnice grobowca cesarza Qin - odezwał się. - Bardzo chciałbym dostać się tam, a potem wyjść cały i zdrowy, tak jak to się panu udało.

– Niech pan lepiej idzie na ryby.

Sokai zawołał swych towarzyszy. Kiedy weszli, zaczął mówić do nich cicho po japońsku.

– *Hai* - powiedzieli obydwójce i, zanim zabrali się do pracy, skłonili się krótko. Chwycili Indy'ego za ręce, wykręcili je do tyłu i próbowali złączyć ze sobą nadgarstki, by następnie związać je liną.

– Co się dzieje? - zapytał ostro Sokai, widząc, że nie mogą sobie poradzić.

– *Gaijin* jest silny - poskarżyła się porucznik Musashi.

– Też coś - parsknął pogardliwie Sokai. - Jest starszy od ciebie o dwadzieścia lat i prawie od tygodnia jest na więziennym wikcie.

– Tak, Sokai Sensei - odparła kobieta. - Postaramy się lepiej.

Gdy kobieta siłowała się z przeciwnikiem, czapka spadła jej z głowy. Kaskada jedwabistych, czarnych włosów opadła jej na ramiona.

– Co pan taki zdziwiony? - spytał Sokai. - Nie zauważył pan, że porucznik ma bardzo delikatne rysy, a głos podejrzanie kobiecy?

– Zorientowałem się, że to kobieta - odparł Indy. - Ale nie myślałem, że taka piękna.

Sokai pstryknął palcami.

Oficer Miyamoto uderzył Indy'ego pięścią w tył głowy na tyle mocno, że ten zobaczył gwiazdy. Pchnął ofiarę na krzesło, następnie chwycił go za nadgarstki i, mrużąc, przytrzymał je złączone, podczas gdy kobieta związała je liną.

– Świetnie - powiedział Sokai, podchodząc bliżej. - Przytrzymaj mu głowę.

Otworzył dziadka do orzechów, wykręcił śruby tak, by znalazły się na zewnątrz, a potem zatrzasnął piekielną maszynę na głowie Indy'ego. Pozostali przytrzymywali ofiarę. Indy wrywał się, dopóki stalowa konstrukcja nie została zatrzaśnięta na jego głowie. Potem nawet przy najłżejszym ruchu czuł na powiekach, uszach i dolnej wardze stalowe koniuszki śrub. Wkrótce zorientował się, że bezpiecznie może poruszać głową jedynie do tyłu.

– No tak - stwierdził Sokai. - Wszystko gotowe. Wygodnie panu, doktorze Jones?

– Nie - wymamrotał Indy.

– Oczywiście, że nie! Dlaczego miałoby być wygodnie?

Żołnierze odsunęli się, Sokai zaś stanął za oparciem krzesła i położył dłoń na rączce śruby, wprowadzającej ostrze do prawego ucha. Powoli przekręcił rączkę.

– Tak to się zaczyna - powiedział Sokai. - Zapowiedź potwornego, ale całkowicie zbędnego bólu. Odgłos przekręcanej śruby, tak blisko ucha. Potem czujesz, jak śruba dotyka ucha zewnętrznego. O, podskoczyłeś, musiałeś to poczuć. A potem straszliwe sekundy bólu, gdy śruba przesuwa się przez kanał uszny w stronę delikatnej błony bębenka. A kiedy bębenek pęka, ból jest nie do wytrzymania, a z ucha, które już nigdy nie będzie reagować na dźwięki dobywa się, o ironio losu, głuchy ryk.

– Świetnie się bawisz - Indy próbował powiedzieć to tak, by nie skaleczyć się w wargę ani nie wprowadzić śruby głębiej do ucha, ale z jego ust dobył się jedynie niezrozumiały pomruk.

– Przykro mi - stwierdził Sokai. - Miałeś szansę, żeby...

Indy wykonał szybki ruch prawą nogą i kopnął czubkiem buta skraj ławy. Ława uderzyła w lampę. Klosz pękł i zgasł płomień, a nafta rozprysnęła się po pomieszczeniu.

Zapadła ciemność.

Indy rzucił się do tyłu. Upadł razem z krzesłem. Stalowym hełmem uderzył swego oprawcę w klatkę piersiową. Sokai zaparło dech w piersiach i upadł na ziemię, ciężko dysząc.

Indy czuł bolesne dzwonięcie w prawym uchu. Po szyi spływała mu strużka krwi, ale zmusił się do działania. Wysunął związane ręce zza oparcia krzesła, ukląkł i przyciągając podbródek do piersi, zaczął potrząsać głową. Szpila wysunęła się z zatrzasku i hełm upadł z hukiem na podłogę.

W ciemności żołnierze nawoływali swego dowódcę.

Sokai wciąż z trudem próbował złapać oddech, ale szeroko rozłożonymi rękami macał wokoło. Szukał.

Indy wstał. Przywarł do ściany. Wciąż związanymi rękami starał się po omacku znaleźć drzwi.

Sokai złapał go za nogę.

Indy kopał próbując się uwolnić, ale bez skutku. Nagle podczas szarpaniny pękła lina krępująca mu ręce. Wymierzył pięścią na oślep cios w miejsce, gdzie, jak sądził, znajdowała się twarz Japończyka. Udało się - jego pięść uderzyła w ciało przeciwnika.

Ale Sokai nie przestał walczyć. Złapał Indy'ego za łokieć i wprawnym ruchem wykręcił mu rękę, po czym rzucił go na podłogę. Leżąc twarzą do ziemi, ze Sokai'em na plecach, Indy nie był w stanie wyciągnąć prawej ręki na tyle daleko, by jego pięść dosięgła wroga. Nagle, macając po omacku, natrafił na kawałek nogi od roztrzaskanego krzesła.

Indy zamachnął się niczym kosiarz, na tyle mocno, że drąg dosięgnął podbródka Japończyka. Głowa Sokaia odskoczyła do tyłu. Wypuścił Indy'ego z uścisku. Chwiał się przez moment, wreszcie upadł, twarzą wprost na przednią połowę leżącego na podłodze dziadka do orzechów.

Indy nie widział w ciemności, co się stało, ale przeraził go odgłos, który rozległ się w pomieszczeniu - wilgotne, przenikliwe plaśnięcie, jak gdyby sople lodu wbił się w dojrzałego arbuza.

Porucznik Musashi również rozpoznała ten odgłos.

– Jestem ślepy - stwierdził Sokai takim tonem, jak gdyby to nie jego własne gałki oczne nadziały się na zardzewiałe, stalowe śruby.

Musashi ogarnęła nagle żądza zemsty.

– Stój! - krzyknęła rozkazująco. Kierowała lufę półautomatycznego pistoletu to w tę, to w tamtą stronę, starając się namierzyć Indy'ego.

Indy poczuł instynktownie, że broń wymierzona jest w niego i na sekundę przed strzałem przywarł do podłogi. W małym pomieszczeniu odgłos wystrzału był ogłuszający. Na krótko zabłysło pomarańczowe światło, jak gdyby ktoś zrobił zdjęcie. Wszyscy zastygli w swych pozach, jak ustawieni do fotografii - Sokai na podłodze z maską wczepioną w twarz jak żywą istotę; Miyamoto gotów do ataku, ale, niepewny, w którą stronę

się rzucić; wreszcie porucznik Musashi trzymająca oburącz mausera 1914. Seria z pistoletu podziurawiła ścianę za plecami Indy'ego. Potem w pomieszczeniu znowu zaległa ciemność.

Porucznik Musashi wystrzeliła dwie kolejne serie, z mausera posypały się iskry. Drugi strzał był chybiony, trzeci jednak dosięgnął celu. Indy oberwał w lewe ramię. Siła uderzenia rzuciła go na drewniane drzwi, które ustąpiły i Indy wylądował na korytarzu. Poczuł ostry ból wędrujący od obojczyka aż do koniuszków palców.

Indy podniósł się z trudem, strząsając z siebie kawałki roztrzaskanych drzwi, po czym kulejąc ruszył wzdłuż korytarza. Na jego końcu dostrzegł zakratowane okno, przed którym stało trzech strażników. Rozstąpili się, kiedy z pokoju wyszła Musashi z pistoletem skierowanym w ich stronę.

Starannie wycelowała w plecy uciekiniera i pociągnęła za spust. Spust jednak był zablokowany. Broń nie wypaliła, łuska utknęła w komorze.

Indy prawą ręką zakrył twarz i dał nura w okno. Kraty ustąpiły. Posypało się szkło i stara zaprawa murarska.

Musashi zaklęła biegle po angielsku i odrzuciła zagraniczną broń z odrazą. Krótka rozkazała strażnikom, by utworzyli oddział i ruszyli w pościg za Amerykaninem. Potem zaczęła krzyczeć, by przyprowadzili pierwszego lepszego lekarza, jakiego uda im się znaleźć i żeby posłali po najlepszego medyka w prowincji.

Strażnicy patrzyli na nią osłupiali.

Powtórzyła rozkazy po japońsku, z jeszcze większą wściekłością. Potem wróciła do pokoju, w którym Miyamoto kołysał w ramionach swego dowódcę.

– Nie żyje? - spytała.

Miyamoto zaprzeczył ruchem głowy.

– Ale byłoby lepiej, gdyby nie żył - odpowiedział.

3.

Sztuczka z liną

Indy upadł w błoto ulicy przed więzieniem. Próbował potoczyć się do przodu, ale uniemożliwiło mu to pozbawione czucia ramię. Wciąż leżał na plecach. Ramię jednocześnie pulsowało bólem i było zdrętwiałe, jak wtedy, gdy uderzymy młotkiem kciuk wbijając gwóźdź w ścianę. Indy nie sądził, by kula roztrzaskała kość, choć oczywiście nie mógł mieć pewności. Skrzywił się i by zapewnić lewej ręce lepszą ochronę, wsunął ją do kurtki, pozostawiając rękaw pusty.

Wstał i pobiegł przed siebie.

Zmierzchało. Indy ruszył w kierunku cieni rzucanych przez opuszczony magazyn na końcu ulicy. Nie było żywej duszy poza kilkoma kurczakami, które zagdakały pogardliwie na widok intruza.

Plakaty przyklejone do mocno sfatygowanego płotu głosiły po chińsku i francusku, że magazyn został przejęty przez Armię Cesarską, stanowi własność cesarza i każdy, kto wtargnie na jego teren zostanie rozstrzelany. Indy z trudem wspiął się na płot, a gdy upadł na ziemię po drugiej stronie, dobiegł go monotony tupot nóg zbliżających się ulicą.

Wewnątrz budynku panowała całkowita ciemność. Indy słyszał gruchanie gołębi, które przycupnęły na krokwiach. Szybko ruszył w mrok i znalazł drzwi na tyłach budynku. Przecisnął się przez nie. Znalazł się na końcu zakrzywionej, wąskiej uliczki.

Uliczka stanowiła prowizoryczne domostwo dla dziesiątek rodzin wysiedlonych przez Japończyków. Indy musiał przeskakiwać przez ogniska, na których ludzie gotowali stawę, przeciskać się między skrzyniami z dobytkiem, nurkować pod sznurami bielizny. Raz musiał

przyłgnąć do jakichś drzwi, bo przez skrzyżowanie na sąsiedniej ulicy przechodził oddział żołnierzy. Położył palec na ustach, prosząc w ten sposób o ciszę rodzinę mieszkającą w zbitym ze skrzyń szałasie. Ludzie patrzyli na niego obojętnie znad misek z zimnym ryżem.

Nie ulegało wątpliwości, że zagłębia się coraz bardziej w starą część miasta, nie miał jednak pojęcia jakiego miasta. Gdy pytał, gdzie się znajduje, ci na tyle odważni, by odpowiedzieć lub zapytać, czy jest ciężko ranny, odzywali się w dialekcie, którego nie rozumiał. Szedł więc dalej z nadzieją, że znajdzie jakiś drogowskaz lub jakąś inną wskazówkę, która pomoże mu ustalić położenie oraz da pojęcie, gdzie szukać bezpiecznej kryjówki. Ale każda przecznica wyglądała dokładnie tak jak poprzednia, z tą tylko różnicą, że ulice stawały się coraz bardziej zatłoczone i trudniejsze do pokonania.

Indy, znużony, zwolnił w końcu tempo.

Japoński żołnierz na motorze podjechał do skrzyżowania ulicy, którą Indy przed chwilą przeszedł. Zatrzymał motor i przekręcał kierownicę w prawo i w lewo, przeszukując skrzyżowanie przy pomocy przedniego reflektora. Dostrzegł strużkę krwi, którą pozostawił za sobą Indy. Krzyknął po japońsku i zatrąbił wściekle, by zwrócić uwagę innych żołnierzy. Wreszcie zapuścił motor i pognął przed siebie wąską uliczką. Wysiedleńcy podrywali się i pierzchali bezładnie, by usunąć mu się z drogi.

Indy usłyszał krzyki i zaczął biec.

Żołnierz na motorze pędził wciąż na złamanie karku wzdłuż uliczki, przecinając po drodze sznury z bielizną i rozrzucając na boki ogniska. W końcu wpadł na sznur z bielizną, który nie ustąpił pod naporem pędzącego mężczyzny i spadł z motoru.

Indy wydostał się z uliczki na plac w starej dzielnicy miasta. Na samym środku stała objazdowa scena wykonana ze starego wozu. Oświetlały ją

wiszące lampiony i reflektory ze świecami w środku. Setki ludzi tłoczyły się na placu i oglądały rozgrywające się na scenie przedstawienie.

Jasnowłosa kobieta w ciemnych szatach pokrytych typowym zestawem sześciokątnych symboli, odklepywała po angielsku typowe magiczne formuły. Asystowała jej ciemnowłosa, szesnastoletnia dziewczyna, ubrana w żółtą luźną szatę z jedwabiu. Na głowie miała czapkę z chwościkami, do których doczepiono dzwoneczki.

Czarodziejka przerywała co kilka zdań, pozwalając, by tłumacz Chińczyk przełożył jej słowa mniej lub bardziej dokładnie na miejscowy dialekt.

Indy zaczął przepychać się przez tłum.

Czarodziejka wskazała na prawo. Rozległ się huk, po czym w kłębach dymu ukazała się czerwona chusteczka. Indy bezwiednie skulił się na odgłos wystrzału. Czarodziejka wskazała w lewo. Kolejny huk. Tym razem pojawiła się zielona chusteczka i opadła na scenę.

– Podoba wam się nasze przedstawienie? - spytała czarodziejka.

Tłumacz zadał to pytanie tłumowi.

W różnych miejscach rozległy się brawa i uderzenie lasek o ziemię.

– Ale najlepsze dopiero przed wami! - powiedziała obiecująco blondynka. - Okażcie teraz swoje zadowolenie. Może to być cokolwiek: drobne pieniądze, jedzenie, a nawet dobre słowo. Moja asystentka Mystery przejdzie teraz z koszem na datki, a ja opowiem wam nieco o naszej rodzinie.

Przerwała, by tłumacz mógł powtórzyć jej słowa.

Indy dostrzegł, że wokół placu przybyło żołnierzy japońskich. Jeszcze bardziej zagłębił się w tłum, zbliżając się do sceny.

– Nazywam się Faye Maskelyne. Należymy do najświetniejszej w świecie rodziny magików. Ci z was, którzy mieli okazję odwiedzić

wspaniałe miasto Londyn, z pewnością słyszeli o naszych wyczynach, pozostali - dziś wieczorem będą mieli niepowtarzalną okazję zobaczyć nasze najlepsze sztuczki. Ale dlaczego, możecie zapytać, wielka czarodziejka i jej asystentka jeżdżą po dalekich krajach, by zarabiać grosze, podczas gdy mogłyby zbijać fortunę i cieszyć się splendorem, jaki spływa na tę rodzinę od pokoleń?

Tłumacz miał trudności w przełożeniu ostatnich słów kobiety.

– Powiem wam - mówiła dalej Faye. - Odpowiedzią na to pytanie jest zdjęcie, które Mystery ma przy sobie. Przyjrzyście się dobrze człowiekowi na zdjęciu i powiedzcie, czy widzieliście go kiedykolwiek. Szukamy go. Nazywa się Kaspar Maskelyne. Jest ojcem Mystery i moim mężem.

Japończycy zdążyli już otoczyć plac. Porucznik Musashi wspięła się na dach ciężarówki, żeby lepiej widzieć. Włosy miała wciąż rozpuszczone. Trzymała w ręku miecz Sokaia i dowodziła poszukiwaniami zbiega.

– Kaspar Maskelyne przyjechał na pełen tajemnic Wschód cztery lata temu. Szukał księgi wiedzy tajemnej, o której opowiadał mu stary uczony arabski Ibn Battuta. - Faye strzeliła palcami i wysoko nad głowami tłumu zakołysała się jakaś książka. - Dzieło to, legendarna Księga Omegi, zawiera dokładny opis życia każdej istoty, jakiej kiedykolwiek przyszło przebywać na tej ziemi, a także wszystkie tajemnice natury. Każda religia nawiązuje do tej księgi. Ma wiele nazw, ale za każdym razem jest to ta sama Księga. Można ją odnaleźć jedynie przy pomocy Laski Aarona.

Faye znowu strzeliła palcami i książka zniknęła. Jednocześnie z chmury dymu, która objęła scenę, wyłoniła się laska. Wokół niej wił się wąż.

– To ta sama laska, którą Mojżesz zamienił w węża na oczach czarowników faraona, przy pomocy której spuścił plagi na Egipt i dzięki której rozdzielił Morze Czerwone. Prawdziwa różdżka czarodziejka!

Faye klasnęła w dłonie. Wąż zniknął, a na jego miejscu pojawiło się drzewo, mające lada chwila zakwitnąć. Tłumacz miał trudności z nadążeniem za słowotokiem Faye, tłum zaś zaczynał się gubić.

– Wiecie wszyscy, kto to był Mojżesz, prawda? - spytała Faye. - O lasce, która zamieniła się na pustyni w drzewo migdałowe? No dobrze, idźmy dalej. Wszyscy słyszeliście o sztuczce z liną, mam rację? Na miłość boską, zapowiedz sztuczkę z liną.

Tłumacz wykonał polecenie, a tłum zaczął pomrukiwać z zadowolenia.

Mystery zostawiła koszyk z datkami i zdjęcie u stóp tłumacza, po czym wróciła na scenę.

– Nasz stary przyjaciel Ibn Battuta mówił o sobie, że jest obieżyświatem - powiedziała Faye. - I nie bez powodu. W tysiąc trzysta pięćdziesiątym piątym roku dotarł aż na dwór Wielkiego Chana i to on właśnie opisał to, co stało się później najsłynniejszym magicznym zaklęciem: Sztuczkę z Liną.

Mystery przytargała na scenę potężną skrzynię. Otworzyła ją i wyjęła niewielką włócznię. Następnie wyciągnęła ze skrzyni koniec zwiniętej liny. Przywiązała ją do rękojeści włóczni, po czym stanęła w gotowości.

– Przez setki lat wielu ludzi próbowało powtórzyć to, co stało się tamtej nocy na dworze Chana, ale nikomu się nie udało. Aż do dzisiaj. Podczas naszej forsownej wędrówki nauczyliśmy się niezbędnych zaklęć czarnej magii i z radością podzielimy się dziś z wami naszymi umiejętnościami.

Mystery podała jej włócznię.

Faye obróciła się i wyrzuciła włócznię w powietrze. Przedmiot zniknął w ciemności. Lina podążyła za włócznią, aż całkowicie wysunęła się ze skrzyni i zawisła w powietrzu.

Widzowie wstrzymali oddech.

Żołnierze przepychali się przez tłum, nie ustając w poszukiwaniach. Byli rozstawieni tak dobrze, że niewiele brakowało, by przyparli Indy'ego do

sceny. Faye dostrzegła mundury, ale nie przerywała przedstawienia.

– Wysoko w chmurach mieszka ogr - zakomunikowała Faye. - Strzeże niezliczonych skarbów. Ogłosił, że rozerwie na strzępy każdego, kto ośmieli się je skraść. Ale moja młodziutka asystentka postanowiła przyjąć wyzwanie.

Głowa Mystery chwiała się na boki.

– Ruszaj! - rozkazała Faye i wskazała na linę.

Mystery nie usłuchała.

Faye potrząsnęła głową i spojrzała na publiczność. Znowu wskazała na linę i rozkazała Mystery, by rozpoczęła wspinaczkę.

Dziewczyna cofnęła się.

Faye wyjęła z poły szat różdżkę i skierowała ją w stronę asystentki. Wymamrotała coś, co brzmiało jak łacina podwórkowa. Mystery zaczęła zachowywać się tak, jak gdyby lina przyciągała ją do siebie, a ona nie mogła się temu oprzeć. Weszła do skrzyni, po czym chwyciła linę obiema rękami. Zaczęła powoli, ręka za ręką, podciągać się, co było tym bardziej dramatyczne, że nie pomagała sobie przy tym nogami.

– A to atletka - mruknął Indy, podniósł kołnierz i przycupnął przy jednym z kół wozu. Dwaj żołnierze byli teraz tak blisko, że niemal go dotykali.

Faye znowu wysunęła do przodu swą różdżkę.

Pojawił się dym i asystentka zniknęła w ciemności. W tej samej chwili Indy dał nura pod wóz i szybko przeszedł na drugą stronę. Gdy wyjrzał, natknął się na kolejnego czekającego nań żołnierza.

Z powrotem dał nura pod wóz.

Nad jego głową Faye wzywała z namaszczeniem swą asystentkę, Mystery zaś odpowiadała z oddali. Nagle rozległy się odgłosy straszliwej walki, krzyki i odgłos rozrywanej odzieży, na scenę zaś spadło kilka

skrawków żółtego jedwabiu. Na wielu z nich widniały duże krople „krwi”. Faye podniosła jeden ze skrawków i przyjrzała mu się ze smutkiem. W końcu wyjęła różdżkę i zaczęła recytować jakieś bełkotliwe zwroty, które stopniowo przybierały na sile. Jednocześnie wykonywała różdżką monotonne kręgi.

Pod wozem panowała ciemność. Indy skulony, czekał na kolejne ruchy żołnierzy. Nagle ktoś uderzył go głową.

Obydwoje wyprostowali się zdumieni.

– Kto to? - rozległ się głos kobiety.

– A ty? - zapytał Indy.

– Jestem asystentką - odparła Mystery, czolgając się. - Nie możesz tu siedzieć. Idź sobie.

– Ukrywam się przed tymi zbirami - powiedział Indy.

– Widziałam ich - stwierdziła Mystery, przesuając się w kierunku otwartych drzwi zapadni. Znajdowały się dokładnie pod ogromną skrzynią, z której wyciągnięta została lina. - Przepraszam pana, ale muszę wrócić na scenę.

Fay przestała recytować.

– To znak dla mnie - powiedziała Mystery i podciągnęła się do skrzyni. - Powodzenia.

Nastąpiła eksplozja, pojawiły się jak zwykle kłęby dymu, po czym Mystery wyskoczyła ze skrzyni, uratowana.

– Powodzenia - prychnął Indy, kiedy żołnierze zaczęli wczołgiwać się pod wóz.

Panie Maskelyne odniosły sukces w Mandzurii. Tłum krzyczał, klaskał i tupał nogami. Faye klasnęła w otwartą dłoń córki, po czym obydwie kobiety złożyły długi, teatralny ukłon.

Nagle tłum zaczął znowu wydawać głośne „ochy” i „achy”, widząc jak z magicznej skrzyni wychodzi Indy, za nim zaś wysuwają się głowy dwóch zdezorientowanych żołnierzy.

– Przepraszam - powiedział Indy, zamykając z trzaskiem wieko skrzyni i siadając na nim.

– Nie szkodzi - odparła Faye, przekrzykując śmiech publiczności. - Chyba podoba im się ta komedia. Ale ty krwawisz. Jesteś poważnie ranny?

– Przeżyję - powiedział Indy, starając się nie dopuścić do otwarcia wieka skrzyni. Po czym dodał - Mam nadzieję.

– Cisza! - wrzasnęła porucznik Musashi z dachu ciężarówki. - Złapcie tego Amerykanina. To przestępca. Wy tam, na scenie.

– My? - spytała Faye.

– Zatrzymajcie go!

– Czego od nas chcesz?

– Złapcie go, zatrzymajcie.

– Nie możemy - odpowiedziała Faye. - On nie należy do tego przedstawienia.

– W takim razie pójdziecie razem z nim do więzienia - powiedziała Musashi, z trudem złażąc z ciężarówki. Tłum rozstąpił się, gdy przechodziła z uniesionym mieczem.

Indy z coraz większym trudem przytrzymał wieko skrzyni, gdyż napierało na nie od wewnątrz aż pięciu żołnierzy.

– Lina - szepnęła Mystery. - Jest przyczepiona do drutu, rozciągniętego między dachami budynków po obydwu stronach ulicy.

– Nie sądzę, żebym dał radę się wspinać - odpowiedział Indy.

– Postaraj się - stwierdziła z uśmiechem Faye, wykonując kolejny ukłon.

- Mystery, dlaczego mu nie pomożesz?

Uśmiechając się do publiczności, Mystery podeszła wolno do Indy'ego, stanęła przy nim na wieku skrzyni i założyła zamek.

– To sprytna konstrukcja - wyjaśniła. - Na obu końcach zamontowane są ciężary dla przeciwwagi. Jak pociągnę za linę, uniesiesz się w górę jak ptak.
- Chwyciła koniec zwisającej liny i owiązała nią Indy'ego pod pachami.

– A co z wami?

– O nas się nie martw - odparła Mystery.

– Zostanę tu i będę walczył - powiedział Indy. - Pozwólcie, że...

– Ile ważysz?

– Osiemdziesiąt pięć kilo - odpowiedział posłusznie Indy.

– Niedobrze - stwierdziła dziewczyna.

– Dlaczego? - spytał Indy. - To zła waga?

– Lina jest obliczona na siedemdziesiąt pięć - odparła Mystery, po czym stanęła na dźwigni za skrzynią, aby uruchomić podnośnik. Indy uniósł się z wdziękiem w powietrze i znalazł się poza zasięgiem latami.

– Zastrzelcie go! - wrzasnęła porucznik Musashi.

Zdezorientowani żołnierze skierowali pistolety w mrok, ale żaden z nich nie strzelił. Cel był niewidoczny, a poza tym nie mogli przełamać naturalnego oporu wobec strzelania na oślep pośród tłumu.

– Na co czekacie? - krzyknęła Musashi, wskakując na scenę. - Strzelajcie w powietrze.

– Ale poruczniku - wyjąkał jakiś sierżant. - Nie ma światła, a na placu jest pełno ludzi. We wszystkich budynkach dookoła też mieszkają ludzie..

– Za długo staliście z założonymi rękami - powiedziała Musashi przez zaciśnięte zęby. - Amerykanin zdołał uciec. Zbierz ludzi i zacznijcie przeszukiwać dachy. A potem, sierżancie, zgłoście się do mnie. Zostaniecie ukarani dyscyplinarnie.

– Tak jest, poruczniku.

– Ty i ty - powiedziała Musashi do dwóch stojących najbliżej żołnierzy. - Aresztujcie tę kobietę i jej tresowaną małpę. Odetnijcie kawał liny i zwiążcie im ręce. Zostaną wtrącone do miejscowego więzienia i oskarżone o udzielenie pomocy wrogowi cesarstwa.

Mystery wyciągnęła ręce przed siebie, żołnierze jednak gwałtownie wykręcili je do tyłu i zwiążali metrowym kawałkiem liny.

Dziewczyna zachichotała.

– Za luźno - powiedziała. - Zaraz spadnie. Lepiej mocniej zaciśnijcie węzły.

Tłumacz, który wciąż trwał na posterunku na krańcu sceny, przełożył jej słowa.

Żołnierze popatrzyli z niedowierzaniem, ale poprawili węzły. Obydwaj krzywili się, naciągając mocniej linę. Kiedy gratulowali sobie własnej siły, Faye wsunęła ręce do swych obszernych kieszeni i wyciągnęła dwie świece dymne, każdą trzymając w otwartej dłoni.

Żołnierze ruszyli w kierunku Faye, ale zanim ją dopadli, Mystery gwizdnęła.

– Hej, chłopaki - odezwała się, trzymając w prawej dłoni kawałek uciętej liny. - Może spróbujecie jeszcze raz? Wcale wam to nie wychodzi. Wiedziałam, że nic z tego nie będzie.

Żołnierze odburknęli i ze złością zwrócili się znów w stronę Mystery. Nie potrzebowali tłumacza, żeby rozpoznać drwinę w jej głosie.

Faye rzuciła świece dymne.

Scenę spowiły kłęby dymu.

Gdy dym opadł, Faye i Mystery już nie było. Nie było też koszyka z pieniędzmi, zdjęcia oraz większości rekwizytów iluzjonistek. Zostawiły jedynie potężną magiczną skrzynię - oraz dwóch żołnierzy japońskich ze związanymi rękami.

Musashi odegnała dym sprzed swojej twarzy. Potem wpatrzyła się w skrzynię, położyła palec na ustach i podeszła do niej na palcach. Trzymając oburącz miecz Sokaia, wbiła ostrze do skrzyni przebijając wieko. Gdy wyciągnęła miecz, ostrze było czerwone.

– A! - powiedziała.

Przesunęła palec po ostrzu i skosztowała czerwonej substancji.

Miała ostry, słodki smak.

Gwałtownym ruchem otworzyła wieko. Skrzynia była pusta. Miecz przebił gumowy, pęcherzowaty zbiornik z ketchupem, umieszczony w specjalnej kieszeni na wewnętrznej powierzchni wieka, który panie Maskelyne używały podczas sztuczki z nakłuwaniem człowieka.

Musashi zaklęła w trzech językach.

Gdy Musashi z żołnierzami kontynuowali poszukiwania, przeczesując plac i dachy okolicznych budynków, o kilometr dalej panie Maskelyne wchodziły właśnie na pokład frachtowca. Indy zwisał między nimi, kiedy z trudem wdrapywali się po trapie na statek.

– Co to za miasto? - spytał Indy.

– Luchow - odparła Faye.

– Miasto portowe - stwierdził Indy. - Dawniej francuska kolonia.

– Przynajmniej zna swoje położenie - skwitowała Mystery.

– Niech pan się pożegna z Luchow - powiedziała Faye, gdy znaleźli się już na pokładzie.

– Dokąd płyniecie? - zapytał Indy.

– Ma to dla ciebie jakieś znaczenie - odpowiedziała Faye pytaniem.

– Masz rację - mruknął Indy. - Wszędzie będzie lepiej niż tu.

– Stracił dużo krwi - zwróciła się Faye do córki. - Musimy zapewnić mu jakąś pomoc.

Kapitan „Boskiego Wiatru” stał z łokciami opartymi o barierkę, paląc rosyjskiego papierosa. Obserwował całą trójkę, kiedy z trudem wchodzili po trapie.

- Jakież kłopoty? - spytał spokojnie.
- A jak ci się wydaje, Snark? - Faye odpowiedziała pytaniem na pytanie.
- Mam nadzieję, że nie sprowadzicie ich na statek - stwierdził Snark.
- Powiedziałaś kiedyś, że jeżeli będziemy potrzebować pomocy, możemy na ciebie liczyć - odezwała się Faye. - Właśnie dzisiaj potrzebujemy pomocy. Gdzie jest ten stary pijaczyna, którego nazywałeś lekarzem pokładowym?
- Pod pokładem - odpowiedział Snark.
- Wlej w niego trochę kawy - powiedziała Faye. - Jest nam potrzebny.
- Jak sobie życzysz. - Snark wrzucił papierosa do wody, po czym uśmiechnął się. - A propos, na pokładzie nie wolno palić.
- Wcale nie zamierzałam - odparła Faye.
- Znasz tego faceta? - spytał Indy, powoli cedząc słowa.
- Niestety tak - odparła Faye. - To długa historia. Powiem tylko, że Snark ograł mnie kiedyś w Taipei w karty. Mystery rozdawała i miała mi dać zwycięskie karty, ale tamtego wieczoru przytrafiły jej się jakieś problemy z liczeniem.
- Mamo - powiedziała błagalnie Mystery.
- Snark to gangster, ale dobrze nam się układało - mówiła dalej Faye. - Przez dwa tygodnie uczyliśmy go wszystkich możliwych sztuczek karcianych, a on przez dwa tygodnie wyjaśniał nam, którym urzędnikom i w których miastach dawać łapówki w związku z poszukiwaniem Kaspara.
- Kłopoty z wojskiem? - spytał Snark.
- Ten człowiek uciekł z więzienia.

– Teraz jest marynarzem - oświadczył Snark. - Australijczykiem, i ma nazwisko Smith. Został ranny w burdzie w barze „Pod Orchideą”.

– Kiedy podnosisz kotwicę? - spytała Faye.

– Jak rozpocznie się przypływ - odparł, po czym spojrzał na zegarek. - Za kilka godzin.

– A nie możemy już teraz odpłynąć?

– Nie - odparł stanowczo Snark. - Wypełniliśmy już papiery w kapitanacie. W ten sposób zwrócilibyśmy na siebie uwagę. Poza tym, potrzebujemy przypływu, żeby bezpiecznie minąć tamte skały. Statek jest zbyt obciążony.

– W porządku - powiedziała Faye.

– Witam na pokładzie - stwierdził Snark. - Zabierzcie Amerykanina do izby chorych, a ja przyślę wam tam konowalę. Każę też załozie przygotować waszą dawną kajutę.

– Świetnie - skwitowała Faye.

Indy ocknął się, poczuł odór środka dezynfekującego i dżinu. Lekarz, chorobliwie chudy Nowozelandczyk w białej, nieświeżej kamizelce, z kieszeni której wystawała półlitrowa butelka dżinu Gordona, skończył już zszywać ranę na jego ramieniu.

– A, obudziłeś się - powiedział lekarz, widząc, że powieki Indy’ego poruszyły się. - Przepraszam, ale nie miałem innego znieczulenia. Trzeba było zatamować krwawienie. Nabój wszedł gładko, ale tam, gdzie wyszedł, pod obojczykiem, zostawił fatalną dziurę. Masz szczęście, że żyjesz, stary.

Indy jęknął.

– Założę się, że boli.

– Kobieta - mruknął Indy. - Dziewczyna.

– Są bezpieczne na pokładzie - odparł lekarz. Zrobił supełek, po czym przyjrzał się swemu dziełu z zadowoleniem. Wreszcie pociągnął dżinu z butelki. - A raczej bezpieczne na tyle, na ile można być bezpiecznym, kiedy Snark dowodzi statkiem.

– Jesteśmy na morzu? - spytał Indy.

– Nie, nadal w porcie.

– Dokąd płyniemy?

– Nie wiesz? - zdziwił się lekarz i obdarzył pacjenta uśmiechem, odsłaniającym braki w uzębieniu. - Do Japonii.

– Nie...

Lekarz posadził Indy'ego i zaczął bandażować jego klatkę piersiową i ramię.

– Musimy zejść z tego statku - powiedział Indy.

– Bracie - powiedział lekarz - pójdę za tobą jak w dym.

Indy skrzywił się.

– Muszę już iść - powiedział. - Kobieta i jej córka są bezpieczne. A ja wybieram się w inne miejsce. Ale jestem taki... zmęczony.

– To przez utratę krwi, bracie.

– Może odpocznę tu przez kilka minut - powiedział Indy. - Nabiorę sił. Obudź mnie na czas, żebym mógł opuścić statek. .

Rozległo się pukanie do drzwi izby chorych.

– Proszę - powiedział lekarz, po czym zwrócił się do Indy'ego - Nie przejmuj się i odpoczywaj.

Do pomieszczenia weszły Faye i Mystery. Kobieta była ubrana w czarną szatę przepasaną czerwoną szarfą, a Mystery miała na sobie granatowy mundur i czapkę japońskiego marynarza pływającego na statkach handlowych.

– Co z nim? - spytała Faye.

– Nieźle - stwierdził lekarz - jak na sześćdziesięciolatka.
– W tym roku skończyłem trzydzieści pięć - wtrącił Indy.
– To co innego - skwitował lekarz. - Będzie żył, ale musicie wziąć pod uwagę materiał, z jakim byłem zmuszony pracować. Ten facet ma w sobie więcej dziur niż moskitiera.

– Dziękuję panu, doktorze Schweitzer.

– Słucham?

– Nic takiego.

Lekarz wzruszył ramionami i zaczął zbierać swoje narzędzia.

– Ten statek płynie do Japonii - powiedział Indy. - Ja uciekam, jak tylko złapię wiatr w żagle. Wy też musicie się stąd ulotnić.

– Zrobimy to, jak tylko nadarzy się okazja - powiedziała Faye. - Ale na razie musimy tu cicho siedzieć. Za godzinę nadejdzie przypływ, a wtedy podniesiemy kotwicę.

– Tym bardziej muszę już iść - stwierdził Indy i zaczął podnosić się z trudem. Nagle zatrzymał się. - Dlaczego jesteście tak przebrane, na Halloween?

– Masz na myśli nasze ubranie? - odparła Faye. - Uznałyśmy, że lepiej będzie się przebrać. Jedyne kobiety, jakie spotyka się na takich frachtowcach to branki zmuszane do prostytucji. Taki los spotkał tysiące kobiet z całej Azji.

– A ty co powiesz? - Indy zwrócił się do Mystery.

– Zawsze ubieram się jak chłopak - odparła zagadnięta.

– Tak jest bezpieczniej - wyjaśniła Faye. - Przynajmniej dopóki ma taką budowę, że może występować w tej roli.

Indy skinął głową.

– Chodź - powiedziała Faye i pomogła Indy'emu zejść ze stołu. - Nie chcesz przecież znaleźć się znowu w Luchow. Zaprowadzę cię do twojej

koi i prześpisz się trochę. Obudzę cię, gdyby się coś działo.

Ledwo Indy zdążył zamknąć oczy, gdy drzwi kajuty otworzyły się na oścież. Najpierw pojawił się bagnet na karabinie, za nimi zaś japoński żołnierz.

Japończyk zaczął mówić głośno i z pośpiechem, wymachując przy tym gwałtownie bagnetem. Indy nie rozumiał treści jego słów, ale nie ulegało wątpliwości, że żołnierz chce, by podniósł się z koi.

Indy przerzucił stopy przez krawędź łóżka, miał jednak takie zawroty głowy, że nie zdecydował się na skok, jedynie zsunął się powoli na podłogę. W drzwiach stanął lekarz, prześlizgnął się obok Japończyka i pomógł Indy'emu z powrotem wgramolić się na łóżko.

– Gul, gul - powiedział medyk i udał, że pije z butelki.

Żołnierz roześmiał się.

Za żołnierzem pojawił się sierżant, wcale nie był rozbawiony.

Zapytał lekarza, co dolega Amerykaninowi. Ten odpowiedział po japońsku z fatalnym akcentem, że marynarz jest Australijczykiem, upił się tego wieczora do nieprzytomności i bezmyślnie wdał się w bójkę na noże z ważącym sto pięćdziesiąt kilo Malajczykiem.

Sierżant splunął.

– Wszyscy ci *gaijin* są tacy do siebie podobni - powiedział, podciągając spodnie. - Mają za duże stopy, mówią za głośno i śmierdzą jak przekłete hamburgery. Mamy rozkaz przetrząsnąć wszystkie statki opuszczające dzisiaj port. Szukamy wielkiego, ohydneho Amerykanina z raną postrzałową, iluzjonistki oraz jej asystentki podobnej do małpy.

– To rana od noża, nie od kuli - powiedział lekarz. - Poza tym nazywa się Smith. Sam byłem „Pod Orchideą” i widziałem początek walki. Gdyby

mnie tam nie było, ten facet nie miałby już okazji, żeby skłąć mnie z samego rana.

Sierzant wsunął rękę pod rozpiętą koszulę Indy'ego i już miał podnieść opatrunek, gdy inny żołnierz wprowadził do kajuty Faye. Kapitan Snark nie odstępował ich na krok.

– Oddaj mi ją - rozkazał Snark.

– Nie - wrzasnęła Faye. - Zabierzcie mnie z tego statku. Ten pirat porwał mnie i zamierza sprzedać jako prosty...

Sierzant uderzył Faye na odlew, na tyle silnie, że rozciął jej dolną wargę. Przez chwilę kobieta chwiała się, a jedwabna szata zaczęła zsuwać się z jej ramion. Indy był pewien, że zemdleje. Nagle oprzytomniała, otarła krew z rozciętej wargi i obdarzyła sierżanta chłodnym uśmiechem.

– Miałam nadzieje, że przyszłicie tutaj, żeby mnie uratować - powiedziała.

– Zamknij się, jeśli łaska - odparł Japończyk łamaną angielszczyzną.

– Być z ciebie dobra kobieta do towarzystwa. Nie zabierać cię na ląd.

– *Domo arrigato* - odezwał się Snark, po czym wykonał w stronę sierżanta lekki, niemal niedostrzegalny ukłon.

Sierzant silną ręką chwycił Indy'ego za podbródek przekręcił jego głowę w prawo i w lewo, oglądając uważnie rozcięcia i siniaki. Indy nie patrzył w świńskie oczka żołnierza, poczuł jednak odór z jego ust.

– To nie jest *gaijin*, którego szukamy - powiedział sierżant po japońsku. - Ten cuchnie dżinem i widać, że jest zbyt głupi, żeby uciec z miejskiego więzienia.

To powiedziawszy, pchnął Indy'ego z powrotem na koję, odwrócił się do drzwi i gestem nakazał swym ludziom odwrót. Nagle zatrzymał się, chwycił Faye w pól i przyciągnął ją do siebie brutalnie. Pocałował ją teatralnie w usta, wreszcie puścił i klepnął w pośladek.

Indy zszedł z koi i był już w połowie drogi do drzwi, kiedy lekarz chwycił go.

– Nie warto umierać w tej walce, brachu - szepnął medyk, gdy na korytarzu rozbrzmiewało jeszcze echo kroków żołnierzy. - Poczekaj, aż sobie pójda. Kiedy ten gość będzie umierał schwytany przez mściwych Chińczyków albo kiedy oślepie od syfilisu za to, że za często folgował sobie przy studni zatrutej przez własnych towarzyszy, my będziemy wznosić toast za jego wszawą postać w Hotelu International w Tokio. Znasz to miejsce?

– Tak - odparł Indy.

– Po drugiej stronie ulicy znajduje się biały zamek cesarza - stwierdził lekarz. - Kaczki i gęsi pływają spokojnie w fosie. Raz na sto lat uda się zwykłemu śmiertelnikowi dostrzec samego Hirohito, małego człowieczka w wielkim kapeluszu i powłóczystej szacie, który wygląda raczej na ogrodnika. Niezbyt okazały jak na żywego boga, prawda?

Indy popatrzył na lekarza. Podziwiał jego umiejętność uspokajania głosem oraz jego zdolność dostrzegania i doceniania piękna.

– Dziwisz się? Nie zawsze byłem wrakiem z popsutymi zębami i siną skórą - mówił dalej lekarz, zwracając się w kierunku Faye, żeby obejrzeć jej rozciętą, krwawiącą wargę. - Wykonywałem wiele zawodów: dziennikarz, prawnik, lekarz. No, niezupełnie lekarz, ale w tych stronach mogę uchodzić za lekarza. Siadywałem przy barze w Hotelu International, popijałem sake z tych małych, ceramicznych miseczek, gratulowałem sobie własnego obycia i obserwowałem, jak świat pędzi dookoła. Czułem się jak cesarz.

– Co potem?

– Japonia to cholernie piękna wyspa, a zobacz tylko, w jakich wrednych jest teraz rękach. Ale sami jesteśmy sobie winni, prawda?

Wiesz, że Japończycy nie przyjęli broni palnej, kiedy Portugalczycy przywieźli im ją czterysta lat temu? Ale teraz Japonia zdołała stać się równie nowoczesna i krwiożercza jak reszta świata. Świat jest znowu w stanie wojny, ale większość ludzi nie zdaje sobie z tego sprawy. Wojna zaczęła się tutaj dwa lata temu, ale nikogo to nie obchodzi. No cóż, brachu, w końcu zaczną ich obchodzić.

Wyjął z torby lekarskiej środek dezynfekcyjny i kilka wacików.

– Będzie bolało, ale nie zamierzam dochodzić, gdzie ten brutal wkładał dzisiaj ręce - powiedział, dotykając lekko wargi Faye.

– Jaki był twój los? - spytał Indy.

– Ocknąłem się - odparł lekarz. - I nie mogłem tego ścierpieć. Wiem, do czego to wszystko doprowadzi, bo nauczyłem się sztuki łątania ludzi jako sanitariusz podczas Wielkiej Wojny. Dlatego zacząłem pić i teraz dla zabicia czasu udaję, że jestem lekarzem na zardzewiałej krypie dowodzonej przez japońskiego przemytnika. A kiedy Snark wypuszcza się na wyprawę, żeby zgromadzić jak najwięcej nielegalnego towaru, opiekuję się sierotami wojennymi Mandżurii.

– Udajesz? - spytał Indy i poczuł, że jego rana zaczyna pulsować. - Wyjaśnij mi to szybko.

– No, cóż, przypomniałem sobie większość tych rzeczy - przyznał, kończąc zabiegi przy dolnej wardze Faye, zafarbowanej teraz jodyną.

– Jak się nazywasz? - spytał Indy.

– Bryce. - Kiedy wymówił swoje nazwisko, wydawało się, że nieco urósł. - Montgomery Bryce, absolwent Oxfordu, rocznik 1923.

– Jones - powiedział Indy i wyciągnął rękę.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Tak, wiem - powiedział Bryce. - Widziałem twoją gębę w gazetach. Ale dżentelmen nie mówi o takich rzeczach, dopóki nie zostanie oficjalnie

przedstawiony.

Nagle statek zatrzęsł się. Bryce oparł głowę o przepierzenie.

– Oho, podnosimy kotwicę. Holowniki wyprowadzają nas z portu. Wkrótce opuścimy ten cuchnący kawałek lądu.

– Co tym razem przewozi Snark?

– Nie zwierza mi się - odparł Bryce.

Ukląkł na podłodze, zamknął torbę, po czym spojrzał na Indy'ego z wyrazem niewysłowionego przerażenia zmieszanego z poczuciem winy.

– Wiesz, Jones, to co powiedziałem to szczerą prawdą - stwierdził. - Ale niecała. Kiedy udawałem, że nie widzę gwałtu zadawanego Mandzurii, zakochałem się w nałożnicy pomniejszego dygnitarza wojskowego, który kolaborował z Armią Cesarską. Dziewczyna nazywała się Si Huang, miała siedemnaście lat i była najdelikatniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem. Ale honornie pozwalał jej na zmianę dotychczasowego życia. Nie chciała ze mną uciec. Dygnitarz oczywiście dowiedział się o wszystkim. Wiesz, co zrobił?

Indy zamknął oczy.

– Zabił ją, potem wyciął jej serce, ugotował je i zmieszał z wieprzowiną, którą jadłem tamtego wieczoru na kolację.

Lekarz uśmiechnął się smutno.

– Od tego czasu nie biorę do ust mięsa - powiedział. - A wieczorami przed zaśnięciem, to znaczy, kiedy jestem trzeźwy, wciągam do nosa curry, wtedy odchodzą wszystkie nocne lęki.

„Kamikaze Maru”, czyli „Boski Wiatr” był na morzu od dziesięciu godzin, kiedy na horyzoncie pojawiły się dwa dwupłatowce kawasaki Ki-10, lecące wzdłuż kilwateru statku. Indy usłyszał monotony ryk silników

obydwu maszyn. Zdawał sobie sprawę, że ich obecność może oznaczać jedno - kłopoty.

Spał w ubraniu, więc żeby wyjść z kajuty wystarczyło złapać po drodze kapelusz i kurtkę. Świtało. Niebo było spowite czerwonorudym blaskiem wschodzącego słońca.

Gdy Indy dotarł do mostka kapitańskiego, samoloty buczały już nad statkiem.

Snark był na pokładzie i obserwował przez lornetkę, jak samoloty zamigotały i przygotowały się do kolejnego okrążenia. Na pokładzie stali też Faye, Mystery i Bryce.

Indy nie potrzebował lornetki, by dostrzec na skrzydłach obydwu maszyn *hinamaru* - wschodzące czerwone słońce, godło japońskiego imperium.

– Doktorze Jones - odezwał się Snark. - Wygląda na to, że sprawia pan więcej kłopotu niż to wszystko warte. Ktoś musiał się zorientować, który statek był na tyle pechowy, żeby mieć pana na pokładzie. Ma pan kogoś, kto będzie mógł nieźle zapłacić za odstawienie pana całego i zdrowego?

– Nikogo poza moim starym przyjacielem Marcusem Brody. On jeden potrafi znaleźć sposób, żeby zrobić ze mnie eksponat muzealny - odparł Indy.

– Niedobrze - stwierdził Snark. - Te dwupłatowce wyleciały za daleko w morze, żeby wrócić do Mandżurii. Nie mogą wylądować na wodzie, a paliwa ledwie wystarczy im, żeby dotrzeć do Japonii. Zamiast porządnego baku z paliwem oba mają torpedy przyłączone pod brzuchem.

Snark podał Indy'emu lornetkę.

– Możesz się z nimi jakoś skontaktować? - spytała Faye. - Może dałoby się coś wynegocjować.

– Na statku nie ma radia - odparł Snark.

– Myślałam, że po roku tysiąc dziewięćset dwunastym... - zaczęła Faye.

– Tak jest u was - Snark wyraźnie tracił cierpliwość. - Dla nas zatonięcie „Titanica” nie miało żadnego znaczenia. U nas zatonięcie statku to fatum. Do komunikowania się używamy chorągiewek, flar albo pistoletów sygnalizacyjnych, nie radia. Niestety w obecnych okolicznościach nie pozwala to na obustronne porozumienie.

– Wydaje mi się, że są już gotowi, żeby przesłać nam wiadomość - powiedział Indy, obserwując przez lornetkę, jak samoloty podążają jeden za drugim za rufą statku, gotując się do ataku. Zbliżywszy się na jakieś czterdzieści metrów, samolot lecący przodem zrzucił torpedę.

Stalowy rekin wpadł z impetem do wody przed dziobem statku, wyrzucając fontanny spienionej wody. Snark ostro skręcił w lewo, po czym przez tubę zaczął gromkim głosem rzucać rozkazy, by ewakuować maszynownię i zamknąć pomieszczenia na rufie.

– Próbują nas zatopić - wyjąkała Faye.

– Nie - odparł Snark. - Ale może im się to udać. Chcą nas nastraszyć, zniszczyć staruszkowi ster i śruby i uniemożliwić nam ucieczkę. Gdyby chcieli nas zatopić, uderzyliby obydwoma torpedami w sam środek. Ale nie wiedzą, co przewozimy w ładowni na rufie.

– Naciągać bras - zakomenderował gromko Snark zamykając oczy.

Torpeda uderzyła tuż przy prawej burcie. Strumienie wody zalały rufę i wstrząsnęły statkiem od strony kilu.

Snark otworzył lewe oko.

– No, nie było tak źle - powiedziała po chwili Faye.

– To jeszcze nie koniec - odparł Snark, próbując przekręcić ster. Był zablokowany w ostrym skręcie na lewą burtę. - Jedna śruba obraca się dookoła własnej osi i jedyne co możemy teraz zrobić to pływać w kółko.

– Co właściwie przewozimy? - spytał Indy.

- Chińskie fajerwerki - odparł Snark.
- Fajerwerki? - powtórzył Indy. - I ty nazywasz siebie przemytnikiem?
- To nielegalny towar - Snark próbował się bronić. - Można przy takiej zabawie stracić palec.

Z rufy zaczęły unosić się kłęby czarnego dymu.

Pierwszy oficer puścił w ruch korbę archaicznej syreny, używanej do wzywania brygad strażackich. Wypadło kilku marynarzy, którzy do tej pory znajdowali się pod pokładem. Jeden z nich szarpał się z automatycznym karabinem browning.

- Daj mi to - powiedział Snark, odbierając mu broń. - Chcesz wywołać wojnę z całą Armią Cesarską?

Pobrudzony smarem mechanik wpadł z impetem na mostek.

- Nikt nie jest ranny? - spytał Snark.
- Nie, kapitanie - odpowiedział po japońsku marynarz.
- W takim razie złaźcie pod pokład i ugaście ogień - warknął Snark.
- Nie możemy, kapitanie - powiedział mechanik. - W maszynowni jest coraz więcej wody, a na jej powierzchni płonie ropa.

- Czy ładownia na rufie jest bezpieczna?

- Tak, kapitanie - odparł mechanik. - Tak sędzę.

Świst racy i seria krótkich wystrzałów innego typu fajerwerków położyły kres jego wahaniu.

- Nie, kapitanie, z pewnością nie.

- Cholera - rzucił Snark.

Dwupłatowiec, który zrzucił torpedę, zawrócił i leciał nisko i powoli nad „Boskim Wiatrem”, oglądając zniszczenia. W tej chwili nie było to najlepsze miejsce na niebie. Skrzynia z fajerwerkami eksplodowała nagle, opryskując rufę ognistym, czerwono-zielonym deszczem i posypując

skrzydła samolotu kulkami wielkości grubego śrutu. Dolne skrzydło tliło się przez chwilę, a potem stanęło w płomieniach.

– Chyba się facet wykoleił - stwierdził Indy.

Snark zaklął kwieciście po japońsku.

– Zestrzeliliśmy samolot cesarski - mruknął do Indy'ego po angielsku. - Mając na pokładzie przemycane chińskie fajerwerki i trójkę białych uciekinierów.

– Gratuluję - Indy skwitował przemowę kapitana. - Robisz postępy.

Pilot zręcznie wyprowadził okaleczony samolot nad wodę. Sto metrów od sterburty tonącego frachtowca maszyna dotknęła powierzchni morza. Najpierw zaryła dziobem w wodę, wyrzucając w górę strugi wody, potem całym cielskiem opadła na morze.

Snark spokojnie wydał pierwszemu oficerowi rozkaz opuszczenia statku.

– Ile mamy czasu? - spytał Indy.

– Dwadzieścia minut - odparł Snark. - Najwyżej pół godziny. Woda nie zgasi fajerwerków, bo mają zapłony chemiczne. Wypalą dziurę w dnie kadłuba, a potem woda zaleje cztery komory, czyli o jedną za dużo, żebyśmy mogli utrzymać się na powierzchni.

– A może popłyniemy za tym pilotem? - spytał Indy.

– Wkrótce utonie - odparł Snark, po czym uśmiechnął się. - Zabawne, ale to nasz staruszek śmiał się ostatni, prawda?

– Nie, chodziło mi o to, żeby go uratować.

– Niezły pomysł - odparł Snark. Skinął głową w kierunku dwupłatowca, który wciąż krążył w powietrzu. - Zróbmy z tego przedstawienie. Może w ten sposób ocalę swoją skórę, jeśli kiedyś jeszcze wrócę do domu w Nagasaki. Panie Bryce, proszę wziąć jedną z szalup i wyłowić z morza cesarskiego pupilka.

– Popłynę z panem - powiedział Indy.

– Pospieszcie się - dodał kapitan. - Wygląda na to, że załoga zarezerwowała dla siebie pozostałe dwie łodzie. Niech reszta też popłyń z wami. Jako kapitan muszę ostatni opuścić statek.

– Faye, spakuj swoje rzeczy - powiedział Indy.

Kobieta skinęła głową. Mystery ruszyła za nią w kierunku kajuty, ale matka odepchnęła ją.

– Pomóż im przy spuszczeniu łodzi - powiedziała.

– Weź tylko zdjęcie - powiedziała Mystery. - I moją torbę ze sztuczkami.

– Nie daj się wyprowadzić w pole słowom Snarka - Bryce zwrócił się do Indy'ego, gdy wysunęli szalupę z uchwytów. - Nie ma za grosz honoru. Tak naprawdę, chce mieć pewność, że to on zgarnie sejf ze swojej kajuty, zanim rzuci się na niego pierwszy oficer.

– Tak wiele ma do stracenia? - spytała Mystery.

– Nie jest to wiele - odpowiedział Bryce. - A przynajmniej nie w naszym rozumieniu. Kilkaset dolców, równowartość nowego samochodu w Stanach. Ale kiedy straci statek, tylko to mu pozostanie.

Przerzucili sieć przez burtę statku, a kiedy Faye wróciła, po kolei zsuwali się po sieci do blisko pięciometrowej szalupy. Gdy zanurzyli wiosła w wodzie, Indy zaczął z bólu głośno łapać powietrze.

– Zastąpię cię - powiedziała Mystery, zajmując miejsce Indy'ego przy wiosle. - Idź na dziób i szukaj pilota.

– Mamy szczęście - powiedział Bryce. - Morze jest dzisiaj spokojne.

Nagle wszyscy skrzywili się, gdy kolejna partia fajerwerków eksplodowała w ładowni i wystrzeliła w poranne niebo.

– Szczęście - stwierdził Indy - to pojęcie względne.

Płynęli w kierunku oleistej plamy, znaczącej miejsce zatonięcia samolotu. Pilot utrzymywał się na powierzchni w pozycji pionowej, trzymając usta nad wodą.

Indy roześmiał się na widok jedwabistych, czarnych włosów unoszących się na wodzie wokół głowy pilota.

– Porucznik Musashi - stwierdził Indy. - Dlaczego mnie to nie dziwi?

Musashi warknęła coś po japońsku i zachłysnęła się wodą. Zaczęła prychać, kasłać, na krótką chwilę woda przykryła ją całkowicie. Kiedy wypłynęła, widać było, że jest zmęczona, niemal u kresu sił, zdołała jednak dodać po angielsku :

– Jesteś aresztowany, Jones.

Mystery rozpoznała jej sposób zachowania.

– To ta wariatka, która ściagała cię na placu?

– Niestety - odparł Indy.

Bryce wstał, żeby pomóc Indy'emu wciągnąć kobietę do łodzi.

– Chodź - powiedział, wyciągając ku niej wiosło. - Bądź małą, grzeczną imperialistką i wskakuj do łodzi.

Nad ich głowami kołował drugi dwupłatowiec.

– Idź do diabła - powiedziała Musashi i znowu nałykała się wody.

– Nie utrudniaj nam życia - zbeształ ją Indy. - Utopisz się, jak będziesz nieostrożna. Wiesz, że mamy pełne prawo cię tutaj zostawić.

Musashi potrząsnęła głową.

– W porządku - stwierdził Bryce. - Wszyscy jesteśmy aresztowani. A teraz włącz do łodzi i upewnij się, czy widzi to twój krwiożerczy kumpel.

Musashi znowu poszła pod wodę, ale drżącą ręką chwyciła za pióro wiosła. Bryce przyciągnął ją do burty, Indy zaś zdrową ręką chwycił za oblamowany futrem kołnierz jej kurtki lotniczej i wciągnął kobietę do łodzi.

– Waży w tym chyba tonę - jęknął Indy.

Bryce pomachał w powietrzu wiosłem.

Dwupłatowiec poruszył w odpowiedzi skrzydłami, po czym odleciał na południowy wschód.

Bryce odłożył wiosło i wsunął palec do ust Musashi, sprawdzając, czy nie połknęła języka.

– Oddycha? - spytał Indy.

– Chyba tak - odparł Bryce, przechylając głowę kobiety za burtę i uderzając ją silnie w plecy. Z nosa i ust Japonki chlusnęła woda. Gdy medyk odwrócił ją na plecy, próbowała go odepchnąć, ale była zbyt słaba.

– Pomóżcie mi sprawdzić czy nie ma broni - powiedział Indy.

– Chyba żartujesz? - spytał Bryce. - To tylko dziecko.

– To „dziecko” zrobiło mi dziurę w ramieniu i zatopiło nasz statek - odparł Indy. Rozsunął kurtkę Musashi, po czym zamarł w bezruchu. - Hm, Mystery, mogłabyś to dla mnie zrobić?

– Z przyjemnością - odparła dziewczyna. Podeszła i zaczęła przetrząsać kieszenie Japonki. - Mamy tu otwieracz do konserw, kompas i trochę drobnych. - Wręczyła Indy’emu znalezione przedmioty, po czym zaczęła grzebać w innej kieszeni.

– O, kurczę - powiedziała, wyciągając automatyczną dwudziestkę piątkę. Bryce wziął pistolet i wsunął sobie do kieszeni.

– Szukaj dalej - powiedział Indy.

– Jakies papiery - stwierdziła Mystery. - Wygląda to na paszport i jakies dokumenty urzędowe. Och, spójrzcie, czerwona wstążka. Śliczna, prawda?

– Szukaj dalej.

– W porządku - odparła Mystery, po czym zaczęła obmacywać nogawki spodni Japonki i cholewy jej butów. - Miałeś rację. Co za wredny nóż.

Obejrzawszy uważnie nóż sprężynowy, Indy wyrzucił go za burtę.

Kiedy wrócili do wraku, żeby zabrać Snarka, pozostałych członków załogi już nie było, kadłub zaś zanurzał się w alarmującym tempie od dzioba do rufy. Kapitan stał spokojnie, paląc papierosa. Przez ramię przewiesił sobie płócienną torbę.

Wrzucił torbę do łodzi.

– Co tak długo? - zapytał, schodząc do szalupy.

– Mieliśmy trudności - odparł Indy.

– Kiedy „Wiatr” zatonie, zrobi się taki wir, że możemy pójść na dno razem ze statkiem - powiedział Snark, biorąc rumpel. - Lepiej odpłynemy jak najdalej.

Chociaż „Kamikaze Maru” zanurzył się całkowicie w Morzu Japońskim, woda nie ugasiła ognia, który zżerał statek od środka. Ogień tlił się nawet wtedy, gdy statek osiadł już na dnie. Miejsce jego spoczynku wskazywała dymiąca kipiela, przypominająca zawartość kotła czarownicy.

4.

Ty Fung

Statki, małe i duże, przybyły na pomoc rozbitkom. Pojawiły się nie wiadomo skąd, kierowane niepisany prawem morskim oraz fajerwerkami, strzelającymi w górę nad grobem „Boskiego Wiatru”. Snark wybrał parowiec pocztowy zmierzający na kontynent, pozostali członkowie załogi zaokrętowali się na statek wielorybiczny, który był w drodze powrotnej do Japonii.

– Do widzenia, Faye! - zawołał teatralnie Snark, gdy parowiec oddalał się, sapiąc. Wymachiwał kapeluszem i nieostroźnie wychylał się przez barierkę. - Dopóki los znowu nas ze sobą nie zetknie!

– Chyba jest nawiedzony - powiedział Indy, chwytając drabinę sznurową, którą spuściła za burtę załoga dżonki.

– Taki po prostu jest - stwierdziła Faye obojętnie.

Mystery pierwsza wdrapała się po drabince i weszła na pokład dżonki, po czym wyciągnęła rękę, pomagając Bryce'owi przejść przez barierkę. Indy był w połowie drogi, kiedy Faye zawołała do niego.

– Co z nią zrobimy?

Musashi wciąż siedziała w szalupie. Była ponura, ręce miała związane przed sobą.

– Zostaw ją - powiedział Indy.

– Nie możemy - zaprotestowała Faye.

– Możemy - krzyknęła Mystery. - Próbowała nas zabić, mamó. Posłuchaj doktora Jonesa. Ma rację.

– Podchodzić pragmatycznie do życia to co innego niż mieć rację, Mysti - powiedziała Faye znużonym głosem. - To ludzka istota. Nie możemy

zostawić jej samej w szalupie.

– A kto zostanie, żeby ją niańczyć? - spytał Indy.

– Ja nie - stwierdziła Mystery.

Musashi przez cały czas próbowała panować nad sobą, ale w jej wielkich oczach pojawiło się przerażenie.

– Nie pójdę bez niej - powiedziała Faye.

– W takim razie niech wybiera - uciął krótko Indy. - Może iść z nami i zachowywać się przyzwoicie, bo jeśli zaczniesz sprawiać kłopoty wyrzucimy ją za burtę.

– Rozumiesz? - spytała Faye.

– Tak - powiedziała Musashi.

– Doktor Jones mówi poważnie - dodała Faye.

– Rozumiem - powiedziała cicho Japonka. - Ale i tak wszyscy jesteście aresztowani.

– Sama widzisz, mam - wtrąciła się Mystery. - Ona jest niemożliwa!

– W takim razie będziemy musieli traktować ją jak ładunek - powiedział Bryce, zrzucając linę do szalupy. - Obwiąż ją, a my ją wciągniemy.

Faye przeciągnęła linę pod pachami Musashi, Bryce zaś wciągnął ją do dżonki. Dotknąwszy stopami nowego statku, dziewczyna nie przestała się szamotać.

– Czekają nas same kłopoty - zawyrokował Indy, gdy Faye stanęła na pokładzie.

Kapitan dżonki, stary, żylasty mężczyzna, stał w nadbudówce i paląc długą glinianą fajkę, przyglądał się temu widowisku. Roześmiał się, widząc błazeństwa Musashi.

– Dobrze, że komuś jest tu do śmiechu - powiedział Indy.

– Chyba myślisz, że to twoja dziewczyna, brachu - stwierdził Bryce, spychając szalupę z powrotem na wodę. - Myślisz też, że nie jest ci z nią

lekkko. I chyba muszę przyznać mu rację.

– Armia Cesarska nie będzie zachwycona, kiedy znajdzie pustą szalupę - powiedział Indy, próbując nie zwracać uwagi na rozbawienie Bryce'a. - Chciałbym żeby myśleli, że utonęliśmy.

Wyjął z kabury webleya, wychylił się przez barierkę i oddał pięć strzałów do oddalającej się szalupy. Powoli zanurzyła się, wirując w zostawianym przez dżonkę kilwaterze.

– Sokai Sensei nie da się na to nabrać - powiedziała Musashi.

– Oczywiście, że nie - odparł Indy, ładując webleya. - Ale zyskamy trochę więcej czasu. Panie Bryce, może utniemy sobie pogawędkę z kapitanem?

Po długiej i chwilami gorącej dyskusji, dobito w końcu targu.

– Ten stary malajski pirat chciał sto dolarów za dowieszenie nas do portu - relacjonował Indy, dołączając do pań Maskelyne bawiących na przednim pokładzie. - Dałem mu wszystko, co miałem, czyli trzydzieści pięć dolarów i trochę drobnych.

– Wystarczyło?

– Musiało - odparł Indy.

– Dokąd właściwie płyniemy?

– Do Szanghaju - odparł Indy. - Dobrze się składa, bo mam tam przyjaciół. Powinniśmy tam dotrzeć jutro wieczorem. Do tego czasu musimy siedzieć cicho i niczym się nie przejmować.

Faye skinęła głową.

– Potem zorganizujemy wam powrót do Anglii.

– Co takiego? - spytała Faye.

– Jesteśmy Amerykankami, doktorze Jones - wtrąciła Mystery. - Mama mówi na scenie z brytyjskim akcentem, bo ludzie tego oczekują, wiedząc, że tata jest Anglikiem. Mama urodziła się w Oklahomie.

– W porządku - stwierdził Indy. - W takim razie zorganizujemy wam powrót do Stanów.

– Nie zamierzamy wracać - powiedziała Faye. - Zostaniemy tutaj, dopóki nie znajdziemy ojca Mystery.

– Nie macie czego szukać w tej części świata - powiedział Indy. - Tu jest niebezpiecznie, jeżeli do tej pory tego nie zauważyłyście. Ty i twoja zbiegła asystentka możecie pobyt tu przypłacić życiem.

– Świetnie sobie radziłyśmy - odparła Faye - dopóki nie wpadłeś, żeby zepsuć nasze przedstawienie. To nie nas poszukiwała Armia Cesarska. I, o ile dobrze pamiętam, to my uratowałyśmy twoją skórę, a nie na odwrót.

– Też świetnie sobie radziłem - odciął się Indy.

Faye roześmiała się.

– Nieprawda - stwierdziła. - Niewiele brakowało, a wróciłbyś jak niepyszny do więzienia. A skoro już o tym mowa, za co cię wsadzili? Nigdy nam nie opowiadałeś.

– To długa historia - odparł Indy.

– Nie wątpię - powiedziała Faye. - I to twoje pseudo. Nie przyszło ci do głowy nic lepszego niż Jones? Zupełny brak wyobraźni.

– To moje prawdziwe nazwisko - zaprotestował Indy.

– Ale tylko wtedy, kiedy nie nazywasz się Smith, no nie?

– Mamo - powiedziała błagalnie Mystery. - Przestań się kłócić.

– To on zaczął - odparła Faye. - Chcę tylko, żeby zrozumiał, że nie przestaniemy szukać Kaspara i że oczekujemy, iż zrefunduje nam straty, jakie poniosłyśmy z jego powodu.

– Czy to znaczy, że wszystko, co mówiłaś, było prawdą?

– Oczywiście - odparła Faye. - Myślisz, że wymyśliłybyśmy to wszystko?

– To była tak świetna historia - powiedział Indy - że wydawało mi się to zaplanowaną częścią przedstawienia. Wybaczcie, ale zawsze odnosiłem wrażenie, że iluzjoniści nie są zbyt prawdomówni. Ale skoro mówisz, że to prawda... to zmienia postać rzeczy i otwiera szereg interesujących możliwości. Sam chętnie trochę bym powęszył.

– Jak pańskie ramię, doktorze Jones? - spytała Mystery.

Za wszelką cenę chciała zmienić temat rozmowy.

– Boli - powiedział Indy, wyciągając się na stercie jutowych worków i lin, i nasuwając kapelusz na oczy. Nie odzywał się przez chwilę, po czym zapytał: - To znaczy, że ten twój Kaspar naprawdę ruszył na poszukiwanie Laski Aarona?

Ale zanim Faye zdążyła odpowiedzieć, Indy już chrapał.

Dżonka płynęła powoli, leniwie na południowy zachód, Indy zaś pozwolił sobie na sen, aby móc wytrzymać ból ramienia. Wiatr pchał łódź do przodu, jedynymi dźwiękami były szum morza i żagli. Wydawało się, że scena ta nie należy do żadnej epoki, że mogła zdarzyć się we wrześniu któregoś roku w ciągu ostatnich tysiąca lat. Tajemnicza, o tradycyjnej budowie dżonka, przypominająca zamek, płynęła kanałem oddzielającym Japonię od okupowanej Korei.

Tego popołudnia dżonka przepłynęła wschodnią część Morza Chińskiego i kierowała się do Szanghaju. Chociaż na wschodzie zbierały się gęste, burzowe chmury, powietrze było balsamiczne, morze spokojne, a wiatr umiarkowany. Zdawało się, że wszystko wokół lśni zielonozłocisto, powietrze bowiem miało w sobie ten blask, jaki Indy widział tylko na Wschodzie.

Nagle późnym popołudniem na morze spadł cień.

Chmury burzowe ze wschodu pchały przed sobą zimny front atmosferyczny, w którego zasięgu znalazła się właśnie dżonka. Słońce zbladło, a temperatura spadła gwałtownie. Pasażerowie zaczęli drżeć z zimna, Indy zaś ocknął się ze snu, słysząc szept marynarzy: *ty fung*.

– Gdzie jesteśmy? - spytał Indy, podchodząc do barierki.

– Jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od wybrzeża Chin w pobliżu Szanghaju - odparła Faye.

Wiatr przybierał na sile, ale nie zaczęło jeszcze padać. Szaty Faye łopotały na wietrze jak proporce. Kobieta trzymała się takielunku, spoglądając ponad wzburzoną wodą na czarne chmury napływające ze wschodu. Błyskawica przecięła ścianę chmur, wiatr zaczął wiać bez opamiętania i na ziemię lunęły potoki wody.

– Co oni tak szepczą? - spytała Faye.

– *Ty fung* - odparł Indy.

– Co to znaczy?

– Nic dobrego.

– Obawiam się, że ma pan rację - przyznał Bryce, pocierając zapałkę. Oślonił ją zwiniętą dłonią i zapalił papierosa. - To znaczy tajfun. A biorąc pod uwagę porę roku i duży spadek ciśnienia w ciągu ostatniej godziny muszę przyznać, że mają, skurczybyki, cholernie dużo racji.

– Huragan? - spytała Mystery.

– W tych stronach nazywa się je tajfunami - odparł Bryce. - W Australii willie-willies, na Filipinach *el baguio*, w strefie Oceanu Atlantyckiego używa się nazwy huragany. Ale wszystkie biorą się z tropikalnych cyklonów.

– Niesamowite - powiedziała Mystery.

– Szkoda, że nie mamy radia - stwierdził Bryce. - Ciekawe, jak mój stary przyjaciel Clement Wragge nazwałby ten fenomen. Spryciarz z tego

Clementa. Jest Australijczykiem i opracowuje prognozy pogody. Ma zwyczaj nadawać huraganom imiona kobiet, które adoruje lub polityków, których nie cierpi.

– Kto to słyszał nazywać huragan kobiecym imieniem? - zdumiała się Faye.

– Mnie się to wydaje absolutnie logiczne - mruknął Indy.

– Nie możemy przed nim uciec? - spytała Mystery.

– Ta burza ma jakieś sześćset kilometrów szerokości - odparł Bryce. - Poza tym tajfuny wieją zazwyczaj na południowy zachód, aż uderzą o brzeg. Płyniemy dokładnie przed nim. Tylko cud mógłby sprawić, żebyśmy stanęli na stałym lądzie, zanim się zacznie.

Musashi, która siedziała po turecku na pokładzie ze związanymi z przodu rękami, zaczęła się śmiać.

– Co w tym śmiesznego? - zapytał ostro Indy.

– Nawet pogoda jest przeciwko tobie - odpowiedziała zagadnięta.

– Ma chorobliwe poczucie humoru - stwierdziła Mystery.

– Co możemy zrobić? - spytała Faye.

– Obawiam się, że nic - powiedział Bryce. - Czekajmy na rozwój wypadków. Możemy tylko mieć nadzieję, że znajdziemy jakąś zatoczkę albo inne schronienie zanim nadciągnie tajfun.

To powiedziawszy, Bryce wyjął z kieszeni marynarki półlitrowkę dżinu, opróżnił ją, a pustą butelkę wyrzucił za burtę.

Sokai miał na sobie czarną szatę. Siedział na stopach, ze skrzyżowanymi wielkimi palcami u nóg, a jego otwarte dłonie spoczywały na udach. Pochylił zabandażowaną głowę, dotykając czołem drewnianej podłogi. Trwał w tej pełnej szacunku pozycji przez kilka sekund.

Gdy ponownie usiadł prosto, po obydwu stronach ciemnego ołtarza zadrżały płomienie świec. Ich blask odbił się w pokrytej czarną laką pochwie samurajskiego miecza, leżącego na podłodze w zasięgu ręki mężczyzny oraz w wiszących na ścianach podobiznach jego nieżyjących mistrzów. Płomienie świec odbiły się również w brązowej tęczęwce prawego oka mężczyzny.

Drugie oko, zakryte bandażem, było już bezużyteczne. Śruby stalowego dziadka do orzechów wyrwały Japończykowi również spory kawał lewego ucha i policzka. Obrażenia oraz nieudolne szwy, jakimi miejscowy lekarz z Luchow zaszył rany, sprawiły, że Sokai zmienił się z idola w stylu amanta filmowego nieomal w Quasimodo.

Przez wiele godzin siedział w bezruchu przed ołtarzem w mroczniejącej hali treningowej, poszukując *boon ki* - przyczyny, istoty, prawdziwego znaczenia - tego, co się stało. Zdążył już przyjrzeć się wizerunkom mistrzów Bushido, począwszy od swojego własnego nauczyciela, a kończąc na wizerunku gniewnego Dharumy z wyraźnymi szczelinami między zębami. Dharuma żył w szóstym wieku, był założycielem buddyzmu zen i wprowadził sztukę walki do klasztoru Songsham Shaolin. Mówiono, że po przybyciu do klasztoru, spędził dziewięć lat kontemplując w milczeniu ścianę jaskini i słuchając krzyku mrówek.

Jeden z mnichów był tak poruszony widokiem jego samokontroli, że odciął sobie rękę i podarował Dharumie na znak solidarności.

Niektórzy twierdzili, że historia ta celowo wymykała się wszelkim interpretacjom; był to jeszcze jeden *koan zen*, który człowiek jest w stanie poznać powierzchownie, ale nigdy nie zrozumie jego istoty. Racjonalne zrozumienie istoty rzeczy nie było możliwe, człowiek mógł jedynie dojść do swoistego kontemplacyjno-emocjonalnego pogodzenia ze światem.

Jednak dotykając opuszkami palców bandaża na niewidzącym oku, Sokai był przekonany, że zrozumiał przesłanie. Ciemna noc jego życia została rozświetlona w taki sam sposób, w jaki błyskawica odkrywa tajemnice letniej nocy.

W krzyku mrówek Sokai rozpoznał nazwisko.

– Jones - zawył Sokai.

To nazwisko stało się przekleństwem.

Ciemna ściana wiatru i wody ogarnęła dżonkę. W ten sposób tajfun zawładnął łodzią. Burza pchała ją z impetem do przodu, nie dając chwili wytchnienia, jakby łódź była deską surfingową unoszącą się na grzbiecie fali. Kapitan i załoga ulotnili się, widząc pierwsze oznaki zbliżającej się burzy. Uciekli w małych łódkach, które uparcie sunęły za dżonką jak drobne rybki na brzuchu rekina. Zamierzali przeczekać burzę na jakiegokolwiek wyspie. Potem, kiedy wszystko ucichnie wrócą, o ile dżonka przetrwa nawałnicę. Jeśli nie, zawsze w końcu znajdzie się statek, który weźmie ich na pokład.

Indy i pozostali byli w gorszej sytuacji.

Szybko przenieśli się do ładowni na śródokręciu, gdzie siedzieli ściśnięci jedno przy drugim. Przed uderzeniem burzy Bryce rozciął linę krępującą nadgarstki Musashi. Indy wsunął swą fedorę za pazuchę kurtki i zasunął suwak. Następnie splótł ręce z Faye po lewej, a Mystery po prawej stronie.

Słyszeli zbliżającą się burzę. Mieli wrażenie, jak gdyby setka parowozów pruća w ich kierunku po wodzie.

– Doktorze Jones - zawołała Mystery.

– Co?

– Boję się.

– Ja też - odpowiedział Indy. - Ale trzymaj mnie cały czas za rękę, co by się nie działo.

Gdy pierwsza potężna fala wdarła się na pokład, połamano maszty dżonki, jak gdyby to były kruche gałązki. Łódź wywróciła się do góry dnem. Przez blisko minutę Indy i jego towarzysze znajdowali się pod wodą, wstrzymując oddech, dopóki kadłub znowu nie wyprostował się.

Zabudowane części dżonki na dziobie i rufie, szybko zostały roztrzaskane przez trzydziestometrowe fale i wiatr, osiągający chwilami prędkość ponad trzystu kilometrów na godzinę. Wręgi kadłuba sterczały niczym żebra. Woda przelewała się w tę i z powrotem przez ładownię, ale środkowa część kadłuba trzymała się mocno.

Nagle kolejna fala, tym razem z przeciwnej strony, uderzyła w kadłub, który znacznie się przechylił i zawisł nad kipiela.

Mystery krzyknęła, gdy pokład usunął się spod jej stóp.

Indy chwycił ją mocniej za nadgarstek.

Dziewczyna wisiała przez chwilę nad przepaścią.

– Mysti! - krzyknęła Faye.

– Złapałem ją - powiedział Indy.

W tej samej chwili obluzował się uchwyt do mocowania ładunku, którego do tej pory trzymał się Bryce i doktor wpadł do rozszalałego morza, wymachując odzianymi w białą marynarkę ramionami jak skrzydłami wiatraka.

Indy przyciągnął Mystery do swego boku, gdy kadłub zaczął z trzaskiem cofać się ku morzu.

Burza trwała jeszcze przez ponad godzinę, ale bezlitosne ataki wody i wiatru znacznie wcześniej pozbawiły przytomności Indy'ego i jego towarzyski. Ładownia była zalana wodą, ale unosiła się na powierzchni.

Gdy wiatr ucichł, okaleczony kadłub zarył w piach na brzegu wysepki o kształcie sierpa.

Pierwsza ocknęła się Faye.

Najpierw sprawdziła, czy Mystery równo oddycha, a potem uwolniła się z lin, którymi była mocno przywiązana do drzwi ładowni. Poprawiła ubranie.

Potrząsnęła Indym.

– Jones - powiedziała. - Obudź się.

– Nie śpię - odpowiedział stanowczo. - Gdzie jesteśmy?

– Na jakiejś wyspie. Wygląda na nie zamieszkałą. I pewnie nie ma jej na mapach morskich. Oczywiście wiatr zniósł nas dość daleko i mogę się założyć, że nie jesteśmy w pobliżu Szanghaju. Ale burza się skończyła.

– Niemożliwe - powiedział Indy, przecierając oczy.

– Jest cicho - stwierdziła Faye. - I popatrz w górę: niebo bez jednej chmurki.

– Żartujesz.

– Nie. I ptaki fruują.

– Ta burza rozciągała się na setki kilometrów - zaproponował Indy. - To niemożliwe, żeby skończyła się tak szybko.

Faye z trudem podniosła się na kolana. Pochyliła się i poklepała Mystery po policzku. Dziewczyna zamrugła powiekami, otworzyła oczy i długo wpatrywała się w matkę.

– Pan Bryce - odezwała się. - Przykro mi, że nie żyje.

– Mnie też - powiedziała Faye. - Ale wyglądało to tak, jak gdyby dobrowolnie złożył się burzy w ofierze, żebyśmy my mogli przeżyć.

– Też tak sobie pomyślałam - powiedziała Mystery.

– To była ciężka przeprawa, i tyle - stwierdził ochryłym głosem Indy, odwiązując się od drzwi ładowni. - Ale to cud, że nasza trójka to przeżyła.

– Czwórka - wtrąciła Musashi mimo wyczerpania. - Jest nas czworo. Oficer Armii Cesarskiej i trzech więźniów.

– Oczywiście - powiedział Indy, wyciągając zza pazuchy nasiąknięty wodą kapelusz i wkładając go na głowę. - Ale cud pozostaje cudem, niezależnie od tego, jak na to spojrzysz.

– Święta prawda - powiedziała Faye. - Popatrzcie.

Podwójny łuk tęczy przeciął niebo za ich plecami.

– To nie koniec - powiedział Indy, któremu nagle rozjaśniło się w głowie. - To tylko chwila wytchnienia. Jesteśmy w samym sercu burzy. Spójrzcie na linię horyzontu, a zobaczycie ścianę chmur narastającą dookoła nas.

– Co teraz zrobimy? - spytała Faye.

Indy wstał.

Mystery skrzywiła się współczująco, słysząc strzykanie i chrzęst w kolanach mężczyzny.

– Musimy znaleźć jakieś miejsce, w którym moglibyśmy przeczekać resztę burzy - powiedział Indy, rozcierając ramię. - I lepiej pospieszmy się. Jeśli spojrzycie do góry, zobaczycie, że epicentrum jest już nad nami. Wkrótce nadejdzie reszta i znowu rozszałe się burza równie wściekła jak ta, którą mamy już za sobą.

– Spójrzcie - powiedziała Musashi.

Wskazywała ręką na teren powyżej plaży.

Na plaży leżały wyrwane z korzeniami drzewa i inne szczątki pozostawione przez burzę. Ale w samym sercu wyspy, nad kępą palm wznosiła się iglica z nieheblowanego drewna, a na jej szczycie widniał drewniany krzyż.

5.

Wyspa Łazarza

Drewniany krzyż był umieszczony na skalistym cyplu wznoszącym się nad laguną. Poniżej znajdował się kościół zbudowany w grocie powstałej w wulkanicznym zboczu. Wejścia do świątyni strzegły potężne, podwójne drzwi pokryte miedzią.

Indy złapał za pierścień na jednym skrzydle drzwi i pociągnął.

– Zamknięte - powiedział.

Wiatr przybierał na sile i zaczęło znowu padać.

– Czy ktoś jest w środku? - spytała Faye.

– Ktoś zamknął drzwi od wewnątrz - odparł Indy.

Na plaży znajdowało się kilka chat, i kilkanaście dźwigów wznosiło się wysoko nad piaskiem. Kilka sfatygowanych tablic głosiło po francusku, że jest to zastrzeżona strefa handlowa.

Indy najpierw walił pięścią w zaśnieżoną miedzianą blachę, a potem podniósł odłamek skały wulkanicznej i przy jego pomocy nadal dobijał się do drzwi. Deszcz stał się ulewny. Piorun uderzył w palmę dwadzieścia pięć metrów od nich, a wstrząs wywołany uderzeniem o mało nie rzucił ich na ziemię.

– Hej! - wrzasnęła Mystery z nową energią. - Wy tam w środku! Potrzebujemy schronienia!

Nagle z drzwi zdjęto sztaby. Otworzył je nieforemny mężczyzna w długim habicie. W dłoni trzymał lampę naftową.

Cała czwórka wbiegła do jaskini.

– Dzięki - powiedział Indy, strząsając wodę z kapelusza. - Złapała nas burza... znowu.

– *No entrez* - powiedział mężczyzna.

– Panie, na zewnątrz szaleje huragan - powiedziała Mystery. - A może pan nie zauważył?

– Zauważyć - odpowiedział mężczyzna z wyraźnym francuskim akcentem. Miał zachrypnięty głos, jak gdyby od dłuższego czasu nie wymówił ani słowa. - Wyspa jest zastrzeżona. Nie możecie zostać.

– Przykro mi - powiedział Indy. - Ale naprawdę nie mamy innego wyjścia. Nasz statek zatonął podczas burzy.

– Co to znaczy zastrzeżona? - spytała Faye.

– Zabroniona - odpowiedział chrapliwie mężczyzna.

Postawił lampkę na posadzce. Jego twarz skrywał ogromny kaptur. Gdy Indy próbował położyć mu po przyjacielsku dłoń na ramieniu, nieznajomy odsunął się gwałtownie.

– Przepraszamy - powiedział Indy. - Nie będziemy sprawiać kłopotu. O mało nie utonęliśmy podczas burzy. Odejdziemy jak tylko to będzie możliwe. Ma pan może radio, żebyśmy mogli wezwać pomoc?

– Zostańcie tu - powiedział mężczyzna.

Zostawił lampkę i zniknął w ciemności.

– O co w tym wszystkim chodzi? - spytała Faye.

– Nie wiem - odparł Indy - ale musi dobrze widzieć w ciemności.

Na zewnątrz szalała burza. Pod podwójnymi drzwiami do świątyni wdzierała się woda i rozlewała się po kamiennych płytach. Indy wziął lampkę stojącą na posadzce i podniósł ją wysoko. Lampka zakołysała się. W jej drżącym świetle ukazały się rzędy zakurzonych ławek stłoczonych obok siebie na chybił trafił.

– Wygląda na to, że już dawno nie odprawiano tu nabożeństw - powiedział Indy.

– Przez całe lata - dodała Faye.

– Nie podoba mi się tu - powiedziała Musashi. Obejmowała się ramionami, by powstrzymać drżenie. - To miejsce przypomina mi historie o duchach, które opowiadała mi babcia. Grupa podróżnych złapana przez burzę znajduje schronienie w dziwnym zamczysku. Nigdy nie kończy się to dobrze.

W końcu na przeciwległym krańcu kościoła zabłysła kolejna latarenka. Światło zbliżyło się do nich. Trzymał je inny mężczyzna, również w habicie, ale wyższy od poprzedniego.

– Przepraszam za Henry’ego - odezwał się z francuskim akcentem. - Nieczęsto przyjmujemy tu gości. Właściwie w ogóle nigdy tu do nas nie zagląдают. Rozumiem, że wasz statek zatonął. Czy przeżył ktoś jeszcze?

– Nie - odpowiedziała Faye. - Tylko my.

– Przykro mi - powiedział mężczyzna. - Co to był za statek? Handlowy? Jaka linia?

– Bez linii - odparł Indy. - To była dżonka. Nie wiem nawet, jaki był jej port macierzysty.

– W takim razie nie trzeba wysyłać wiadomości przez radio ani poszukiwać pozostałych - stwierdził mężczyzna. - Chodźcie za mną. Musicie się osuszyć i ogrzać.

Mężczyzna sprowadził ich w dół po schodach do przypominającego bunkier pomieszczenia. Stał tam długi drewniany stół, kilka prostych łóżek i półka na książki. Mężczyzna przytrzymał świecę przy kominie lampy naftowej, dopóki kot nie zaczął się palić, po czym za pomocą tej samej świecy zapalił trzy kolejne lampy stojące na drewnianym stole.

– Nic wam tu nie grozi - odezwał się mężczyzna.

– Prawie nie słyhać burzy - powiedział Indy.

– Tak. Zakon zbudował sobie prawdziwą fortecę - powiedział wesoło mężczyzna, wkładając drwa do pękatego pieca na środku izby.

– To pomieszczenie nie było używane, od kiedy opuścił nas ostatni z braci. To dziwne, ale stare nakazy dotyczące izolacji nadal są przestrzegane.

– Proszę mi wybaczyć - zaczął Indy. - Nie chciałbym być niegrzeczny, ale czy może mi pan powiedzieć, gdzie jesteśmy?

Mężczyzna oderwał się od rozpalania pieca, nie zdając sobie sprawy, że jego pokryty plamkami palec wskazujący został ogarnięty przez przybierające na sile płomienie.

– Proszę uważać - zawołał Indy i pociągnął mężczyznę za ramię.

– Cholera - powiedział mężczyzna, szybko gasząc tłącą się szatę - Naprawdę nie wiecie? Nie widzieliście napisów?

– Coś tam było o jakiejś strefie handlowej - powiedziała Faye.

– Tak - przyznał mężczyzna, zamykając drzwiczki pieca i siadając na pobliskim krześle. - To Wyspa Łazarza. Osada została założona przez zakon Świętego Łazarza. To kolonia dla trędowatych.

– Trędowaci - syknęła Musashi.

– Podobno nie jestem bardzo szkaradny - powiedział mężczyzna, zsuwając z głowy kaptur. Był w średnim wieku. Miał bladą twarz i wyglądał normalnie, tylko wzdłuż nosa widać było różowawoszare przebarwienia. - Mam za to kłopoty z rękami. Nie mam czucia w palcach. Przepraszam za smród przypalonego ciała.

– A więc stąd to zastrzeżenie - spokojnie stwierdził Indy. - Pieniądze z handlu.

– Tak. Musimy korzystać z pieniędzy, które przynosi handel - mówił dalej mężczyzna. - Strach przed zarażeniem, rozumiecie. Początkowo zapewniali je Francuzi, a potem, kiedy kilkadziesiąt lat temu w zakonie nastąpił rozłam, Amerykanie wyasygnowali pieniądze i utrzymali restrykcje. Kościoła używano ostatni raz jeszcze przed Wielką Wojną.

– Więc jest to własność Stanów Zjednoczonych? - spytał Indy.

– Nikt nie przyzna się do posiadania Wyspy Łazarza - odparł mężczyzna i roześmiał się. - Ale i tak zmuszają nas do używania oddzielnych pieniędzy. Kupujemy to, czego sami nie jesteśmy w stanie zrobić.

– Czy to jest zaraźliwe? - spytała Mystery.

– Przepraszam - powiedziała Faye, szturchając córkę w plecy. - Proszę nam wybaczyć nasze maniery. Przepraszam, ale nie wiem, jak się pan nazywa.

– Pascal.

– *Monsieur* Pascal.

– W rzeczy samej, *mademoiselle* - Pascal zaczął odpowiadać na pytanie, które zadała Mystery. - To jest zaraźliwe, ale nie przez tak przypadkowy kontakt jak wymiana pieniędzy. Ci, którzy żyją wśród trędowatych wiedzą, że większość zdrowych ludzi ma naturalną odporność. Jest faktem, że wielu ludzi, których współmałżonek jest trędowaty, nigdy nie zapada na tę chorobę. Wydaje mi się, że ignorancja wyrządziła więcej szkód niż sama choroba.

– Czy jest na to jakieś lekarstwo? - spytała Mystery.

– Nie - odparł Pascal. - Nie ma żadnego lekarstwa.

– Na razie - powiedział Indy. - Ale będzie.

– Chciałbym w to wierzyć - odpowiedział Pascal. - Ale teraz jest jak jest. Dlatego Henri był taki wrogi wobec was. Kary za naruszenie ograniczeń handlowych są dosyć surowe. Społeczeństwo nie tylko uczyniło z nas wyrzutków, ale - niestety - i kryminalistów.

– Jest pan w dobrym towarzystwie - powiedział Indy.

– Ilu was tu jest? - spytała Faye.

– Prawie setka - odparł Pascal. - Większość to mężczyźni, ale też trochę kobiet.

– I pan jest ich przywódcą? - spytał Indy.

– Ich przywódcą, lekarzem, prawnikiem i księdzem - powiedział Pascal.
- Przyjmijcie naszą gościnę. Kiedy burza ucichnie, przyślę wam jedzenie. Do tego czasu proponuję, żebyście odpoczęli trochę i wysuszyli ubrania. Z jednym wyjątkiem, wszyscy jesteście Amerykanami, prawda?

– Tak - odparł Indy.

– Jutro rano spróbuję skontaktować się z USS „Augusta”. To statek flagowy floty azjatyckiej. Od tygodni kursuje między Szanghajem a naszą wyspą, żeby pokazać siłę Stanów Zjednoczonych. Jeżeli nie jest zbyt daleko, może weźmie was na pokład.

– Ma pan radio - stwierdził Indy.

– Oczywiście - odparł Pascal.

– Świry - powiedziała Musashi.

– Czy mam też skontaktować się z Armią Cesa...

– Nie - odparł Indy. - I pod żadnym pozorem nie dopuszczaj tej kobiety do nadajnika. Mystery, czy zechciałabyś czynić honory domu?

– Z przyjemnością - odparła zagadnięta. - Jest tu jakiś sznur?

Pascal wyglądał na zaskoczonego.

– Czy to konieczne? - spytał.

– Jak najbardziej - odparł Indy.

– Mogłabym przynajmniej zdjąć ubranie? - spytała Musashi, szczękając zębami. - Jest mi zimno.

– Jest tu jeszcze jedno pomieszczenie - zaproponował Pascal. - Mniejsze. Ma zamykane z zewnątrz drzwi. Znajduje się pod ziemią tak jak ta izba i nie ma żadnych innych wyjść. I jest tam także piec.

– Świetne rozwiązanie - przyznał Indy.

– Pomogę jej - powiedziała Faye, biorąc jeden z koców. - Chodź, Mysti. Niech doktor Jones odpocznie jakiś czas w spokoju.

– Wolałabym tu zostać - powiedziała Mystery.

– Obawiam się, że to niemożliwe - powtórzyła Faye.
– Co z pańskim ramieniem? - Pascal zapytał Indy'ego. - Zauważyłem, że chyba jest pan ranny. To złamanie? Potrzebuje pan pomocy lekarskiej?
– Nie - odparł Indy. - Dziękuję. Zagoi się w swoim czasie.
– Jak pan sobie życzy - powiedział Pascal. - W takim razie do jutra.
Gdy wreszcie został sam, Indy zdjął przemoczone ubranie i rozwiesił je na krzesłach, żeby wyschło. Potem zawinął się w koc i położył na łóżku.
Był zmęczony, ale jeszcze nie całkiem gotów do snu.
Przebiegł wzrokiem zakurzone tomiska na starej półce na książki.
Większość tytułów była po francusku - katechizmy i żywoty świętych. Był tam też słownik niemiecki z brutalnie oderwaną okładką. Dwie anglojęzyczne książki były wspomnieniami generała Granta, i egzemplarz Biblii Króla Jakuba.

Indy sięgnął po Biblię.

Zdmuchnął kurz z okładki, po czym otworzył tom na Księdze Wyjścia.

Śnił, że prowadzi poszukiwania.

Może był to skutek czytania przed snem Starego Testamentu, może serii niepokojących zdarzeń, które wypełniały ostatnie dni, a może świadomość, że znajduje się głęboko pod ziemią. W każdym razie Indy przeniósł się do biblijnego świata piramid i posągów, piasku i słońca. Przemierzał niekończące się korytarze i kręte przejścia w pogoni za cieniem, który zawsze znajdował się tuż za zakrętem.

Często był już tak blisko, że rozpoznawał dźwięk jej głosu, czasami przez ułamek sekundy widział jej twarz, ale nigdy nie zbliżył się na tyle, by jej dotknąć. Jego frustrację potęgował fakt, że gdzieś w podświadomości czuł, że śni i zdawał sobie sprawę, że nigdy jej nie doścignie.

– Kto to jest Alecia? - spytała Faye, gdy Indy obudził się.

– Słucham?

– Mówiłeś przez sen - wyjaśniła Faye. Siedziała przy stole i jadła na śniadanie owoce z talerza, który wcześniej przyniósł Pascal. - Nie chcę być wścibska, ale wygląda na to, że jest dla ciebie szczególnie ważna. Czy to twoja żona?

– Nigdy nie byłem żonaty.

– W takim razie twoja dziewczyna.

– Nie - odparł Indy.

Usiadł, przecierając oczy.

– Która godzina? - zapytał.

– Tuż po wschodzie słońca - odparła kobieta. - Przed chwilą byłam na zewnątrz. Burza minęła i mamy piękny dzień.

– Gdzie pani porucznik? - spytał Indy.

– Jeszcze śpi - odparła Faye. - Podobnie jak Mystery.

– A dlaczego ty nie? - zadał kolejne pytanie Indy.

– Zawsze wcześniej wstaję - odparła. - Powiesz mi?

– O czym?

– O Alecii.

– A dlaczego miałbym ci opowiedzieć? - spytał Indy.

– Ponieważ jesteśmy przyjaciółmi - odparła Faye. - Ponieważ razem przeszliśmy trudne chwile, ryzykując życiem. Ponieważ obydwójce cieszymy się, że udało nam się przeżyć. Ponieważ ja chcę wiedzieć, a ty chcesz mi powiedzieć.

– Nie chcę.

– Jesteś w niej zakochany?

– Byłem - odparł Indy.

– Ale już nie.

– Posłuchaj - powiedział Indy. - Opowiem ci to wszystko w skrócie, dobrze? Znałem kiedyś kobietę imieniem Alecia. Unieszczęśliwiliśmy się nawzajem. Potem ona umarła.

Faye nie odezwała się.

– Zadowolona? - spytał Indy.

– Nie - odparła. - Nie potrafisz mówić o tym bez wpadania w złość?

– Złości mnie twoje gadanie.

– Chyba jednak nie - odparła Faye. - Jesteś zły z powodu tej kobiety i ta złość drzemie w tobie od lat. Do tej pory nie rozumiałam, skąd w tobie tyle złości.

– Posłuchaj, to nie ma już dla mnie żadnego znaczenia...

– To ma dla ciebie ogromne znaczenie - sprzeciwiła się Faye. - Zastanów się nad tym. Ludzie nie rzucają wszystkiego i nie wyjeżdżają do innych krajów, jeśli nie są nieszczęśliwi albo niezrealizowani. Ja to wiem, mówię z własnego doświadczenia.

– Kaspar był nieszczęśliwy? - spytał Indy.

– Nie zaproponował, żebym mu towarzyszyła - odparła kobieta.

– Więc dlaczego go szukasz?

– Bo go kocham - odpowiedziała. - Bo Mystery potrzebuje ojca, a przynajmniej, w najgorszym razie, powinna wiedzieć, co się z nim stało. I dlatego, że jestem wystarczająco silna i zdeterminowana, żeby go znaleźć i nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym nie spróbowała.

Indy zakasłał.

– Zaczynasz czuć się niezręcznie - zauważyła Faye.

– Ludzie zwykle nie rozmawiają o takich sprawach z przyjaciółmi - przyznał Indy.

– Więc przerwiemy tę rozmowę - odparła Faye.

– Dobrze.

Faye pochyliła się i podniosła Biblię.

– Modliłeś się? - zapytała.

– Czytałem o Lasce Aarona - wyjaśnił Indy. - Rozumiem teraz, dlaczego Kaspar był tak zafascynowany: to była prawdziwa różdżka czarodziejska. Można było dzięki niej znaleźć wodę, sprowadzać plagi, niszczyć wroga. Tak długo, jak Mojżesz trzymał ją w górze, Izraelici wygrywali w walce.

Faye uśmiechnęła się.

– Kiedy byłem dzieckiem - powiedziała - często zamykałam oczy, otwierałam biblię i odczytywałam losowo wybrany werset. Teraz wydaje mi się, że to głupota. A jednak zawsze tak się składało, że werset nie był pozbawiony sensu i pasował do sytuacji.

– Teraz już nie?

– Nie - odparła.

– A co się zmieniło?

– Ja - odpowiedziała. - Dorosłam.

– Dzieci często wierzą w magię.

– A pan nie, doktorze Jones?

– To zależy od definicji - odparł Indy. - Jeżeli masz na myśli taki rodzaj przedstawienia, który wymaga od publiczności dobrowolnego zawierzenia i nie pytania o szczegóły sztuczek, odpowiedź brzmi tak, lubię to.

– Nie - powiedziała kobieta. - Mam na myśli prawdziwą magię.

– Jeśli nauka czegokolwiek nas nauczyła - powiedział Indy - to tego, że nie ma czegoś takiego. Magia, zabobony - to relikty przeszłości.

– Nauka to tylko kolejny system wierzeń - powiedziała Faye. - Dobry system, ale nie jedyny. Poza tym wcale wszystkiego nie wyjaśnia. Wierzy pan w Boga, doktorze Jones?

– Tak - odparł Indy.

– Dobrze - stwierdziła Faye. - To już coś. Twoja wiara w naturę musi niekiedy ustąpić miejsca wierze w coś, czego istnienia nie jesteś w stanie udowodnić. Ale wierzysz w to, bo tak nakazuje ci przekonanie wykraczające poza sferę racjonalną. Czy w tej sytuacji rzeczywiście byłoby tak trudno znaleźć jeszcze miejsce na wiarę w magię?

– Jeżeli znalazłby się na to dowód - odparł Indy.

Faye uśmiechnęła się.

– Tego właśnie szukał Kaspar - powiedziała. - Inni szukali Laski z powodu bogactwa albo władzy, jakie mogliby dzięki niej osiągnąć, ale Kasparowi chodziło o coś innego. O potwierdzenie, że magia istnieje, że cud może się wydarzyć.

– O prawdziwą różdżkę czarodziejską - powiedział Indy.

– Tak - przyznała Faye.

– Ale ta różdżka należy już do przeszłości - powiedział Indy. - A może opowieść o jej istnieniu to tylko legenda.

– Jeśli tak jest - stwierdziła Faye - to wyjątkowo starannie udokumentowana legenda. Stary Testament wspomina o lasce kilkakrotnie. W Księdze Wyjścia laska zmienia się w węża, który pożera węże wyczarowane przez czarowników faraona. Laska zmienia wody Nilu w krew i sprowadza dziesięć plag na Egipt.

– Żaby, komary i roje much - powiedział Indy. - Skwar, gradobicie i szarańcza. Pomór bydła. Ciemność nad całym krajem. Śmierć pierworodnych synów Egiptu. Ale gdyby nawet udało ci się ją znaleźć - spytał Indy - skąd wiedziałabyś, że to ta laska? Jeżeli jeszcze istnieje, nie jest już niczym innym jak starym, wyschlłym patykiem.

– Chodzi ci o to, jak ją odróżnić od falsyfikatu? - spytała Faye. - Biblia mówi, że była to różdżka rozwidlona na końcach, wykonana z drewna

migdałowca i że było na niej imię Aarona. A poza tym, ile starych, wyschłych patyków potrafi czynić cuda?

– Chyba nie mówisz poważnie? - skwitował jej wypowiedź Indy.

Faye wytrzymała jego spojrzenie.

– No cóż - odezwał się Indy - sądzę, że jeżeli laska pokaże co potrafi, to raz na zawsze rozwikła wątpliwości co do magii.

Faye uśmiechnęła się i już miała coś dodać, gdy do izby wpadła Mystery.

– Doktorze Jones! - zawołała - Mamo! Chodźcie szybko. W lagunie jest samolot.

Indy i Faye wybiegli za Mystery. Słońce świeciło tak jasno, odbijając się od piasku na plaży, że Indy zaczął mrugać powiekami.

Na środku laguny tkwił potężny wodolot, niczym samotna kaczka na wiejskim stawie. Miał cztery silniki zamontowane na wierzchu skrzydeł. Kształtem kadłuba przypominał raczej statek niż samolot. Wrażenie to potęgował jeszcze rząd świetlików. Na dziobie kabiny pilota widniał czarny napis - Pan American.

Załoga, stojąc pod skrzydłem maszyny, przygotowywała właśnie małą łódź.

U boku Indy'ego zjawił się Pascal.

– Nie przypuszczałem, że wstaniecie tak wcześnie, zważywszy wasze wczorajsze przeżycia - stwierdził.

– Kiedy przyleciał ten wodolot? - spytał Indy.

– Kilka minut temu - odpowiedział Pascal. - Dziś rano nawiązałem kontakt z „Augustą” - wyjaśnił. - A oni z kolei skontaktowali się z wodolotem.

– Nie wiedziałem, że Pan Am zajmuje się w tych stronach przewozem pasażerów - stwierdził Indy.

– Bo się nie zajmuje - odparł Pascal. - O ile wiem, latają tylko w Ameryce Południowej. Ale radiotelegrafista z „Augusty” powiedział, że testują jakąś nową maszynę.

Gdy łódź zbliżyła się do plaży, Pascal stał się niespokojny.

– Proszę mi wybaczyć - powiedział - ale wzywają mnie poranne obowiązki.

– Dziękuję panu - odparł Indy.

– Nie musi pan dziękować.

– Chyba jednak tak - powiedział Indy i wyciągnął rękę. Pascal zawahał się, po czym mocno uścisnął dłoń przybysza.

– Nie zapomnimy pańskiej uprzejmości - powiedział Indy.

Pascal skinął głową, po czym zniknął we wnętrzu wykutego w skale kościoła.

Wciągnięto łódź na plażę i podniesiono wiosła. Na piasku stanął wysoki mężczyzna w niebieskiej kurtce.

– Rozumiem, że mieli państwo ciężkie przejścia - odezwał się.

– Niewielki tajfunik - odparł Indy.

– Nam szczęśliwie udało się go uniknąć - powiedział przybysz. - Nazywam się Ed Musick. Jestem pilotem w Pan American. Właśnie testujemy Sikorsky’ego S-42. Piękny, prawda?

– Pewnie. Nie widziałem takiego od lat.

– Słucham? - spytał Musick. - S-42 dopiero wszedł do produkcji.

– Chodziło mi o wodolot - wyjaśnił Indy.

Musick uśmiechnął się.

– Sprawdziliśmy też niektóre lotniska i porty pod kątem ewentualnej trasy do Chin, którą chcemy uruchomić w przyszłym roku - powiedział

pilot. - I otrzymaliśmy wiadomość przez radio, że trzeba zabrać jakichś rozbitków.

– To właśnie my - powiedział Indy. - Kapitanie Musick, to jest Faye Maskelyne i jej córka Mystery.

– Drogie panie - powiedział Musick i dotknął czapki. - Obawiam się, że nie możemy odwieźć pań do Stanów, bo maszyna nie jest przystosowana do przewozu pasażerów. Ale zatrzymamy się w Kalkucie, a stamtąd już bez problemu będą panie mogły wrócić do kraju.

– To jest nam bardzo na rękę.

– Jesteście gotowi? - spytał Musick. - Radiotelegrafista mówił, że jest was czworo.

– Za chwilę będziemy gotowi - powiedział Indy.

– Co zrobimy z panią porucznik? - spytała Faye.

– Nie możemy jej tu zostawić - odparł Indy. - Zabierzemy ją do Kalkuty i podrzucimy do japońskiej ambasady.

– To Japonka? - spytał Musick.

– Tak - odparł Indy. - Tylko my i ona przeżyliśmy zatonięcie naszej łodzi.

– Pójdę i ją rozwiążę - powiedziała Faye.

– Jest związana? - zdziwił się Musick.

– Cierpliwości - odparł Indy. - Jak ją pan zobaczy, wszystko pan zrozumie.

Gdy wodolot wzbił się w błękitne niebo nad Wyspą Łazarza, Indy rozsiadł się wygodnie w miękkim fotelu i nasunął kapelusz na oczy. Faye i Mystery siedziały przy oknie i patrzyły w dół na lazurową lagunę. Indy już tyle razy w życiu latał samolotami, że takie widoki przestały go pociągać. Zastanawiał się natomiast nad tym, jak sformułować telegram do Marcusa Brody, kiedy już dotrą do Kalkuty.

I gdzie się zatrzymać do czasu, zanim dotrą pieniądze.

Po drugiej stronie przejścia między rzędami siedziała Musashi. Miała związane ręce, ale jej oczy błyszczały.

Ona także snuła plany.

6.

Jadoo

Indy ciągnął Musashi za rękę przez tłumy wypełniające ulice w centrum Kalkuty. Za nimi podążały Faye i Mystery. Ponad bezładną zbieraninę Bengalczyków, Hindusów i Urdów, z których każdy mówił tak szybko i głośno jak tylko potrafił, wzbijały się w niebo wrzaskliwe odgłosy klaksonów i ryk silników sznurów autobusów, tupot tysięcy stóp i jednostajne zawodzenie siedzących na krawężnikach żebraków.

– To najbardziej hałaśliwe miasto, jakie widziałam - powiedziała Faye.

– I najuboższe - odparł Indy. - Tysiące ludzi śpi tu na ulicach, bo nie mają dokąd pójść. A większość z tych szczęśliwców, którzy mają domy, mieszka w *bustees*, czyli slumsach, bez kanalizacji i bieżącej wody. Panują tam choroby i głód.

– Kiedy zaczął się kryzys, wydawało mi się, że w Oklahomie jest ciężko - powiedziała Faye. - Ale im więcej podróżuję po świecie, tym bardziej jestem szczęśliwa, że urodziłam się w Ameryce.

– Nigdy nie zapomnij tego uczucia - krzyknął do tyłu Indy. Pytali o drogę na każdym skrzyżowaniu, aż w końcu dotarli do japońskiej ambasady, odgradzonej od zalewającego ulice tłumy żelazną bramą, przed którą stało dwóch żołnierzy Armii Cesarskiej.

– W porządku - powiedział Indy, odwiązując linę, która łączyła dłoń Musashi z jego ręką. - Jesteśmy na miejscu. *Sayonara*.

Kobieta stała przed bramą, rozcierając nadgarstek.

– Hej! - krzyknął Indy, machając do strażników. - *Hai!* Zabierzcie ją. To wasza rodaczka!

– Powinieneś być mnie zabić, póki jeszcze mogłeś - powiedziała Musashi.

Indy pochylił się, przysuwając do niej twarz.

– Mam jeszcze czas - powiedział.

Strażnicy otworzyli bramę i Musashi weszła na teren ambasady. Natychmiast zaczęła wykrzykiwać krótkie rozkazy po japońsku, wskazując na Indy'ego.

– Nie ośmielą się... - powiedział Indy.

– Ośmielą się - odparła Faye, kiedy żołnierze ruszyli w ich stronę.

– Uciekajcie! - krzyknął Indy.

Chwilę później wszyscy troje zniknęli w tłumie. Żołnierze zatrzymali się na skrzyżowaniu, nie chcąc stracić z oczu ambasady.

– Tchórze - wysyczała Musashi, kiedy wrócili.

Po dwudziestominutowej kłótni z właścicielem lombardu Indy zastawił swój zegarek za dziesięć dolarów. Następnie z sąsiadującego z lombardem biura Unii Zachodniej, wysłał telegram do Nowego Yorku. Na jego lapidarności zaważyły nie tylko ich szczupłe zasoby finansowe, lecz także niechęć Indy'ego do wyjaśnień.

DO: MARCUS BRODY, AMERYKAŃSKIE MUZEUM HISTORII NATURALNEJ

OD: INDIANA JONES

W KALKUCIE, POTRZEBA PIENIĘDZY SZYBKO. STOP. ŻADNYCH PYTAŃ, PÓŹNIEJ WYJAŚNIĘ. STOP.

W Biurze Pomocy Przyjezdnym zapytali o najtańsze i najbezpieczniejsze miejsce na nocleg. Odesłano ich do Atlas House, nieco podupadłego, ale szacownego hotelu, w którym zatrzymywali się głównie średniozamożni kupcy z krajów anglosaskich. Za nocleg z wyżywieniem liczono tam sobie dwa dolary. Poprosili o dwa pokoje.

Spojrząwszy na ich nazwiska, recepcjonista uniósł brwi ze zdumienia.

– Coś nie tak? - spytał Indy.

– Nie - odparł mężczyzna. - Tylko że Maskelyne to raczej rzadkie nazwisko. Jakiś inny Maskelyne zatrzymywał się tutaj trzy czy cztery lata temu, o ile dobrze pamiętam.

– Kaspar Maskelyne? - spytała Faye.

– Chyba tak - odparł recepcjonista.

– Jest pan pewien? - nie ustępowała Faye. - To bardzo ważne.

Recepcjonista wyjął spod kontuaru starą książkę meldunkową i zaczął przewracać kartki.

– Tak, tutaj - powiedział, po czym przekreślił książkę tak, by Faye mogła odczytać wpis. - 14 lutego 1930. W dzień Świętego Walentego. Zatrzymał się w jednym z pokoi, które będą teraz państwo zajmować.

Faye powiodła palcem po wpisie w książce.

– W którym pokoju? - spytała.

– W pani - odparł mężczyzna. - Dwieście siedem. Jest pani z nim spokrewniona?

– Jestem jego żoną - odparła Faye, powstrzymując łzy. - A to jego córka.

– A to kto? - spytał mężczyzna, wskazując na Indy'ego.

– Przyjaciel - powiedziała Faye. - Pomaga nam w poszukiwaniach. Mój mąż zaginął.

– Dlaczego pamięta pan Kaspara? - spytał Indy. - Co roku zatrzymuje się tu kilkuset gości.

– No cóż, niewielu z nich to iluzjoniści - odparł recepcjonista. - Pan Maskelyne wieczorami dawał tu w holu przedstawienia dla niewielkiej grupy widzów, rozmawiał z ludźmi o magii i takich tam rzeczach. Bardzo serdeczny człowiek. Spędził tu jakiś tydzień.

– Pamięta pan coś jeszcze? - spytała Faye.

– Spytał mnie, czy słyszałem kiedyś o facecie imieniem Jadoo - odparł mężczyzna. - Jasne, powiedziałem, każdy tu słyszał o starym Jadoo, najśłynniejszym czarnoksiężniku w Indiach. Poprosił, żebym pomógł mu odszukać pewien adres w Bengali. To na końcu jednej z *bustees*. Trudno znaleźć, jeżeli nie wie się dokładnie, czego się szuka.

– Ma pan ołówek i kawałek papieru? - spytała Faye.

– Oczywiście.

– Mógłby nam pan powiedzieć, jak tam dotrzeć?

– Nie ma sprawy - odparł recepcjonista. - Ale to nie jest dzielnica, w której można przebywać po zmroku. Na państwa miejscu poczekałbym do rana.

– Nie możemy iść teraz? - spytała Mystery.

– Ma rację - powiedział Indy. - Zaczekajmy do rana.

– Mamo - powiedziała Mystery. - To pierwsza dobra wskazówka, na jaką trafiłyśmy.

– Czekaliśmy cztery lata - powiedziała Faye. - Jedna noc więcej nie sprawi wielkiej różnicy. Poza tym, jestem zmęczona i głodna. Nie możemy złożyć wizyty koledze po fachu, wyglądając jak rozbitkowie, którymi, oczywiście, jesteśmy.

W wąskiej, bocznej uliczce znaleźli miejsce, którego szukali. Dwukrotnie je mijali, zanim Mystery zauważyła cyfry na wyblakłych, czerwonych drzwiach. Odczytali: 707. Za drzwiami znajdowały się

zdezelowane schody prowadzące do masywniej szych drzwi na drugim piętrze. Na tych dębowych drzwiach widniała starannie wypolerowana, mosiężna tabliczka z nazwiskiem - Jadoo. Czarownik światowej sławy. Przyjmuje wyłącznie osoby umówione”.

– Ciekawe, jak można się umówić? - zastanowiła się na głos Mystery.

– Zaraz się dowiemy - odparł Indy i mocno zastukał pięścią w drzwi.

Po chwili na środku drzwi otworzyła się klapka. Spozierało przez nią dwoje przekrwionych oczu.

– Przyszliśmy zobaczyć się z Jadoo - powiedział Indy. - Nazywam się Indiana Jones, a to są...

– Bardzo mi przykro - odezwał się piskliwy głos z kolonialnym, brytyjskim akcentem. - Tylko osoby umówione.

Klapka została zatrzaśnięta.

Indy znowu zastukał do drzwi, tym razem mocniej.

Klapka otworzyła się.

– Nie rozumiał pan - powiedział Indy, z trudem zachowując spokój. - Musimy zobaczyć się z Czarownikiem Jadoo ze względu na sprawę wielkiej wagi. Nie mamy czasu, żeby umawiać się na spotkanie.

– Tylko osoby umówione - rzucił krótko człowiek zza drzwi.

Klapka znowu została zatrzaśnięta.

Indy potarł podbródek, spojrział na drzwi, po czym załomotał w nie zaciśniętą pięścią.

Klapka nie otworzyła się.

Indy znowu załomotał w drzwi, tym razem tak silnie, że mało brakowało, a tynk zacząłby odpadać od sufitu.

– Przestań - powiedziała Faye.

– Myślałem, że chcesz zobaczyć się z tym pajacem - stwierdził Indy.

– Owszem - odparła - ale nie chcę, żeby przy okazji ten budynek legł w gruzach.

– Rób, co uważasz za stosowne - stwierdził Indy.

– Przepraszam - powiedziała Faye, delikatnie stukając w klapkę. - Bardzo nam przykro, że sprawiamy kłopot i rozumiemy, że wszyscy goście powinni być umówieni. Ale gdyby był pan tak uprzejmy i powiedział Jadoo, że przyszły panie Maskelyne...

Klapka otworzyła się.

– Jak nazwisko?

– Maskelyne - powtórzyła Faye. - Nazywam się Faye Maskelyne, jestem żoną wielkiego magika Kaspara Maskelyne, a to nasza córka, Mystery.

– Dzień dobry - powiedziała Mystery.

Klapka została zatrzaśnięta, po czym rozległ się szcęk łańcuchów i dźwięk przekręcanych w zamkach kluczy. Drzwi otworzyły się. Chudy Hindus w białej marynarce ruchem ręki zachęcił przybyszy do wejścia.

– Jestem służącym mistrza - powiedział. - Proszę mówić do mnie Pasza.

– Dziękuję - odpowiedziała Faye.

Znaleźli się w ekstrawagancko urządzonym pokoju pełnym pamiątek kilkunastu dziesiątek lat praktykowania magii. Na półkach stały różnojęzyczne książki na temat magii, rekwizyty i inne potrzebne przedmioty. Gdy tylko weszli do środka, służący zamknął drzwi, przekręcił klucze w zamkach i założył łańcuchy.

– Przykro mi - odezwał się - ale pana nie ma w tej chwili w domu. Zaraz powinien wrócić i jestem pewien, że zechce się z wami widzieć. Czy mogą państwo poczekać?

– Oczywiście - powiedziała Faye.

– Dobrze - odparł Pasza. - Napiją się państwo czegoś? Może herbaty?

– Z przyjemnością - powiedziała Faye.

– Świetnie - Pasza złożył ręce i lekko się skłonił, po czym wycofał się z pomieszczenia.

– Mam wrażenie, że jestem w muzeum - powiedziała Mystery, spoglądając na zakurzone przedmioty stojące na półkach. - Rozumiem teraz, dlaczego tatę tak ciągnęło do tego miejsca.

– Tak - stwierdziła Faye.

– Popatrz na to - powiedziała Mystery, podnosząc puchar wykonany z ludzkiej czaszki spoczywającej na podstawie ze srebra. Czaszka była ułożona do góry nogami. Rozcięto ją wzdłuż linii górnej szczęki tak, że tworzyła czaszę pucharu. Oczodoły i otwory nosowe wypełniono kutym złotem. Czaszkę tak wybielono i wypolerowano, że miała odcień i połysk kości słoniowej, chociaż zęby były z jakiegoś powodu żółte. Jeden z trzonowców pokryto złotem.

– Jest prawdziwa? - spytała Mystery.

Indy podniósł przedmiot. Wnętrze czaszy było poznaczone cienkimi żyłkami naczyń krwionośnych, które za życia człowieka doprowadzały krew do mózgu.

– Obawiam się, że tak - odparł Indy.

– Ble - powiedziała Mystery. Skrzywiła się i wytarła ręce w dzinsy. - Kto mógłby być tak pokrecony, żeby pić z ludzkiej czaszki?

– Używa się ich w rytualnej magii - powiedział Indy. - Popularny zwyczaj wśród prymitywnych ludów na całym świecie. Chodzi o to, że kiedy z głowy rywala robisz sobie pucharek, za każdym razem, kiedy z niego pijesz, oznacza to symbolicznie, że przejmujesz jego moc. Zapewne to nie jedyny taki przedmiot w kolekcji mistrza.

Faye wzięła puchar z rąk Indy'ego.

– Wśród niektórych ludów jest to symbol szacunku, niemal boskiej czci - powiedziała. - Im potężniejszy był twój wróg, tym ty sam jesteś

potężniejszy.

– Barbarzyństwo - stwierdziła Mystery.

– Hmm - mruknęła Faye. - Ten puchar nie jest zakurzony tak jak inne przedmioty.

– Czy sugerujesz, że... - zaczął Indy.

Faye przejechała środkowym palcem po wnętrzu czaszy, po czym dotknęła palcem ust.

– Wino - powiedziała. - Białe. Zupełnie świeże.

– Niesamowite - stwierdził Indy.

Faye odstawiła puchar z powrotem na półkę.

– Miejmy nadzieję - powiedziała - że właściciel czaszki był już martwy, zanim Jadoo zamarzył sobie, że zrobi z niej puchar.

– Ciekawe, czy był umówiony - zainteresował się Indy.

– Możemy zapytać - odparła Faye.

Pasza wrócił, niosąc tacę. Rozlał mocną angielską herbatę ze srebrnego czajniczka do trzech filiżanek. Faye wzięła parującą filiżankę, którą podał jej służący, ale Indy odmówił.

– Ja też dziękuję - powiedziała Mystery.

– Och? - zdziwił się Pasza. - Może przyniosę dla pani mleko, a dla pana wino?

Mystery potrząsnęła głową.

– Nie, dziękuję - powiedział Indy z uśmiechem. - Nie chce mi się pić.

– Jak państwo sobie życzą - odparł Pasza. - Przypuszczam, że mój pan wkrótce będzie z powrotem. Czy tymczasem mógłbym jeszcze państwu czymś służyć?

– Właściwie tak - powiedział Indy. - Czekamy właśnie na depezę ze Stanów. Czy mógłby pan zadzwonić do biura Unii Zachodniej i poprosić, żeby tutaj dostarczyli nam telegram?

– Nie mamy telefonu - odpowiedział Pasza. - Ale wyślę tam posłańca.
Na czyje nazwisko ma przyjść ten telegram?

– Na moje - odparł Indy.

– Świetnie, doktorze Jones.

Indy uważnie spojrział Hindusowi w oczy, ale ten nawet nie mrugnął.

– Masz fenomenalną pamięć - stwierdził.

– Słucham, sir?

– Nie przypominam sobie, abym mówił ci, że jestem profesorem.

– Nawet tutaj docierają depeche z aktualnymi wiadomościami - powiedział Pasza. - Tylko jakiś źle poinformowany obywatel królestwa nie znałby nazwiska tak słynnego archeologa.

Pasza wycofał się z pokoju.

– Nie ufasz mu - stwierdziła Faye.

– Niewielu jest ludzi, którym naprawdę ufam - odparł Indy, po czym czując na karku wzrok Mystery, dodał. - Zaliczam do nich moje obecne towarzyszeki.

Usłyszeli gdzieś w pobliżu odgłos zamykanych drzwi. Słysząc było słumione szepty, a potem kroki. Do pokoju wszedł wysoki, siwowłosy mężczyzna w czarnym turbanie i marynarce. Jego skóra była ciemnobrązowa, ale oczy miały przeszywającą, niebieską barwę.

– Drodzy goście - odezwał się. - Przepraszam, że kazałem wam na siebie czekać. Gdybym wiedział, że jesteście tutaj, pośpieszyłbym się. Proszę, przejdźmy do mojego gabinetu.

– Dziękujemy - powiedziała Faye.

Weszli za gospodarzem do ciemnego, wyłożonego dywanami pokoju. Wentylator obracał się powoli pod sufitem. Czarownik usiadł na obitym kosztowną materią krześle, z drewnianego pudełka na bocznym stoliku, wyjął cygaro po czym podał pudełko Indy'emu.

– Nie, dziękuję - powiedział Indy. - Nie palę.

– A ja tak - wtrąciła Faye.

– Jak pani sobie życzy - odparł Jadoo i pozwolił kobiecie wybrać cygaro.

Potarł zapałkę i zapalił cygaro, potem podał zapałki Faye. Kobieta odgryzła koniuszek cygara i przytknęła płomień do drugiego końca.

– Nie wiedziałam, że palisz, mamó.

– Musiałam rzucić palenie - powiedziała Faye, a dym wił się wokół jej głowy, podążając w stronę wentylatora na suficie. - Trudno tu zdobyć amerykańskie papierosy, a miejscowe strasznie cuchną. O rany, ależ to mocne.

Jadoo uśmiechnął się.

– Doktorze Jones, znam pana ze słyszenia. A co do pani, Pasza mówi, że jest pani żoną mojego kolegi po fachu, Kaspara Maskelyne. Czym mogę państwu służyć?

– Jesteśmy tu ze względu na mojego męża - powiedziała Faye. - Dowiedzieliśmy się, że prawdopodobnie odwiedził pana tuż przed swoim zaginięciem, cztery lata temu.

Jadoo wypuścił dym.

– Tak - powiedział. - Oczywiście, że go sobie przypominam. Spędził ze mną cały dzień. To było chyba w 1930. Więc zaginął? Przykro mi to słyszeć.

– Mieliśmy nadzieję - powiedział Indy - że powie nam pan w skrócie, czego dotyczyła wasza rozmowa. Mogłoby to nam pomóc w dalszych poszukiwaniach.

– Och, to było już tak dawno - odparł Jadoo. - I niestety moja pamięć nie jest już tak dobra jak dawniej. Przypominam sobie jedynie, że nasza rozmowa była niezwykle serdeczna. Rozmawialiśmy oczywiście o historii

magii. Kaspar przez cały czas robił notatki do książki. Mówił, że właśnie nad nią pracuje.

– Do książki? - zdziwiła się Faye. - Nigdy nie wspominał o żadnej książce.

– Niechże się zastanowię - powiedział Jadoo i zamknął oczy. - Naprawdę wydaje mi się, że w rozmowie była mowa o jakiejś książce. Ale rozmawialiśmy o tak wielu kwestiach.

– Kaspar nie był człowiekiem, który mógłby próbować napisać książkę - powiedziała Faye. - Był raczej podróżnikiem niż naukowcem. Przed swoim zaginięciem wysłał do mnie zaledwie trzy listy i to irytująco krótkie. Wiele razy żałowałam, że nigdy nie kusił go, żeby notować swoje działania, gdyż znacznie ułatwiłoby to nam poszukiwania.

– Tak, teraz sobie przypominam - powiedział Jadoo. - Nie pisał, lecz szukał książki o starożytnej magii. Nie znałem jej, gdyż bardziej związana była z religią niż z magią.

– Udzielił mu pan jakichś wskazówek? - spytał Indy.

– Tak. Spytał mnie o pewne stare hinduskie teksty i powiedziałem mu co nieco na temat Sanskrytu. Rozmawialiśmy również o rozpowszechnionym wśród niemal wszystkich wierzeń świata przekonaniu o istnieniu księgi bądź tablicy, na której zapisano historie życia wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek będą żyć na ziemi.

– To Księga Omega - powiedziała Faye.

– Tak nazywa się ją w niektórych kulturach - odparł Jadoo. - Starożytni Egipcjanie wierzyli, że w mieście Heliopolis, niedaleko Kairu, znajduje się wielki, święty słup zwany Annu, który był tam już przed pojawieniem się człowieka. Wierzono, że znajduje się w nim tajemna wiedza spisana na 36 535 zwojach. Wiedza ta mogła być objawiona jedynie człowiekowi godnemu i mogła posłużyć tylko dla dobra świata.

Indy roześmiał się.

– To metafora - powiedział. - Liczba 36 535 oznacza 365 dni roku z dodanym do tego ułamkiem dnia. Mówi się też, że wiedza nie znajduje się w słupie, ale w niebie, czyli innymi słowy w gwiazdach.

– Tak w niebie, jak i na ziemi - Jadoo zacytował typowe magiczne powiedzenie. - Podobno Platon odwiedził świątynię Neith, gdzie znajdowały się tajemne komnaty, w których trzymano stare akta liczące sobie dziewięć tysięcy lat. Mówi się, że historyk Manetho, który spisał chronologię rządów dynastii i poszczególnych faraonów, korzystał z jakichś słupów, które odnalazł pod ziemią, na których Hermes wyrzył święte litery.

– Słyszałem te mity - stwierdził Indy. - Również ten o Edgarze Cayce, tak zwanym śpiącym proroku, który przepowiedział, że „Sala z Aktami” zawierającymi dzieje zaginionej cywilizacji zostanie znaleziona pod łapami Sfinksa.

– Oczywiście - przyznał Jadoo. - Rozmawialiśmy również o pewnych niezwykłych znaleziskach archeologicznych i o tym, że sporo z nich ma bliższy związek z magią niż nauką. Czy to nie dziwne, że w wiele z tych odkryć były zamieszane trzy osoby - pewien archeolog zabijaka, jego sponsor oraz kilkunastoletnia córka jednego z jego przełożonych?

– Grób Tutenhamera - stwierdził Indy - i Kryształowa Czaszka Lubantuun.

– W rzeczy samej - powiedział Jadoo. - Nie ma wątpliwości, że podczas tych prac działała jakaś tajemnicza siła, której nauka nie jest w stanie do końca wyjaśnić. Poza tym, przyzna pan, że ogromne znaczenie przy wykopaliskach ma szczęście.

– Czy podczas pańskiej rozmowy z Kasparem na temat tej starożytnej księgi - spytał Indy - była mowa o czymś innym poza szczęściem, co mogłoby przyczynić się do jej znalezienia?

- Tak - odparł Jadoo. - Rozmawialiśmy o Lasce Aarona.
- Dlaczego Kaspar sądził, że Laska pomoże mu w odnalezieniu księgi? - pytał dalej Indy. - Mówimy o nieudokumentowanych wierzeniach.
- Ponieważ przy pomocy Laski można znaleźć wszystko - odparł Jadoo.
- Pomogła na przykład Izraelitom odnaleźć wodę na pustyni. Gdy uderzono nią w skałę, wytrysnęło źródło. Kaspar był przekonany, że taka boska interwencja jest niezbędna, by znaleźć wśród piasków miejsce, w którym należałoby rozpocząć wykopaliska. W sumie to zamierzenie przypominało poszukiwanie igły w stogu siana, jak to mówicie w Ameryce.
- Wiara w istnienie Laski jest zakorzeniona w Islamie, judaizmie i chrześcijaństwie - powiedział Indy. - Podobno Aaron miał 123 lata, kiedy zmarł i został pochowany na Górze Hor. Przekazy milczą na temat miejsca ostatniego spoczynku jego Laski.
- Nie wszystkie przekazy - powiedział Jadoo.
- Czy jest jakaś informacja, którą chciałby się pan z nami podzielić?
Jadoo wzruszył ramionami.
- Gonitwa za pogłoskami i podaniami ludowymi to jak łapanie wiatru - powiedział. - Istnieje jednak pewna stale powtarzana legenda o lasce czczonej nadal przez irakijskie plemię wyznawców zła, zwane Yezidi.
- Wyznawcy zła? - spytała Mystery. - Dlaczego mieliby czcić coś związanego z biblijną opowieścią o wyjściu z Egiptu?
- Ponieważ Aaron i jego siostra, czarodziejka Miriam, stracili wiarę, kiedy ich brat Mojżesz przebywał na górze i przyjmował od Boga Dziesięcioro Przykazań - wyjaśnił Indy. - Nakłonili Izraelitów do sporządzenia Złotego Cielca i oddania mu czci.
- Yezidi to niezwykle plemię - powiedział Jadoo. - Mieszkają w odludnej, górzystej okolicy na północ od Bagdadu. Obcy mają tam absolutny zakaz wstępu. Powiedziałem Kasparowi, żeby był ostrożny, jeśli

tam dotrze, gdyż ci ludzie łatwo wpadają w złość i nie kierują się rozumem. Jak to się mówi u was w Ameryce? Na dzień dobry poderzną ci gardło.

– Więc Kaspar chciał jechać do Iraku?

– Tak, o ile wiem, miał takie plany - powiedział Jadoo. - Ale nie mam pewności, gdyż potem nie miałem od niego żadnych wiadomości. Nie omawiał też ze mną trasy swojej podróży.

– Dziękuję - powiedziała Faye, strząsając popiół z cygara do popielniczki. - Udzielił nam pan pierwszej wskazówki co do prawdopodobnego miejsca pobytu mojego męża.

– Szkoda tylko, że nie mogę podać więcej szczegółów - powiedział z żalem Jadoo.

– Mam jeszcze jedno pytanie - powiedziała Faye.

– Słucham.

– W pokoju obok zauważyliśmy puchar zrobiony z ludzkiej czaszki - mówiła dalej Faye. - Nie jest tak zakurzony jak inne przedmioty i pachnie winem.

– Ach tak - powiedział Jadoo i uśmiechnął się. - Zastanawialiście się, czy zgodnie z moim imieniem nie piję z tego pucharu. Niestety, muszę was rozczarować. Przywiozłem ten okaz kilka lat temu z Tybetu. Przez moje niedbalstwo uwiła sobie w nim gniazdo mysia rodzina. Kiedy zauważyłem to w zeszłym tygodniu, kazałem Paszy wyczyścić puchar. Użył octu winnego, stąd ten zapach.

– To wszystko wyjaśnia - powiedziała Faye.

– Co to znaczy; „zgodnie z moim imieniem”? - spytała Mystery.

Czarownik zmieszał się.

– Jadoo - wyjaśnił Indy - to znaczy „czarna magia”.

– Taka teatralna poza - wtrącił gospodarz.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Pasza. Trzymał tacę, na której leżał, żółty kawałek papieru, złożony w kształt koperty.

– Przepraszam - odezwał się służący. - Wiadomość dla doktora Jonesa.

– Dziękuję - powiedział Indy.

Otworzył telegram i przeczytał go.

– To od Marcusa Brody - powiedział niemal drżącym głosem. - Píše, że chciałby wiedzieć, dlaczego jestem w Indiach, a nie w Chinach, ale przelał już pieniądze do tutejszego oddziału Brytyjskiego Banku Handlowego. Muszę jedynie pójść do banku i podać nasze stałe hasło.

– Zdaje się, że jesteś zdziwiony wiadomością od starego przyjaciela - powiedziała Faye.

– Nie zdziwiony - odparł Indy. - Tylko poczułem nostalgię.

– Pamiętasz hasło? - spytała Mystery.

– Tak - odparł z dumą Indy. - To kod, który ustaliliśmy jeszcze w dzieciństwie. I wciąż jest bardzo użyteczny.

– A gdyby ktoś to odgadł? - spytała Mystery.

– To się nie zdarzy - odparł Indy. - Słowo jest częścią zdania i zmienia się za każdym razem, kiedy się nim posługujemy. O, nie.

– Doktorze Jones - powiedziała Faye. - Co się stało? Żle się pan poczuł?

– Nie pamiętam, na którym słowie zdania zatrzymaliśmy się ostatnio - wyjąkał Indy.

– W porządku, doktorze Jones - powiedział wesoło urzędnik w banku. - Nazywam się Hyde i będę sprawował pieczę nad funduszem przysłanym z Ameryki. Tysiąc dolarów amerykańskich.

Obydwaj mężczyźni siedzieli w ładnie urządzonej biurze Brytyjskiego Banku Handlowego. Faye i Mystery czekały w holu. Urzędnik zaniepokoił

się początkowo na widok zaniedbanej fizjonomii klienta i nalegał, by ten oddał Faye bat i pistolet.

– Niesamowite - stwierdził Indy. - Nie ma pan pojęcia, ile to rozwiązuje problemów.

– Proszę tu podpisać.

Podsunał Indy'emu jakiś formularz.

Indy podpisał, wstawił datę, po czym zwrócił dokument urzędnikowi.

– Data - powiedział mężczyzna.

– Słucham? Och, przepraszam. Nigdy nie mogę nadążyć za upływem czasu.

– Jest pan co najmniej ćwierć wieku do przodu - zauważył urzędnik.

– Kryje się za tym stwierdzeniem pewna zabawna historia - stwierdził Indy.

– Nie wątpię - powiedział mężczyzna beznamiętnie. - Ma pan jakiś dokument tożsamości? Może być paszport.

– Niestety nie - odparł Indy.

– Podróżuje pan bez paszportu?

– Straciłem go podczas sztormu, kiedy zatonął nasz statek - wyjaśnił Indy.

– To może coś innego. Świadectwo urodzenia?

– Nie mam zwyczaju wozić ze sobą tego typu dokumentów.

– To może karta biblioteczna.

– Powiedziałem już panu - stwierdził Indy. Jego oczy błyszczały, a policzki zaczynały czerwienieć. - Straciłem wszystko podczas uderzenia tajfunu. Jesteśmy teraz w rozpaczliwym położeniu. W przeciwnym razie nie telegrafowałbym do mojego przyjaciela Marcusa Brody, prosząc o pieniądze.

– W porządku, doktorze Jones, nie musi pan się irytować - powiedział Hyde. - Jest inne rozwiązanie. Mogę zweryfikować pańską tożsamość, jeżeli poda mi pan hasło, które ujawnił nam pan Brody.

Indy uśmiechnął się szeroko.

– Kolejna zabawna historia - stwierdził.

– Wierzę panu na słowo - odparł urzędnik.

– Czy mogę podać panu całe zdanie, z którego...

– Jedno słowo, doktorze Jones - urzędnik nie dawał za wygraną.

Indy mruknął coś pod nosem.

– Słucham?

– Chłopiec - powiedział Indy.

– Nie, przykro mi.

– Zachowuje się.

– Znowu błąd.

– Przyzwoicie - powiedział Indy.

– Dobrze - odparł urzędnik.

– Właśnie - stwierdził Indy. - Nie mogłem sobie przypomnieć, którego słowa używaliśmy ostatnio. „Każdy grzeczny chłopiec zachowuje się przyzwoicie”. To słowa z wielkiego dzieła muzycznego. Ostatnim razem używaliśmy litery Z.

Urzędnik popatrzył na niego podejrzliwie.

– Proszę pana - stwierdził Indy. - Podałem przecież hasło. Niech pan zadepeszuje do Brody’ego, jeżeli musi pan to potwierdzić. I tak musimy je teraz zmienić.

– Proszę poczekać - powiedział urzędnik. - Przyniosę pieniądze.

Mężczyzna wyszedł z pokoju, Indy zaś czekał z niepokojem na jego powrót. Gdy urzędnik z powrotem znalazł się w biurze, towarzyszył mu ochroniarz.

- Co się stało? - spytał Indy.
- Jest pan aresztowany za oszustwo - powiedział Hyde. - Prawidłowe hasło brzmiało „Każdy”.
- Robi pan wielki błąd - stwierdził Indy.
- Obawiam się, że nie, doktorze Jones, czy kim tam pan jest - odparł Hyde. - Według podanego nam opisu, doktor Jones to człowiek znacznie od pana młodszy. Z pewnością nie powinien mieć żadnych siwych włosów. Poza tym pan Brody powiedział nam, że był przekonany, iż przebywa pan w Ameryce Południowej. Tym samym doszliśmy do wniosku, że jest pan oszustem, który podszywa się pod doktora Jonesa, żeby wyciągnąć od pana Brody pieniądze.
- Proszę połączyć mnie z Marcusem - powiedział Indy. - Muszę z nim porozmawiać.
- To niemożliwe - odparł Hyde.
- Proszę - nalegał Indy. - Niczego pan nie rozumie.
- Obawiam się, że jednak rozumiem - uciął Hyde. - Zostanie pan zatrzymany przez tutejszą policję, dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona.
- Proszę nie stawiać oporu - powiedział strażnik, zakuwając Indy’ego w kajdanki. - To nie ma sensu.
- Gdy wyprowadzano Indy’ego przez hol, Faye zawołała do niego.
- Dokąd cię zabierają? - spytała.
- Do miejskiego więzienia - odparł Indy. - Myślą, że chcę ich obrabować. Nie wierzą, że ja to ja.
- Robicie błąd - powiedziała Faye. - To jest doktor Jones.
- Ten facet na pewno też was nabrał - odparł strażnik. - Skąd wiecie, że to doktor Jones?
- Bo tak nam powiedział.
- Jak długo go znacie?

- Kilka dni - odpowiedziała Faye.
- Kłamałeś? - spytała Mystery.
- Nie - odparł Indy.
- Macie jakiś inny dowód? - spytał strażnik.
- No, nie - przyznała Faye. - Aleja mu wierzę.
- Proszę wybaczyć - stwierdził strażnik - ale to pani pierwszy błąd.

Przykro mi, muszę jednak zabrać również panią i dziewczynę na przesłuchanie. Proszę oddać broń.

- Indy - powiedziała Faye. - Co mam zrobić?
- Oddaj mu - odparł zapytany.

Faye wręczyła strażnikowi webleya w kaburze. Mężczyzna wsunął go sobie pod pachę, po czym z tylnej kieszeni wyciągnął kolejne dwie pary kajdanek.

- To dlatego, że jestem tylko jeden, a was jest troje - powiedział z żalem, podnosząc do góry kajdanki. - Ten facet pójdzie za kratki, ale panie zostaną wypuszczone, jak tylko inspektorzy skończą przesłuchanie.

- Pozwól im odejść - powiedział Indy.
- Przykro mi, brachu.

Strażnik skuł Mystery ręce na plecach, po czym zwrócił się do starszej kobiety. Dziewczyna w kilka sekund uwolniła się z kajdanek, po czym błyskawicznym ruchem wyciągnęła strażnikowi webleya spod pachy.

- Mam już tego dość - powiedziała, wyjmując broń z kabury i mierząc w strażnika.

- Nie, panienko - powiedział strażnik. - Może pani zrobić komuś krzywdę.

- Święta prawda - odparła Mystery. - Nie zgadzam się, żeby zabrał pan stąd doktora Jonesa. Wie pan, jak mówi się na tutejsze więzienie? Czarna

dziura. Ludzie są tam wtrącani i już nigdy stamtąd nie wychodzą. Wypuść go.

– W porządku - powiedział strażnik i uwolnił Indy'ego.

– Chodźmy stąd - powiedziała Mystery.

Indy wyjął strażnikowi z kabury rewolwer.

– Jeszcze chwilę - powiedział. - Wezmę moje pieniądze, panie Hyde.

– Okrada mnie pan?

– Nie - odparł Indy. - Ten tysiąc dolarów jest mi naprawdę niezbędny. I nie są to pańskie pieniądze, ale Marcusa Brody, albo przynajmniej jego muzeum.

– W porządku - powiedział Hyde. - Ale to potrwa chwilę.

– Nie sprawia mi różnicy, czy to będą dolary, funty czy rupie - powiedział Indy. - Tylko pospiesz się pan. I nie próbuj żadnych sztuczek, bo jesteśmy zdesperowani.

– Właśnie - dodała Mystery.

– Oddaj mi to - powiedziała Faye, odbierając córce broń. - Nie chcemy nikogo zastrzelić.

– Faye - powiedział Indy. - To delikatna sprawa. Czy możesz z łaski swojej nie podważać mojego autorytetu?

– Nie chcę, żeby moja córka stała tak i wymachiwała bronią - odparła kobieta.

– Dobrze - zgodził się Indy. - W takim razie ty sobie nim pomachaj.

Hyde wrócił z pieniędzmi. Były to funty. Indy wsunął banknoty do kurtki, po czym podniósł palce do kapelusza.

– I pamiętaj - powiedział na zakończenie. - Wziąłem tylko swoją własność.

Gdy to powiedział, cała trójka rzuciła się biegiem do drzwi.

Sokai nie zdołał jeszcze przywyknąć do czarnej jedwabnej opaski zakrywającej oko. Patrząc na starego czarownika, wygiął głowę pod niewygodnym kątem. Pod czarnym trenczem, miał biały garnitur. Zapalił amerykańskiego papierosa, Jadoo delektował się cygarem.

Musashi stała za oparciem krzesła, na którym siedział Sokai.

– Ten człowiek, Jones - powiedział bez ogródek Japończyk. - Powiedz mi, co o nim wiesz.

– Był tutaj - odparł Jadoo. - Z dwiema kobietami. Panią Maskelyne i jej córką. Teraz są już pewnie w drodze do Bagdadu.

– Czego chcieli? - spytał Sokai.

– Szukali śladów zaginionego męża tej kobiety - odparł Jadoo. - Powiedziałem im, że był u mnie cztery lata temu.

– Mów dalej - nakazał Sokai.

– Udawałem, że chcę im pomóc w poszukiwaniach.

– Tak? Co jeszcze?

– Jones dostał telegram z Nowego Jorku. Miał się zgłosić po pieniądze do Brytyjskiego Banku Handlowego.

– Będzie nam przez to trudniej go złapać - stwierdził Sokai.

– Dlaczego go szukacie?

– Z przyczyn osobistych - odparł Sokai, dotykając czarnej opaski na oku. - Poza tym, szukają czegoś, co mnie również interesuje. Dlaczego pojechali do Bagdadu?

– Ponieważ powiedziałem im, że mąż tej kobiety był przekonany, iż znajdzie Laskę Aarona u Yezidów w północnym Iraku - wyjaśnił Jadoo. - To zresztą jest prawda.

– Ale nie znajdą tam jej męża? - spytał Sokai.

– Nie - odparł Jadoo.

– Dlaczego ty nie ruszyłeś na poszukiwania legendarnej laski, skoro Maskelyne zdradził ci, gdzie ona jest?

– Ponieważ nie palę się do spotkania z plemieniem Yezidi - odparł Jadoo. - Nie mam zwyczaju narażać życia dla niepewnej nagrody.

– Ach tak - powiedział Sokai. - A jeśli ktoś inny podejmie trud i pierwszy znajdzie nagrodę?

– Wtedy będzie mi się należała - odparł Jadoo.

Sokai roześmiał się.

– Widzę, że wyznajemy podobną filozofię życiową - stwierdził. - Połączmy siły, żeby doprowadzić do zguby Jonesa i jego towarzyszek. Dostaniemy to, co do niego należy.

– Mamy problem - powiedział Indy, siedząc pomiędzy Faye i Mystery w zatłoczonym wagonie pociągu zmierzającego w głąb Indii. Konduktor skasował już wcześniej ich bilety, nie zaszczycając ich nawet spojrzeniem.

– Inny niż to, że jesteśmy zbiegami? - spytała Mystery.

– Mów ciszej, dziewczyno - odparł Indy. - Nie, nie o to chodzi. Wydaje mi się, że teraz jesteśmy bezpieczni. Problem polega na tym, że kiedy już dotrzemy do granicy z Pakistanem, za tydzień, może dwa, zależnie od naszego szczęścia i kaprysów kolei indyjskich, tory się skończą.

– W porządku - powiedziała Faye. - Wynajmiemy samochód z kierowcą.

– Tam nie ma dróg - odparł Indy. - Przynajmniej nie we współczesnym tego słowa znaczeniu. Na przestrzeni dwóch i pół tysiąca kilometrów skał i pustyni są tylko bydlęce ścieżki i bezimienne groby. Dwa kraje dzielące nas od Bagdadu, Pakistan i Iran, należą raczej do średniowiecza niż do dwudziestego wieku.

– Więc jak ludzie przemierzają tę trasę? - spytała Mystery.

– Zazwyczaj po prostu tego nie robią - odparł Indy. - A kiedy już nie mają innego wyjścia, wyruszają karawanami, tak jak tysiąc lat temu, wzdłuż jedwabnego szlaku.

– W takim razie znajdziemy karawanę - stwierdziła Faye.

– Pokonanie tej pustyni na wielbłądzie zabiera sześć tygodni - powiedział Indy. - Nie wiem jak wy, ale ja nie mam aż tyle czasu. Poza tym, wcale nie uśmiecha mi się taka jazda. Jechałyście kiedyś na wielbłądzie?

– Nie - odpowiedziała Faye.

– To coś okropnego - mówił dalej Indy. - Już sam zapach doprowadza cię do szaleństwa. Ale jeżeli trafimy na dobry moment i jeżeli wystarczy nam pieniędzy, wynajmiemy samolot od jednej z firm wydobywających ropę. Jeżeli dopisze nam szczęście, może nawet znajdziemy samolot, który będzie w stanie pokonać za jednym zamachem więcej niż osiemdziesiąt kilometrów. Bardzo trudno lata się nad pustynią.

– Więc? - spytała Mystery. - Taki jest nasz plan?

– Dobrze, doktorze Jones - powiedziała Faye. - Jaki będzie nasz następny ruch?

– Najlepiej byłoby wrócić do domu - zaproponował Indy.

– Dom - powiedziała Faye - jest tam, gdzie mój mąż.

– Posłuchaj, Faye - nie dawał za wygraną Indy. - Nie musisz już niczego udowadniać. Nikt nie miałby do ciebie pretensji, gdybyś przerwała poszukiwania, oficjalnie uznała, że twój mąż zaginął i zaczęła wieść normalne życie. Przepraszam, że to mówię, ale tak nakazuje rozsądek.

– Nie rozumiesz tego, prawda? - spytała Faye.

– Czego nie rozumiem? - zdziwił się Indy.

– Musimy wiedzieć - powiedziała Faye. - Jeżeli Kaspar żyje, chcę go odnaleźć. Jeżeli umarł, potrafię sobie z tym poradzić. Ale tak czy inaczej,

muszę wiedzieć. Nie mogę dłużej znieść tej niepewności. Jeżeli nie chcesz nam pomóc, wyruszymy dalej same.

Indy zacisnął zęby i odwrócił wzrok.

– Zdaje się, że o czymś pan zapomina, doktorze Jones.

– Tak? O czym? - rzucił niegrzecznie Indy.

– O tym, że najprawdopodobniej Kaspar odnalazł Laskę Aarona, a może i Księgę Omega. Być może masz rację: Kaspar mógł już dawno umrzeć. Ale prawdopodobnie w zimnych, martwych palcach ściska Laskę Aarona, która wskazuje położenie Księgi. Byłoby to największe znalezisko archeologiczne i najcenniejszy skarb naszych czasów. Niech pan sobie wyobrazi, doktorze Jones. Twoja pasja zawodowa mogłaby ujrzeć światło dzienne. Nie musiałbyś już okradać grobowców w środku nocy, ścigany przez oprychów z karabinami maszynowymi.

– Lubię to, co robię - próbował bronić się Indy.

– Kto by nie lubił? - spytała Faye. - Jeździsz po świecie i poznajesz nowych ludzi o interesujących, często sadystycznych pasjach. Kiedy to po raz ostatni przywiozłeś do swojego muzeum w Nowym Jorku coś naprawdę cennego?

Indy odchrząknął.

– Miałem kilka niezłych rzeczy z grobowca cesarza Qin - powiedział miękko. - Miałem też sporo innych przygód, ale nie chcę o nich mówić. I tak nikt by mi nie uwierzył.

– Więc oto nadarza się okazja do przeżycia kolejnej przygody - mówiła dalej Faye. - To jak jeszcze jedno rozdanie kart. Przecież dobrze wiesz, że nie potrafisz się powstrzymać.

– W porządku - stwierdził Indy, pocierając dłonią kościsty podbródek. - Ruszymy dalej, z nadzieją na najlepsze, ale spodziewając się najgorszego. I jeszcze jedno: skoro będziemy dzielić trudy tej wyprawy po równo, po

równy też rozdzielimy wszelkie znaleziska, jakie wpadną nam w ręce. Zgoda?

– Zgoda, doktorze Jones. - Faye nagle urwała. - Pod warunkiem, że jeżeli nie przeżyję... Mystery dostanie mój udział w całości, a ty zrobisz wszystko, co w twojej mocy by bezpiecznie dotarła do Oklahomy.

– Nie mógłbym postąpić inaczej - odparł Indy.

– Umiem sama o siebie zadbać, ty wapniaku - powiedziała Mystery, zrzucając Indy'emu z głowy kapelusz. - Co do mamy, jest równie samodzielna jak ja i na pewno nic jej się nie stanie. Ale gdyby coś się jednak zdarzyło, pan osobiście będzie odpowiedzialny za to, że zostałam sierotą.

7.

Dzieci diabła

Duży srebrzysty dwupłatowiec, z czerwonym napisem „Standard Oil” na karbowanych bokach, obniżył lot. Od piaszczystego dywanu pustyni oddzielało go zaledwie kilka metrów. Silnik typu Wright o mocy 360 koni zakrzusił się, po czym zamilkł, wsysając ostatnie krople paliwa z potężnego baku mieszczącego trzysta litrów paliwa. Masywne opony odbiły się od skalistego podłoża, pozostawiając za sobą dwie smugi kurzu. Po chwili nastąpił wstrząs, gdy tylne koło opadło na podłoże.

Faye Maskelyne, siedząca na podłodze ładowni transportowca PT6, straciła równowagę i niemal wylądowała na kolanach Indy’ego.

– Przepraszam - wymamrotała, nagle onieśmielona.

Gdy maszyna stanęła, Mystery otworzyła tylne drzwi ładowni i wyskoczyła na ziemię. Obydwie z matką miały na sobie mundury w kolorze khaki, kupione dwa tygodnie wcześniej w jakiejś wiosce nad brzegiem Indusu.

Na niebie lśniło silne irakijskie słońce. Poza niebieskimi, zamglonymi górami na północy, dookoła rozciągała się jedynie niemiłosierna pustynia.

– Gdzie jesteśmy? - spytała Mystery.

– Gdzieś na Górnej Równinie - odparł Indy. Wychylił się z samolotu, trzymając deskę. - Proszę. Połóż ją na ziemi, dobrze?

Indy wsiadł na jeden ze stojących w ładowni motocykli, poluzował sprzęgło, a potem zjechał po desce w dół, na ziemię. Wrócił do ładowni i to samo zrobił z drugim motocyklem. Ten drugi miał z boku przyczepę dla pasażera.

Były to czerwone, amerykańskie motocykle typu Indian, dobrze już sfatygowane. Dzień wcześniej Indy kupił je za ostatnie pieniądze od handlarza w obozie firmy wydobywającej ropę na pustyni pakistańskiej. Pierwszy motocykl był to Indian 4 z 1929 roku, z czterema czarnymi rurami wydechowymi po lewej stronie i szerokim siodełkiem, które bardziej pasowałoby do traktora. Motocykl z koszem był to Scout z 1928 roku. Z boku widniał napis po angielsku i arabsku: „Własność Brytyjskiej Ekspedycji Geologicznej”.

Faye wyjęła żywność i inne zapasy. Przytroczyli je do motocykli i załadowali do bagażnika przyczepy. Na przednich błotnikach obydwu maszyn zawiesili brezentowe torby z wodą.

Indy i Mystery wyjęli kanistry z benzyną. Dziesięć miało wystarczyć na powrót samolotu do indyjskiej granicy, pozostałe osiem przytroczono na tyłach motocykli.

Pilot otworzył duże trójkątne przeszklone drzwi i wyskoczył z kabiny na ziemię.

– Mało brakowało, no nie? - spytał Indy.

– To było pierwsze miejsce nie najeżone skałami - odparł pilot. - Poza tym, mówiliście, że chcecie dotrzeć jak najbliżej Lalesh. To jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów w tamtym kierunku.

Pilot wskazał kciukiem na północ.

Gdy napełnili bak samolotu, Indy wyciągnął z torby mapę, rozłożył ją na ziemi, po czym ułożył na niej kompas.

– W porządku - powiedział, siadając. - Rzeka Tygrys jest na zachód stąd, góry na północny wschód, a Lalesh jest, jak pan mówi, sto sześćdziesiąt kilometrów stąd na północ. Więc jesteśmy teraz tutaj.

Palcem wskazującym pokazał punkt na mapie.

– Według mnie trochę wyżej - powiedział pilot.

– W porządku - zgodził się Indy. - Zakładając, że będziemy pokonywać średnio czterdzieści pięć kilometrów na godzinę, powinniśmy być w Lalesh przed zmrokiem. Czy jest jeszcze coś, o czym powinniśmy wiedzieć?

– Irak stanowi protektorat brytyjski - powiedział pilot - ale tam dalej na północy możecie już liczyć tylko na siebie. Irak posiada własną armię, ale na waszym miejscu nie ufałbym irakijskim żołnierzom, jeśli ich spotkacie. Oficerowie sympatyzują z ruchem faszystowskim i usilnie dążą do wywołania wojny z Wielką Brytanią. Nie darzą Amerykanów zbyt wielką sympatią. Trzymajcie się z daleka od ludzi z plemienia Yezidi, bo cieszą się ponurą sławą.

– Słyszałem - odparł Indy.

– Bagdad jest jakieś czterysta pięćdziesiąt kilometrów stąd na południe - mówił dalej pilot. - Jeżeli zabłądzicie, znajdźcie po prostu rzekę Tygrys i jedźcie wzdłuż niej na południe. Powinniście trafić po drodze na kilka obozowisk brytyjskich firm wiertniczych, gdzie możecie kupić paliwo na drogę powrotną.

Indy złożył mapę i schował ją do kieszeni.

– Dzięki - powiedział, wstając i wymieniając z pilotem uścisk dłoni.

– Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się wywieźć kogoś na odludzie i tam zostawić - powiedział pilot. - Powodzenia, na pewno będzie wam potrzebne.

Indy wsiadł na motocykl Indian 4, a Faye i Mystery zaczęły kłócić się, która z nich zajmie miejsce w przyczepie. Ustaliły w końcu, że rzucą monetę. Wygrała Mystery. Wsiadła na Scouta, zaś jej matka usiadła z boku.

– Wiesz, jak się na tym jeździ? - spytał Indy, wkładając okulary.

Mystery tylko się uśmiechnęła, po czym zapuściła motor. Maszyna ożyła, nagle tylne koło śmignęło po piachu, gdy dziewczyna puściła sprzęgło i docisnęła gaz.

– Hej! - krzyknął Indy. - Ta maszyna musi jeszcze pokonać kilkaset kilometrów. A po drodze nie ma stacji obsługi!

Ale Mystery nie słyszała go.

– Dzieciaki - powiedział Indy i pokręcił głową.

Potem zapuścił motor swojej maszyny i podążył za dziewczyną.

Przez godzinę jechali po płaskim terenie, od czasu do czasu omijając głązy lub wspinając się po zboczach wąwozów. Zostawiali za sobą smugi kurzu, unoszące się w gorącym popołudniowym powietrzu.

Indy często spoglądał na kompas, sprawdzając, czy jadą we właściwym kierunku. Zatrzymali się na lunch, po czym Faye i Mystery zamieniły się miejscami i cała trójka pognęła dalej przed siebie. Późnym popołudniem teren stał się trudniejszy do pokonania. Podróżni zbliżali się do wzniesienia, z którego był widok na rzekę Tygrys. Na szczycie wzgórza wznosiły się starożytne ruiny. Widać było, że niektóre z nich zostały odkopane całkiem niedawno.

Indy zatrzymał motor, a Mystery stanęła tuż obok.

– Co to jest? - spytała Faye.

– Niniwa - odpowiedział Indy. - Jedno z najstarszych miast na świecie, prawdopodobnie założone przez Nimroda, praprawnuka Noego. Zostało zniszczone przez Babilończyków w szóstym wieku przed Chrystusem.

– Dokąd teraz jedziemy? - spytała Faye.

– Starożytny trakt prowadzi stąd w góry na północnym wschodzie - powiedział Indy. - Pojedziemy nim.

Droga, o której mówił przypominała raczej ścieżkę dla bydła i była tak wyboista, że musieli znacznie zwolnić. Wlekli się niemrawo z obawy o stan resorów motocykli. Indy, całkowicie pochłonięty pokonywaniem trudnej drogi, nie zauważył, że przez ostatnie piętnaście kilometrów byli śledzeni.

Nagle po obydwu ich stronach znalazło się po czterech jeźdźców, którzy bez trudu dotrzymywali tempa motocyklom. Konie, białe araby, były wysokie, a jeźdźcy mieli na sobie długie, ciemne szaty. Trzymali stare strzelby ładowane od przodu, a przy ich pasach wisały *khanjers*, złowróźbne, wygięte noże ludów pustyni.

Na płaskim terenie pojazdy bez trudu wyprzedziłyby jeźdźców, ale nie tutaj. Indy zwolnił i łagodnie zatrzymał maszynę. Faye zrobiła to samo.

– Nie wykonujcie żadnych gwałtownych ruchów - powiedział Indy, patrząc najeźdźców z uśmiechem, ale zwracając się do towarzyszących mu kobiet. - I pod żadnym pozorem nie odzywajcie się do nich, bo potraktują to jako obrazę. Z mężczyznami mogą rozmawiać wyłącznie mężczyźni.

Przywódcą jeźdźców był potężny mężczyzna o jasnoniebieskich oczach i zniszczonej twarzy. Miał duży nos, zaś jego włosy i broda przypominały barwą i fakturą stalowoszarą przędzę.

Zeskoczył z konia i podszedł do Indy'ego. Trzymał strzelbę w zgiętej lewej ręce, a prawą mógł w każdej chwili chwycić za miecz.

Przywitał Indy'ego po arabsku, po czym powiedział:

– Mówię trochę po angielsku.

– To dobrze - odparł Indy, rozchylając nieco poły kurtki, tak by webley został zauważony. - Ja mówię trochę po arabsku.

– Jestem szejk Ali Azhad.

– A ja nazywam się doktor Jones - odparł Indy po arabsku, wiedząc, jaką wagę przywiązuje się do tytułów w tej części świata. - Te kobiety to moje asystentki. Nie liczą się, ale lubię je. To moje kobiety.

Faye uśmiechnęła się miło, nie rozumiejąc treści rozmowy.

Szejk skinął głową.

– Leczysz chorych? - zapytał.

– Nie - odparł Indy. - Nie taki ze mnie doktor. Jestem nauczycielem, archeologiem. Robię wykopaliska.

– Czego szukasz? - spytał szejka.

– Przeszłości - odparł Indy.

Mężczyzna poważnie pokiwał głową.

– Czekamy na was od trzech dni - powiedział. - Widziałem we śnie, jak przybywacie na czerwonych maszynach. Wszyscy troje. Ale myślałem, że towarzyszą ci mężczyźni. Wszystko dlatego, że twoje kobiety noszą spodnie. Tak to jest ze snami. Mówią prawdę, ale nie znasz wszystkich szczegółów, dopóki nie zaczną się sprawdzać.

– Jesteście z plemienia Yezidi? - spytał Indy. - Mieszkacie w Lalesh?

– My nazywamy to miejsce Szejka Adda, na cześć naszego wielkiego proroka. Jest pochowany w tej dolinie, o tam. Jesteśmy spokojnymi ludźmi. Świat nas nie rozumie. Chcą nas zabić, zatrzeć pamięć o nas. Dlaczego przyjechaliście tutaj?

– Nie wyjaśnił ci tego sen? - spytał Indy, grając na zwłokę.

Szejka mruknął.

– Mogę obejrzeć twój pistolet?

Indy wyjął webleya z kabury i wyciągnął w stronę szejka kolbę do przodu.

– Jeżeli ja będę mógł obejrzeć twoją broń - odparł.

Szejka podał mu swoją skałkówkę i wziął do ręki webleya.

Strzelba była stara, miała jakieś sto lat, może więcej, ale była w dobrym stanie. Pachniała oliwą i czarnym prochem. Miała kaliber około czterdziestu milimetrów. Była świeżo naładowana.

Szejka otworzył cylinder webleya, spojrzął na mosiężne naboje, po czym zamknął rewolwer i wypróbował w dłoni jego ciężar, celując w szczyt

wzniesienia. Następnie oddał broń Indy'emu, sam zaś odebrał swoją strzelbę.

– Bardzo ładna - powiedział Indy.

Szejk pokiwał głową z zadowoleniem.

– Będę mówił do ciebie Jones.

Indy skinął głową.

– Ja będę mówił do ciebie Ali.

– Zabiorę was do Szejk Adda - powiedział Ali. - Ale najpierw zasady, jakie obowiązują: nie wolno pluć, nie wolno ubierać się na niebiesko, nie wolno rozgniewać Shaitana.

Szejk dosiadł konia i ruszył przed siebie drogą. Pozostali jeźdźcy podążyli za nim. Indy zapuścił motor.

– Kto to jest Shaitan? - spytała Faye.

– Szatan - odparł Indy.

Szejk Adda, najświętsze miasto plemienia Yezidi, składało się z grupy białych, stożkowatych grobowców i świątyń otoczonych przez kilkaset chat położonych w zielonej dolinie. Pawie, symbol jednego z półbogów, który według wierzeń Yezidów władał ziemią, spacerowały swobodnie między zabudowaniami. Widać było, że poza hodowlą kóz i koni mieszkańcy osady parają się na niewielką skalę handlem. Ali był, według tamtejszych standardów, zamożnym człowiekiem, posiadał bowiem strzelbę, konia, *khanjer* oraz niewielki sklepik z herbatą i tanimi błyskotkami z Zachodu. Poza najwyższym kapłanem uważano go za najpotężniejszego człowieka w osadzie, dlatego pozwolono mu uczyć się i mówić po angielsku.

– Ilu tu mieszka Yezidów? - spytała Mystery, wychodząc z przyczepy.

– Nie wiadomo - odparł Indy. - Szacuje się, że jest ich od kilku do kilkudziesięciu tysięcy. Są powszechnie znienawidzeni i to w regionie,

gdzie szerzą się wojny na tle religijnym. Od niepamiętnych czasów cierpią prześladowania.

– Od kiedy istnieją jako naród?

– Tego też nikt nie wie - wyjaśniał dalej Indy. - Ale są uznawani za jedną z najstarszych grup religijnych na świecie. Niektórzy twierdzą, że ich wierzenia pochodzą bezpośrednio z religii sumeryjskiej, ale nie zostało to udowodnione. W każdym razie ich wyznanie pochodzi z czasów religii mistycznych.

– Naprawdę oddają cześć szatanowi? - spytała Mystery.

– Cześć nie jest tu właściwym słowem - powiedział Ali do Indy'ego, podchodząc bliżej. Zwrócenie się bezpośrednio do Mystery zostałyby uznane za niegrzeczne. - Wierzymy, że Allah jest dobry. Ponieważ jest dobry nie musimy się Go obawiać. Szatana natomiast trzeba się strzec i okazywać mu szacunek.

– W jaki sposób okazujecie mu ten szacunek? - spytał Indy.

– W każdym działaniu, oczywiście - odparł Ali. - No, chodź, pewnie jesteś głodny. Zjemy coś.

Indy podążył za Alim w stronę jego domu, ale przed wejściem zatrzymał Faye i Mystery.

– Przykro mi - powiedział - ale musicie poczekać, aż skończą mężczyźni. Potem dostaniecie resztki.

– Resztki? - spytała Mystery.

– Ona ma rację - stwierdziła Faye. - To barbarzyńcy.

– Nie urządźcie scen - powiedział Indy. - To rzuca na mnie niedobre światło. Posłuchajcie, to nie ja ustalam te zasady. Poza tym, mogłoby być jeszcze gorzej. Nie musicie przynajmniej nosić zasłon na twarzach, co w tej części świata uważane jest za bardzo postępowe. Jeżeli jesteście głodne, mamy w jukach sporo niezłego żarcia.

Po posiłku Indy wyszedł w turbanie na głowie i zgrzebnym *zebunie*, tradycyjnej, ręcznie tkanej, szacie arabskiej. Przez ramię miał przerzucone jeszcze dwie ciemne szaty. Stanął przed chatą, położył sobie dłonie na brzuchu, po czym teatralnie beknął.

Faye i Mystery nadal siedziały przy motocyklach. Żaden z mieszkańców osady, ani kobieta, ani mężczyzna, nie odważył się okazać im zainteresowania nawet najlżejszym gestem.

Ali poklepał Indy'ego po plecach i podziękował za docenienie biesiady.

– Chodź - powiedział. - Pokażę ci twój dom. Zabierz swoje kobiety.

– Wygrałyście los na loterii - szepnął Indy. - Była baranina i owcze oczy. Oddałbym wszystko za kanapkę z szynką.

– Niestety - powiedziała Faye. - Zjadłyśmy całą szynkę.

– Była pyszna - dodała Mystery.

– Macie, włóżcie to - powiedział Indy, rzucając Faye dwie szaty. - Oni uważają, że kobietom nie przystoi chodzić w spodniach.

Ali zaprowadził ich do skromnej chaty położonej niedaleko wspólnej studni. Motocykle zostawili na zewnątrz, Indy jednak zabrał ze sobą świece zapłonowe.

– Nie ufasz nam? - spytał Ali.

– Oczywiście, że ufam - odparł Indy. - Ale czy ty zostawiłbyś przed domem konia z wędzidłem między zębami?

Klepisko w chacie było świeżo zamiecione. Leżały na nim dwie maty służące jako legowiska do spania. Poza tym nie było tam innych sprzętów. Przy wejściu stał kosz owoców nakryty kawałkiem płótna.

– Mam nadzieję, że ci się podoba - odezwał się Ali.

– Ogromnie - odparł Indy. - Dziękuję ci, przyjacielu.

Następnego ranka przed świtem Ali wczuł się do chaty i ukląkł obok Indy'ego. Faye i jej córka leżały razem na jednej z mat w drugim końcu pomieszczenia, wciąż pogrążone we śnie.

Ali położył rękę na ramieniu swego gościa.

Indy otworzył gwałtownie oczy i sięgnął po rewolwer. Zanim zacisnął palce na webleyu, *khanjer* Araba dotykał jego gardła.

– To tylko ja - powiedział Ali, chowając nóż.

– Myślałem, że ktoś próbuje ukraść motory - odparł Indy, opuszczając broń.

– Ubierz się szybko, przyjacielu - powiedział Ali. - Masz, załóż ten turban, najlepsze nakrycie głowy dla mężczyzny. Będiesz mógł przestąpić próg naszej świątyni, a do tej pory nie dane to było żadnemu białemu, przynajmniej takiemu, który by to przeżył i mógł o tym opowiadać.

– Dlaczego ja? - spytał Indy, wciągając długie buty.

– Ze względu na mój sen - odparł Ali. - I dlatego, że inni szejkwowie również przywiązują dużą wagę do twojej wizyty. To czas, kiedy czekamy na wielki znak.

Owiązując turban wokół głowy, Indy wyszedł za Alim na zewnątrz. Na bezchmurnym niebie połyskiwały gwiazdy. Niebrukowaną ulicą doszli do świątyni zwieńczonej stożkowatą wieżą. Przed wejściem stało kilkanaście par długich i krótkich butów.

– Zdejmij buty - nakazał Indy'emu Arab. - Zostaw je na zewnątrz i wchodząc do środka, nie nadepnij na próg. Nic nie mów i nic nie rób, dopóki nie zostaniesz poinstruowany.

Gdy znaleźli się wewnątrz, Ali wziął ze stołu zapaloną świecę i odsunął gobelin zawieszony na drugim końcu okrągłej ściany. Za ozdobną tkaninę, na której widniał paw, znajdowały się schody. Obok niej stał kapłan z *khanjerem* w dłoni.

– Zawsze jest tu ktoś na straży? - spytał Indy.

– Oczywiście - odparł Ali, schodząc po schodach. - To najświętsze miejsce wszystkich ludzi z plemienia Yezidi. Jest starsze niż ludzka pamięć. Nie możemy pozwolić ci na uczestniczenie w naszych obrzędach, ale jako szejk mogę ci pokazać naszą największą świętość. Przecież po to tu przyjechałeś, prawda?

Indy uśmiechnął się, ale nic nie odpowiedział.

Na ścianach korytarza widniały rysunki przedstawiające ogromne czarne węże owijające się wokół siebie. Indy słyszał szum płynącej wody. Gdy schodzili coraz niżej, szum nasilał się.

– Co znaczą te rysunki z węzami?

Ali przyłożył palec do ust.

Gdy schody skończyły się, znaleźli się w ogromnej granitowej grocie. Ali zapalił od świecy kilka pochodni wetkniętych w przymocowane do skały kinkiety. Na środku pomieszczenia znajdował się głęboki rów, którym płynął strumień krystalicznie czystej wody.

– Możesz pytać o wszystko z wyjątkiem rysunków na ścianach - powiedział Ali. - Stanowią własność Shaitana i nie wolno nam o nich mówić.

– A woda? - odezwał się Indy. - Pochodzi z waszej studni.

– Tak - odparł Ali. - Zawsze budujemy świątynie nad podziemnymi rzekami.

Ali przeszedł następnie do wykutej w skale niszy. W blasku świecy Indy dostrzegł drewniane drzwi relikwiarza przypominającego kształtem trumnę.

Ali otworzył drzwi, ukazując przedmiot z białego jak kość drewna. Miał, zdaniem Indy'ego, jakieś dwa metry długości. Arab ostrożnie wyjął laskę.

– Możesz ją potrzymać - powiedział - ale pod żadnym pozorem nie może dotknąć podłogi.

Indy skinął głową, po czym wziął laskę.

– Jaka lekka - stwierdził.

– Jest bardzo stara i wysuszona, przez co znacznie straciła na wadze. Gdybyś ją upuścił, roztrzaskałaby się jak szkło.

– Przysuń bliżej świecę - powiedział Indy. - Są tu jakieś znaki, ale nie mogę ich odczytać. Wyglądają na hebrajskie, ale nie jestem pewien.

– Nigdy nie widziałem, by dokonała jakichś cudów - powiedział Ali. - Dawniej uzdrawiała chorych. Pamiętam, jak mój dziadek opowiadał, że dzięki niej trędowaci i opętani odzyskiwali zdrowie.

– Czy to dlatego myślałeś, że jestem lekarzem?

– Raczej miałem taką nadzieję - odparł Ali. - W każdym pokoleniu dociera do nas kilku obcokrajowców w poszukiwaniu Laski, ale zawsze są to ludzie bezsilni.

– Czy w ciągu ostatnich kilku lat - spytał Indy - zjawił się u was pewien Anglik o imieniu Kaspar?

– Nie - odparł Ali. - Ty jesteś pierwszy w tym pokoleniu.

– Laska i... - Indy skinął głową w kierunku schodów. - W kulturze zachodniej mamy taki symbol, kaduceusz, który oznacza uzdrawianie chorych. Jest to połączenie tamtych rysunków i Laski.

– Wiem o tym - powiedział Ali.

– W jaki sposób Laska znalazła się w posiadaniu waszego ludu?

– Właściwie nie wiemy - odpowiedział Arab. - Jest pewna stara opowieść o tym, jak dawno temu skradziono ze Świątyni Salomona jednocześnie Laskę i Arkę Przymierza. Ale nie można mieć co do tego pewności. To tylko opowieść.

Indy ostrożnie oddał Laskę Alemu, a kiedy szejk odkładał święty przedmiot do relikwiarza, zapytał:

– Czy ktoś prosił kiedyś o wypożyczenie Laski?

– To absolutnie niemożliwe - odparł Ali. - Obowiązują nas bardzo jasne przepisy. Laska musi pozostawać tutaj przez cały czas i my musimy jej strzec. A jeśli ktoś próbowałby ją ukraść, biada mu. Najpierw obetniemy mu ręce, a potem wbijemy na pal i zostawimy na pustyni z rozprutym brzuchem. Niezła wyżerka dla sępów, prawda? Ale jesteśmy spokojnymi ludźmi. Niech mi pan powie, doktorze Jones, dlaczego tak interesuje pana Laska?

– Wyłącznie ze względów naukowych - odparł Indy.

– Oczywiście - powiedział Ali. - Musi pan wiedzieć, że tylko w jednym wypadku Laska może opuścić naszą osadę. Wyłącznie w rękach Wybrańca, który sprawi, że Laska znów zacznie czynić cuda. Szczerze mówiąc, przyjacielu, miałem nadzieję, że to ty nim jesteś.

– Nie jestem Wybrańcem - odparł Indy. - Przykro mi.

– Mnie też - powiedział Ali. - Rozpaczliwie potrzebujemy, by znowu rozpoczęła się na ziemi Epoka Cudów. W moim śnie nawet niebiosy poddawały się woli Wybrańca.

– Więc widziałeś ją - powiedziała Faye.

Siedzieli w chacie na słomianych matach. Indy skończył opowieść o swej wizycie w świątyni i o tym, co widział w podziemnej grocie.

– Tak, lub coś, co było do niej podobne - odparł. - Jest bardzo stara. Trzymają ją w drewnianej skrzyni w wykutej w skale niszy.

– A ten rów, w którym płynie woda ze studni - powiedziała Mystery. - Był szeroki?

– Miał około metra szerokości.

– Możesz określić, na jakiej głębokości płynęła woda i jak głęboko leży podziemna komnata?

– Nie - odparł Indy. - Było zbyt ciemno.

- To wcale nie będzie łatwe - powiedziała Faye.
- To niewykonalne - stwierdził Indy. - Świątynia jest strzeżona przez całą dobę.
- Tak, ale tylko przez jednego kapłana - powiedziała Faye.
- Nie ma sposobu, żeby nie przejść koło niego. Nawet jeżeli udałoby się go pokonać, trzeba by walczyć z całą wioską, żeby uciec.
- Być może - powiedziała Faye. - Chyba że na jego miejscu stanąłby ktoś inny. Z tego, co mówiłeś wynika, że strażnik nie wyróżniał się niczym szczególnym.
- Posłuchaj, nie chcę, żeby odrąbali mi ręce, a potem wbili na pal na pustyni i zostawili jako pożywienie dla sępów - powiedział Indy. - To zbyt ryzykowne. A poza tym, to nie byłoby w porządku. Ci ludzie nakarmili nas i przyjęli pod swój dach. Nie możemy zrewanżować im się kradzieżą tego, co jest dla nich największą świętością.
- Możemy potem zwrócić im Laskę - powiedziała Faye.
- Ale to i tak będzie kradzież - nie dawał za wygraną Indy.
- Laska stanowi klucz do Księgi Omega - powiedziała Faye. - Poza tym, to może być nasza jedyna szansa na odnalezienie Kaspara.
- To zbyt ryzykowne - upierał się Indy.
- Więc słynny naukowiec, podróżnik i rabuś grobów wycofuje się, bo nie potrafi sprostać wyzwaniu? - zapytała pogardliwie Mystery.
- Wolę okradać tych, którzy nie żyją już od kilku tysięcy lat, niż tych, którzy jeszcze chodzą po ziemi - odparł kwaśno Indy. - Jutro o świcie ruszamy do Bagdadu. Nie mamy tu nic więcej do roboty.

Indy usiadł na macie. Obudziły go krzyki mężczyzn i zawodzenie kobiet dochodzące z serca osady. Rzucił okiem na przeciwległy kraniec pomieszczenia. Na drugiej macie leżała Faye, nie było jednak Mystery.

- O, nie - jęknął Indy.
- Gdzie Mystery? - spytała Faye, podnosząc się na posłaniu.
- Nie wiem - odparł Indy, wciągając buty i chwytając *zebun*. - Ale obawiam się, że ona spowodowała to całe zamieszanie.

Tłum zebrał się wokół świątyni. Wszyscy jazgotali jednocześnie po arabsku.

- Co się stało? - spytał Indy Alego.
- Laska zniknęła - odparł zagadnięty. - Przyszliśmy na poranne nabożeństwo i już jej nie było. Gdzie ona jest?
- Nie możesz twierdzić, że to ja ją ukradłem.
- Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy —odparł Ali. - Nie powinienem ci jej pokazywać. To był błąd.

Ali wykonał ruch ręką i natychmiast Indy i Faye zostali pochwyceni za ramiona.

- Gdzie dziewczyna? - spytał Ali.
- Nie wiem - odparł Indy.
- Pytam jeszcze raz, gdzie jest Laska?
- Jeszcze raz odpowiadam, że nie wiem - powiedział Indy.

Ali potrząsnął głową. Wyjął swój *khanjer*. Ostrze załśniło w różowym brzasku dnia. Arab przystawił je do policzka swego gościa.

- Powiesz mi - powiedział. - Lepiej zrób to teraz niż potem, bo zapewniam cię, że i tak mi powiesz. Dlatego, że zacznę obdzierać cię ze skóry, poczynając od rąk i nóg. Dłonie i stopy to szczególnie wrażliwe miejsca. Potem zrobię to samo z twoim brzuchem i klatką piersiową, a na koniec zedrę ci skórę z twarzy i głowy. A potem, kiedy odzyskamy Laskę, odrąbie ci dłonie...

- Wiem, co dalej - przerwał Indy.
- Przywiążcie ich - rozkazał Ali.

Tłum chwycił Indy'ego i Faye za ręce i nogi. Zostali rozciągnięci na ziemi i za pomocą drewnianych kołków i skórzanych pasów unieruchomiono ich z rozpostartymi kończynami.

– Masz jakiś pomysł? - spytała Faye.

– Ani jednego - odparł Indy.

Ali usiadł na ziemi po turecku i zdjął lewy but Indy'ego. Następnie zsunął mu skarpetkę i przytknął nóż do cienkiej skóry opinającej kości.

– Jesteśmy spokojnym narodem - powiedział.

– Hitler mówi to samo - stwierdził Indy.

– Kto to jest Hitler?

– Zgadnij - odparł Indy.

– Sam zmuszasz nas do tego - powiedział Arab. Następnie pochylił się nad Indym i odezwał się: - Z bojaźni przez Shaitanem, proszę powiedz nam, gdzie ukryłeś Laskę. Myślałem, że jesteś moim przyjacielem. Nie chcę cię skrzywdzić. Oczywiście, będziemy musieli cię zabić, ale nie chcę cię torturować.

– Więc nie rób tego - odparł Indy.

Ali potrząsnął głową i zaczął nacinać skórę wokół kostki ofiary. Indy zacisnął zęby, ale gdy ostrze dotknęło kości, nie mógł powstrzymać się i krzyknął.

– Przestań! - krzyknęła Mystery.

Wysunęła się ze studni z Laską w dłoni. Włosy miała w nieładzie i cała była umazana błotem.

– Ukradłam ten wasz głupi patyk - powiedziała. - Spuściłam się na dno studni i płynąc podziemnym strumieniem dostałam się do groty. Wypuście go.

Ali krzyknął do mężczyzn po arabsku, żeby ją złapali.

– Tknijcie mnie tylko, a połamie wam ten kij - powiedziała Mystery. - Wypuść Indy'ego i moją matkę, a wtedy zastanowię się, czy zwrócić wam Laskę.

Ali nakazał mężczyznom, by się zatrzymali.

– Nie możemy ich wypuścić - powiedział. - Takie jest prawo.

– W takim razie możecie pożegnać się z waszym największym skarbem - powiedziała Mystery i zaczęła mocować się z Laską, która wygięła się na jej kolanie w kabłąk. Kiedy zaczęła trzeszczeć, Ali podniósł rękę.

– Dobrze - powiedział i rozkazał swym ludziom, by uwolnili Faye Maskelyne.

– A doktor Jones? - spytała Mystery.

– Nadużył mej przyjaźni i mego zaufania - powiedział Ali. - Dlatego musi umrzeć, podobnie jak ty musisz umrzeć za to, że ukradłaś Laskę. Ale wypuszczę twoją matkę.

Faye wstała, rozcierając nadgarstki. Podeszła do Mystery i odebrała jej Laskę. Nagle zerwał się chłodny wiatr i rozwiął fałdy zgrzebnych szat mężczyzn i chusty kobiet. Alemu wydało się, że widzi fosforyczny blask otaczający Laskę.

– Oddaj mi Laskę - powiedział Ali. - Potem odejdz.

– Nie odejdę bez mojej córki - odparła Faye, a jej oczy lśniły. - I mojego przyjaciela.

– Oni muszą umrzeć - nie ustępował Ali. - Odejdz.

– Do diabła z tobą - powiedziała Faye i skierowała Laskę w stronę Araba. - Nikogo nie zabijesz.

Z bezchmurnego nieba spłynęła cienka błyskawica i uderzyła w piach u stóp szejka. *Khanjer* wypadł mężczyźnie z dłoni, a siła uderzenia odrzuciła go w tył.

Tłum cofnął się.

– Super - powiedziała Mystery. - Zrób to jeszcze raz, mamó.

– Nie wiem, jak to się stało - stwierdziła Faye, podchodząc do Indy'ego. Wyciągnęła zza paska nóż i uwolniła przyjaciela. - Po prostu byłam zła, i tyle.

– Muszę teraz uważać, żeby cię nie rozzłościć - powiedział Indy.

Ali usiadł i potrząsnął głową. Jego turban i długa szata tliły się, a w miejscu, gdzie stopił się piach leżała rozgrzana do czerwoności strzałka piorunowa.

– Czy to możliwe? - zapytał. - Kobieta?

– O czym on mówi? - spytała Faye, pomagając Indy'emu podnieść się. - Jak twoja kostka?

Indy poruszał palcami u nóg.

– Dziwne - powiedział, oglądając ranę. - To tylko draśnięcie. Dałbym głowę, że Ali odciął mi kawał skóry, zupełnie jakby kroił świątecznego indyka. Ale teraz już nie krwawi i nawet nie boli.

– Czy mogę obejrzeć Laskę? - spytał Ali.

– Dlaczego miałabym ci ją oddać? - odparła Faye.

– Proszę - powiedział szejk. - Pozwól mi ją obejrzeć, tylko przez chwilę. Wyciągnął ręce w błagalnym geście.

– Daj mu - powiedział Indy, wkładając z powrotem skarpetkę i but.

Ali wziął Laskę i zważył ją w dłoni.

– Jest znacznie cięższa - powiedział. - Dajcie lampę.

Ktoś przyniósł zapaloną lampkę oliwną. Ali wziął ją i uważnie przyjrzał się Lasce. Przebiegł kciukiem po literach.

– Popatrzcie - powiedział. - Są teraz znacznie wyraźniejsze.

– Co takiego? - spytała Faye.

– Litery hebrajskie - odparł Ali, oddając jej Laskę.

– Imię Aarona - powiedział Indy.

- Więc to naprawdę jego Laska.
- Jasne, mamó - powiedziała Mystery. - Myślisz, że udałoby ci się ściągać pioruny przy pomocy jakiegoś starego kija?
- Ty jesteś Wybrańcem, na którego czekamy - powiedział Ali.
- Wcale nie - odparła Faye.
- Powróciła Epoka Cudów - oznajmił Ali.
- Na twoim miejscu nie spierałbym się z nim o to - szepnął Indy do ucha kobiety. - Bierz Laskę i uciekajmy stąd.
- Kobieta! - zawołał zdumiony Ali.
- Mówiłem ci, że to nie ja - stwierdził Indy.
- Ach, tak to już jest ze snami - powiedział szejk. - Także nasze życie to sen, gdy Allah śpi, a Shaitan bawi się. W modłach błagamy jedynie Allaha, by spał nadal, bo kiedy się obudzi, świat zniknie.

8.

Zaklinacze węży

Dwa tygodnie później w Muski, starej dzielnicy Kairu, Indy zatrzymał motocykl przed domem czynszowym, który odwiedzał już wielokrotnie. Mystery jadąca na scoucie z siedzącą w przyczepie Faye, stanęła za nim. Oba motocykle były pokryte błotem i kurzem, i bez wątplenia wymagały naprawy.

– Poczekajcie tutaj - zwrócił się Indy do swych towarzyszek, zdejmując okulary z umorusanej twarzy. Wszedł po schodach i znalazł się przed drzwiami mieszkania położonego na najwyższym piętrze budynku. Otarł chusteczką brud z twarzy i zapukał do drzwi.

Do drzwi podeszła, mniej więcej trzyletnia ciemnowłosa dziewczynka.

– Czy tata jest w domu? - spytał Indy po arabsku.

Dziewczynka popatrzyła na niego, nie rozumiejąc.

Do drzwi podeszło inne dziecko, chłopiec. Był starszy i wyższy od dziewczynki. Indy powtórzył pytanie. Poważnie skinął głową, ale nie poruszył się. Wreszcie dołączyła do nich jeszcze jedna dziewczynka, najstarsza i kiedy Indy po raz trzeci powtórzył pytanie, krzyknęła w głąb mieszkania.

Indy usłyszał ciężkie stąpanie po drewnianej podłodze i już wkrótce w drzwiach zobaczył znajomą twarz.

– Sallah - powiedział. - To ja.

Sallah patrzył przez chwilę szeroko otwartymi oczami, jak gdyby właśnie zobaczył ducha, po czym uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Wpuśćcie go, dzieciaki - powiedział. - To nasz przyjaciel, Indiana Jones, który przyszedł z niespodziewaną wizytą. Wejdz, proszę.

– Na dole czekają moi przyjaciele...

– Zaproś ich też na górę - powiedział Sallah. - Nie, poczekaj, poślę po nich któreś z dzieci. Jesteś głodny? Możemy przygotować coś do jedzenia. To żaden problem. Wyglądasz tak, jakbyś miał za sobą długą drogę.

Sallah zaprowadził Indy'ego na balkon, nalał mu herbaty i wskazał najwygodniejsze miejsce. Balkon wychodził na wąską uliczkę, zaś nad nią Indy widział minarety i dachy Kairu.

– Wybacz, że o to pytam, mój przyjacielu, ale jaki czarownik rzucił na ciebie klątwę? - zapytał Sallah z troską w głosie. - Bardzo się zmieniłeś: blady, zmęczony, postarzały.

Indy uśmiechnął się.

– Gdybym miał wiarę moich przodków - mówił dalej Sallah - powiedziałbym, że to twoje *ka* odwiedziło mnie po drodze w zaświaty.

– Nie jestem duchem - powiedział Indy. - To długa historia. Kiedyś ci ją opowiem, ale nie teraz. Musisz uwierzyć mi na słowo, że to naprawdę ja. Jestem zdziwiony, widząc cię w domu o tej porze.

– Kryzys jest odczuwany we wszystkich częściach świata - odparł gospodarz. - Od końca lat dwudziestych zorganizowano w tych okolicach zaledwie kilka wykopalisk. Poza tym, na skutek działań *Service des Antiquites* uzyskanie pozwolenia na kontynuowanie prac przy bardziej znanych zabytkach nastęrcza coraz więcej trudności.

– Porozmawiamy o tym później - powiedział Indy, widząc, że dołączają do nich Faye i Mystery.

Sallah wstał i ucałował obie dłonie każdej z nich. Faye trzymała w lewej ręce Laskę zawiniętą w cienki koc.

– Nie mówiłeś, że masz tak piękne towarzyszki podróży - powiedział gospodarz.

– Proszę przestać - odparła Faye. - Na pewno wyglądam okropnie.

– Co to jest, moja piękna?

– Sam zobacz - powiedział Indy.

Sallah rozwinął koc. Laska była teraz grubsza, cięższa i intensywnie brązowa. Sallah przebiegł palcami po hebrajskim napisie.

– To na pewno współczesna podróbka - stwierdził.

– Nie - powiedział Indy. - To autentyk.

– Skąd ta pewność?

– Zademonstrowała nam swoją moc.

– Ale wcale nie widać na niej upływu lat.

– Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy - powiedział Indy - przypominała stary, wysuszony kij. Od tego czasu zmieniła się w to, co masz teraz przed sobą. I dlatego przyjechaliśmy do Kairu.

Przez następną godzinę Indy opowiadał przyjacielowi o przygodach, które przeżył razem z paniami Maskelyne. Gdy skończył, Sallah podrapał się po czarnej brodzie i pociągnął łyk zimnej herbaty.

– Czy wiesz, jak moi rodacy nazywają Sfinksa? - zapytał - „Ojciec zła”. Uważano kiedyś, że to wieczny bóg, który istniał, zanim na ziemi pojawił się człowiek.

– Pomożesz nam? - spytał Indy.

– Oczywiście - odparł Sallah. - Wszystko, co mam, należy do ciebie. Ale to nie będzie łatwe. Musimy pracować nocą i być przygotowani na to, że zostaniemy nakryci. Albo, że ktoś będzie próbował nam przeszkodzić. Powiedz, ten łotr Japończyk, którego oślepiłeś, nadal depta ci po piętach?

– Od wyjazdu z Kalkuty już nie.

– No, to już przynajmniej coś - powiedział Sallah. - Zaczniemy pojutrze w nocy. Wtedy przypada pełnia księżyca i będziemy lepiej widzieć przy kopaniu.

– Antyki - syknął sprzedawca. Był to wychudzony mężczyzna z wydatnym orlim nosem i złotym przednim zębem. Na czubku głowy miał lichego feza, a ubrany był w brudną, szarą szatę. - Bezcenne pamiątki po wymarłej cywilizacji. Może pokazać panu królewskiego skarabeusza?

– Nie interesują nas twoje nieudolnie podrabiane towary - powiedział Sokai.

– Ależ, proszę pana, wszystko w moim sklepie to autentyki - odparł kupiec, udając oburzenie.

Za Japończykiem stał Jadoo i wprawnym okiem szacował wystawione na sprzedaż przedmioty. Znajdowały się tam typowe przykłady *ostraci*, gliniane tabliczki z notatkami, zapisanymi hieroglifami formułami modlitw i zwykłymi graffiti pochodzącymi z grobowców Gizy. Były też marne kopie rzeźb nagrobnych, których oryginały eksponowano w muzeum w centrum Kairu, a także podrabiana biżuteria, w tym kopie złotych skarabeuszy, które zdobiły niegdyś napierśniki faraonów.

– Proszę pana, wszystko w tym sklepie to autentyki - powtórzył sprzedawca. - Sam wykopałem większość z tych przedmiotów.

– W takim razie musiałeś najpierw zakopać je na własnym klepisku - powiedział Jadoo. - Żaden z tych przedmiotów nie widział królewskiego grobowca.

– Obraża pan moją godność - powiedział sprzedawca. - Proszę powiedzieć, czego panowie szukają, a ja spróbuję to odnaleźć.

– Szukamy czegoś znacznie bardziej egzotycznego - powiedział Jadoo.

– Mogę zaprowadzić panów na dół. Mamy tam rzeczy, których nie możemy zaoferować szerokiej publiczności. Rzeczy zakazane. Rzeczy, dzięki którym można leczyć rany, odzyskać męskość, przedłużyć życie.

– A-ha, wreszcie dochodzimy do jakiegoś porozumienia - powiedział Sokai. Wstrząsnął z paczki Lucky Strike'a, włożył go do ust i nie

zaoponował, gdy sprzedawca podał mu ogień.

– Mamy unikalne mumie, które liczą sobie po cztery tysiące lat - mówił dalej sprzedawca. - Dopiero co wyciągnięte z grobów i gotowe do użytku. Lepszej mumii do celów medycznych nigdzie nie znajdziecie.

– Jak się nazywasz?

– Ahkmed, proszę pana. A pan?

– To nie ma znaczenia - stwierdził Sokai. - Ważne jest natomiast to, że szukam trzech całkiem niestarych mumii.

– Oczywiście - zamruczał z zadowolenia Ahkmed. - Z której dynastii?

– Która godzina? - spytał Sokai.

Ahkmed wydawał się zaskoczony.

– Sugeruje pan morderstwo? - zapytał.

– Skończ to gadanie - powiedział Sokai. - Nie musisz przede mną udawać. Dobrze wiem, że mumie, które sprzedajesz na dole chodziły i rozmawiały jeszcze przed paroma tygodniami, że wykradasz ciała z grobów, owijasz je i zostawiasz na jakiś czas na pustyni, żeby wyschły.

Ahkmed uśmiechnął się, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Zasięgnęliśmy języka - powiedział Jadoo - i dobrze poinformowani powiedzieli nam, że najlepiej zgłosić się do ciebie, jeżeli coś ma być zrobione szybko i bez rozgłosu.

– Och, ale to odpowiednio kosztuje - powiedział Ahkmed.

– Oczywiście - zgodził się Sokai. Z kieszeni płaszczu wyciągnął portfel, wyciągnął pięć banknotów dziesięciofuntowych i położył je na brudnym kontuarze. - Nie mamy piastrów. Po robocie dostaniesz jeszcze sto funtów.

Ahkmed rozejrzał się, czy nikt ich nie obserwuje, po czym zebrał banknoty i włożył do kieszeni.

– Powiedzcie, co to za jedni - powiedział.

– Są teraz w Kairze - odparł Sokai - ale nie wiem dokładnie gdzie. To amerykański archeolog, jego przyjaciółka iluzjonistka oraz jej córka. Najbardziej zależy mi na nim.

– Jak się nazywa?

– Indiana Jones.

Ahkmed roześmiał się.

– Znasz go?

– Wszyscy w Muski znają doktora Jonesa - odpowiedział. - Nie będzie trudno go znaleźć, ale jego śmierć nikomu się nie spodoba. Jest bardzo lubiany przez ludzi, którzy pracują przy wykopaliskach. Za jego śmierć nie mogą wziąć mniej niż trzysta funtów.

– Jones nie jest tyle wart - powiedział Sokai. - Dostaniesz dwieście.

– Zgoda - odparł Ahkmed. - Powiedz mi jeszcze, czego Jones szuka w Kairze. To może pomóc, jeżeli będę znał jego słaby punkt. Wtedy uda mi się zwabić ich do siebie, gdzie będę mógł działać bez pośpiechu, zamiast mordować ich we własnych łóżkach.

– Chodzi o Sfinksa - powiedział Jadoo, po czym spojrzał na Japończyka. - Chodzi im o Sfinksa. Nic więcej nie możemy ci powiedzieć.

– A-ha, i chcę dostać wszystko, co mają przy sobie - powiedział Sokai. - Każdy skrawek papieru, każdy przedmiot, nawet jeżeli wydawałby się zupełnie nieistotny. Dostarcz to wszystko pod ten adres - Sokai wręczył Arabowi wizytówkę z adresem jakiejś firmy eksportowej. - Zrozumiałeś?

– Doskonale - odparł Ahkmed. - A co potem?

– Oczywiście, przywieź ich do mnie - powiedział Sokai. - Jako mumie.

Mystery tasowała talię kart, podczas gdy dzieci Sallaha tłoczyły się wokół niej. Dziewczyna rozłożyła zasłonięte karty w wachlarz, po czym

poprosiła najmłodszą, by wybrała jedną z nich. Czteroletnia Jasmine uśmiechnęła się, ale nie wykonała najłżejszego gestu, by wziąć kartę.

– No już, weź jedną - odezwał się do niej po arabsku starszy brat, dziesięcioletni Moshti. - To nic złego.

Jasmine wyciągnęła trójkę pik.

– A teraz pokaż kartę rodzeństwu - powiedziała Mystery. - Zamknę oczy i nie będę jej widziała. Nie mów też na głos, co to jest.

Moshti przetłumaczył dziewczynce słowa Amerykanki. Jasmine, chichocząc, zaczęła wymachiwać kartą.

– Zrobione? - spytała Mystery, zaciskając powieki.

– Tak - odparł Moshti.

– Świetnie. Teraz wsuń kartą z powrotem do talii, na chybił trafił - powiedziała Mystery, trzymając przed sobą ułożone równo karty.

Moshti wziął rękę siostry i poprowadził ją w stronę talii. Karta została wsunięta niemal dokładnie w sam środek.

– Zrobione - powiedział Moshti.

Mystery otworzyła oczy.

– Teraz spróbuj znaleźć tą kartą - zwróciła się do Jasmine. - Bądźcie cicho, bo to wymaga koncentracji.

– Co to znaczy koncentracja? - spytał Moshti.

– Inaczej myślenie - odparła Mystery, biorąc z wierzchu talii pięć pierwszych kart. - Nie, to nie była żadna z tych - powiedziała, upuszczając karty. Wzięła dziesięć kolejnych, ale te również nie zyskały jej aprobaty.

– Na pewno jest gdzieś tutaj? - spytała Mystery.

Moshti przetłumaczył jej słowa i dzieci skinęły głowami potakująco.

– W porządku - powiedziała Mystery, oglądając kolejnych dwadzieścia kart. - Tu też nic. Po prostu nie potrafię jej znaleźć - mówiła dalej, po czym resztą talii upuściła na podłogę, bezradnie rozkładając dłonie.

– Musi tu gdzieś być - powiedział Moshti. Razem z rodzeństwem zaczął przeszukiwać rozrzuconą po podłodze talią, ale bez rezultatu.

– Och, poczekajcie chwilą - powiedziała Mystery, pukając się w czoło. - To była moja specjalna talia latających kart. Ale jestem głupia. Już wiem, gdzie jest ta karta.

Pochyliła się i wyciągnęła trójkę pik zza pleców Jasmine.

– Poleciała aż tam - stwierdziła Mystery.

Dzieci zaczęły klaskać z uciechy.

– To był świetny pokaz - przyznał Sallah wchodząc do pokoju.

– To była pierwsza sztuczka, jakiej nauczył mnie tata - powiedziała Mystery, zbierając karty i układając je z powrotem na kupkę. - Bardzo prosty trik oparty na zręczności rąk, ale zawsze rozbawia publiczność.

– Twój tata jest z ciebie na pewno bardzo dumny - stwierdził Sallah.

– Jak może być dumny, skoro nie widział mnie już kilka lat? - spytała ze złością Mystery. - Najwyraźniej wcale nie zależy mu ani na mnie, ani na mojej matce.

– Czasami - powiedział Sallah - rodzice muszą opuścić swoje dzieci albo z powodu pustych żołądków, albo też w pogoni za marzeniami. Bywało, że opuszczałem tę gromadkę nawet na kilka miesięcy, ale to nie znaczy, że ich nie kocham.

– Ale zawsze wracasz - odparła Mystery.

– Kiedy rodzice nie wracają - odparł Sallah - zwykle dzieje się tak z przyczyn od nich niezależnych. Twój ojciec kochał cię bardzo i uczył własnych sztuczek. Jestem pewien, że z własnej woli nie rozstawałby się z tobą ani na chwilę.

– Czasami wydaje mi się, że już nie żyje - powiedziała Mystery. - A czasami mam nadzieję. Najgorszy jest brak pewności. Gdybyśmy chociaż

dostały od niego jakiś list lub kartę, gdzie pisałby, że bardzo nas kocha, ale na razie nie może wrócić. To by tak wiele dla nas znaczyło.

– Oczywiście - przyznał Sallah. - Każdy z nas, młody czy stary, cierpi, zostając sierotą. Kiedy umarł mój ojciec, myślałem, że ziemia usuwa mi się spod nóg, ale tak się nie stało. Poza tym mój ojciec żyje nadal w jasnych twarzach tych dzieci.

– Nigdy nie będę miała dzieci - powiedziała Mystery. - Świat jest zbyt okrutny, żeby powoływać do życia kolejną istotę.

– Gdy byłem w twoim wieku, też wygłaszałem takie poglądy - odparł Sallah. - Cierpłem na myśl o dzieciach i o odpowiedzialności za rodzinę. Ale świat ma własny program działania. A najdziwniejsze, jeśli chodzi o dzieci, jest to, że jeżeli są kochane, zadbane i traktowane jak istoty ludzkie, wtedy sprawiają, że świat staje się przyjemniejszym miejscem do życia.

Mystery skrzywiła się.

– Przekonasz się - powiedział Sallah przewidująco. - Znajdziesz odpowiedniego młodzieńca i...

– Nigdy nie miałam chłopaka - odparła Mystery. - Moje życie było zawsze zbyt zwariowane. Włóczenie się po świecie, szukanie ojca, noszenie ciągle męskich ubrań, bez przerwy przedstawienia w kolejnych miastach. Czasami zastanawiam się, jak to jest, kiedy ma się stałych przyjaciół, już nie mówiąc o chłopaku.

– Masz przyjaciół - stwierdził Sallah. - Indy jest twoim przyjacielem. Ja jestem twoim przyjacielem. I twoja matka jest z pewnością twoim przyjacielem.

– Chciałabym mieć jakiegoś młodego przyjaciela - odparła Mystery.

Sallah chrząknął z dezaprobatą.

– No wiesz, o co mi chodzi - powiedziała dziewczyna.

– Tak - odparł Sallah. - I to mnie właśnie martwi.

Mystery przewróciła oczami.

– Chyba trzeba zwolnić tempo - powiedział Sallah. - Porozmawiam z Indym i twoją mamą. Pójdziecie na bazar, żeby kupić dla ciebie nową sukienkę.

– Masz na myśli prawdziwą sukienkę? - spytała Mystery. - Ze spódnicą i tym wszystkim?

– Tak, ze spódnicą i tym wszystkim - przytaknął Sallah.

– Nie mogę uwierzyć, że tak bardzo mnie to poruszyło - przyznała Mystery. - To takie...

– Zwyczajne? - zapytał Sallah.

Mystery zakręciła się na środku ulicy. Biała sukienka oświetlona od tyłu promieniami popołudniowego słońca uniosła się, otaczając dziewczynę niczym spadochron. Stary Egipcjanin kopiący rów przy krawężniku stał przez dłuższą chwilę patrząc na dziewczynę z dezaprobatą, a jakiś młodzieniec na rowerze mało nie wykręcił sobie szyi i gwizdnął z uznaniem zanim wpadł na zaparkowaną taksówkę.

– Poważna sprawa - stwierdził Indy, widząc, że za chwilę wybuchnie kłótnia między rowerzystą a taksówkarzem. - Mystery wstrzymała ruch uliczny.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że tak bardzo dorosła - powiedziała Faye. - Ja w wieku siedemnastu lat nie miałam jeszcze takich kobiecych kształtów. Skąd się u niej to wzięło?

– Może jest lepiej odżywiona - stwierdził Indy. - Poza tym tak przywykłaś do oglądania jej w męskim ubraniu, że każdy inny strój musi wywołać szok.

Z krawężników wołali do nich uliczni przekupnie, za wszelką cenę chcąc przyciągnąć uwagę bogatych Amerykanów. Większość chciała

powróżyć im z ręki lub z fusów herbacianych w zamian za kilka piastrów, albo też wypisać jakieś tajemnicze znaki na skrawku papieru, który potem należało spalić i tym sposobem rozpocząć dla siebie dobrą passę. Inni trzymali w wyciągniętych dłoniach niemal bezwartościowe świecidełka, zazwyczaj korale i podrabianą biżuterię, jeszcze inni nawoływali nieco bardziej stłumionymi głosami, oferując towary zakazane nawet w Muski: kradzione rzeczy, haszysz, kilka chwil namiętności z nieznajomą.

Mystery przystanęła przed zaklinaczem węży.

Mężczyzna siedział po turecku przed wiklinowym koszem i grał na flecie. Królewska kobra wysunęła głowę z koszyka, zgięła ją, po czym zaczęła jakby płasać w rytm dziwnej, pełnej dysonansów melodii.

– To potężna sztuka - powiedziała Faye. - Musi mieć jakieś dwa i pół metra długości.

– Nie chciałabyś, żeby ta bestia wpiła zęby w twoje ciało, prawda? - spytała Faye.

– Chodźmy - powiedział Indy.

– Węże są głuche - powiedziała Faye. - Nie słyszą muzyki. Reagują na ruchy fletu, a nie na dźwięki.

– Na pewno widziałyście to już tysiące razy - stwierdził Indy.

– Tak, ale to jeden z największych węży, jakie miałam okazję widzieć - powiedziała Mystery, klękając obok zaklinacza węży i wpatrując się w oczy gada. - Zaklinanie węży to bardzo stara sztuka. Ta umiejętność przechodzi z ojca na syna i czasami stanowi jedyne źródło utrzymania dla rodziny.

Indy zrobił kilka kroków do przodu.

– Bardzo dobrze - powiedziała Mystery, kładąc na ziemi kilka monet. Zaklinacz węży przestał grać i uśmiechnął się, szczerząc zęby.

– Pokażę wam znaną sztuczkę z liną - zaproponował.

– Może innym razem - odpowiedziała Mystery.

Nagle, zanim zdążyła zaproponować, mężczyzna chwycił ją za rękę i spojrzał uważnie na wnętrze jej dłoni.

– Twoje życie będzie długie i pełne przygód - powiedział Arab. - Wcześniej wyjdiesz za mąż, będziesz miała dużo pięknych dzieci i zawsze więcej radości w życiu niż smutku.

– Obiecujesz? - spytała Mystery.

– Doktorze Jones - zawołała Faye. - Nigdy nie przypuszczałabym, że boi się pan węży.

– O czym ty mówisz? - spytał Indy z krzywym uśmiechem. - Nie cierpię po prostu tej muzyki.

Ogorzały mężczyzna w czerwonym turbanie, który przez cały czas siedział na piętach z głową opartą na rękach, nagle wyprostował się. Trzykrotnie uderzył laską w chodnik, a kiedy Indy spojrzał w jego stronę, powiedział cicho:

– Czy ktokolwiek zna tajemnicę Sfinksa?

Indy zatrzymał się.

– Co powiedziałaś? - zapytał.

Mężczyzna nie odpowiedział.

Indy podszedł do niego, przyklęknął na jedno kolano i spojrzał na starca. Mężczyzna wytrzymał spojrzenie przybysza, a na jego zasuszonej twarzy nie pojawił się nawet cień emocji.

– Masz odwagę poznać tajemnicę Sfinksa? - zapytał.

– Chodź - powiedziała Faye, ciągnąc Indy'ego za koszulę.

– Poczekaj - odparł Indy.

– To tylko uliczny wróż - stwierdziła Faye.

– Ale powiedział coś na temat Sfinksa - odparł Indy. - Co masz na myśli, pytając, czy mam odwagę coś poznać? Dlaczego pytasz o to właśnie mnie?

– Twój cień kroczy za tobą - odparł mężczyzna. - Szukasz Sfinksa i tego, co się w nim kryje. Mogę ci pomóc.

– Jak? - spytał Indy. - Jak możesz mi pomóc?

– Chodźmy - powiedziała Faye. - Nie podoba mi się to.

– Istnieje pewna mapa - powiedział Ahkmed. - Bardzo stara. Pokazuje wiele tajemniczych miejsc wokół Sfinksa. Miejsc, których nikt dotąd nie widział.

– Pokaż mi ją - powiedział Indy.

– Nie mam jej - odparł Ahkmed. - Ale mogę ci ją pokazać.

Indy zawahał się.

– To niedaleko - zachęcał Ahkmed.

Faye skrzyżowała ręce.

– Ile? - zapytała.

– Niedużo - odparł mężczyzna.

– Zaprowadź mnie tam - powiedział Indy. - Jak ją zobaczę, porozmawiamy o cenie.

Ahkmed skinął głową. Wstał i poprowadził troje cudzoziemców przez kręte ulice, aż znaleźli się w wąskim zaułku na tyłach jego sklepu. Zapukał do drzwi, które otworzyła jakaś niewidoczna ręka. Weszli do środka. Gospodarz skinął dłonią, by zeszli za nim po schodach.

– Nie podoba mi się to - stwierdziła Faye.

– Co ci to szkodzi? - odparł Indy. - Ma pewnie jakiś bezwartościowy śmieć kopiowany już setki razy. Ale z drugiej strony może mieć coś, czego naprawdę potrzebujemy. Muszę się o tym przekonać.

Indy szedł pierwszy, za nim Mystery, a na końcu Faye. Schody trzeszczały złowrogo pod ich ciężarem. W piwnicy było tak ciemno, że ledwie dostrzegali własne stopy.

– Co to za smród? - zapytała Mystery. - Nigdy jeszcze nie czułam takiego smrodu.

– Tak ci to przeszkadza? - spytał Indy, stawiając stopę na ostatnim stopniu. - Można tu trochę poświecić?

Ahkmed potarł zapałkę i przytknął ją do zwisającej z sufitu lampy naftowej. Kiedy odwrócił się, by znowu spojrzeć na gości, w lewej dłoni zaciskał zardzewiały rewolwer kaliber 32. Usłyszeli zgrzyt przekręcane go klucza, którym zamykano drzwi na górze.

– Napad? - spytał Indy.

– Wiem już, skąd pochodzi ten smród - powiedziała Mystery.

Pod przeciwległą ścianą w ogromnej kadzi z zielonkawą cieczą pływała ludzka ręka i noga, a obok, na drewnianym stole spoczywało ciało pokryte warstwą soli. Organy zostały usunięte i leżały w stojących na podłodze metalowych wiadrach. Na ławce leżały zakrwawione szczypce o ostrych i cienkich końcach, do których przylgnęły kawałki mózgu, była tam także duża rolka szerokiego, lnianego bandaża.

– Produkujesz własne mumie - stwierdził Indy.

– Najlepsze w Kairze - odparł Ahkmed.

– O, Boże - powiedziała Faye. - W co ty nas tym razem wpakowałeś, Jones? Mówiłam ci, żebyś tego nie robił.

– Zostawmy kłótnię na później, dobrze? - powiedział Indy. - Pozwólcie, że sam się tym zajmę.

– Ale nas też w to wciągnąłeś - odcięła się Faye. - A może wydaje ci się, że...

– Cisza! - wrzasnął Ahkmed.

Zaczął wymachiwać rewolwerem.

– Chodźcie tu, tylko powoli.

Znaleźli się na środku piwnicy, pod lampą. Ahkmed zbliżył się ostrożnie do Indy'ego, mierząc do niego z rewolweru i szybkim ruchem wyciągnął mu z kabury broń.

Obejrzał cięższego, dobrze naoliwionego webleya, po czym własny rewolwer rzucił na drewnianą ławkę. Upadając, uderzył jeden z niewielkich, stojących tam koszy, z którego wnętrza dobiegał znajomy odgłos, jaki wydaje wąż szukając drogi ucieczki.

– Twój rewolwer jest znacznie lepszy - powiedział Ahkmed z podziwem.

– Świetna robota - skomentowała Faye - Założę się też, że jest nabity.

– Nie zaczynaj - ostrzegł kobietę Indy.

Ahkmed zawołał na kogoś o imieniu Abdul i nagle usłyszeli, że drzwi piwnicy otwierają się. Po trzeszczących schodach zszedł na dół ogromny, ponad dwumetrowy Arab z ogoloną głową i lśnącymi muskularni. Niósł duży, wiklinowy kosz, który postawił przed trójką schwytych obcokrajowców.

– Rozbierajcie się - powiedział Abdul. - Włóżcie ubrania do kosza. I wszystko inne, buty, paski, portfele.

– Chyba żartujesz - stwierdziła Mystery.

– Ani trochę - odparł Ahkmed i odbezpieczył rewolwer. - Rozbierzecie się sami czy Abdul ma wam w tym pomóc?

Mystery spojrzała w twarz wielkoluda, który uśmiechnął się, zadowolony z tego, co nastąpi.

– A co będzie potem?

Ahkmed machnął lufą webleya i Abdul wyciągnął łapy w stronę Mystery. Indy zagroził mu drogę i położył dłoń na spoconej piersi Araba. Miał uczucie, że wciska rękę w płócienną torbę pełną stalowych łożysk kulkowych.

– Dlaczego mnie nie zastrzelisz? - zwrócił się do Ahkmeda.

– Zrobię to - zagroził Ahkmed.

– Nie, nie zrobisz tego - odparł Indy. - Ponieważ nie chcesz, żeby na mojej skórze znalazł się ślad od kuli, prawda? Trudno byłoby wyjaśnić, skąd u liczącej sobie cztery tysiące lat mumii dziura od kuli.

– To dziwne, czyż nie, doktorze Jones? - spytał Ahkmed. - Proszę się tak bardzo nie dziwić, jest pan tutaj bardziej znany niż się panu wydaje. I wkrótce stanie się pan jedną z tych rzeczy, których tak usilnie pan poszukiwał.

– No, cóż, powiem ci coś, brachu. Wszyscy przejdziemy do historii, w ten czy inny sposób. Ale ja wcale nie śpieszę się do tego, żeby wskoczyć do tej kadzi.

– A jednak zaraz sobie w niej popływasz - odparł Ahkmed. - Nawet jeżeli mój kuzyn Abdul będzie cię musiał do niej wrzucić.

Abdul chwycił Indy'ego za kołnierz i za pasek i podniósł do góry. Z twarzą przy suficie Indy mógł jedynie walić Araba łokciem po głowie, ale chociaż olbrzym mruczał przy każdym ciosie, nie zwolnił uścisku.

– Nie - powiedział Ahkmed. - Najpierw muszą zdjąć ubrania i wyciągnąć wszystko z kieszeni.

Abdul postawił Indy'ego z powrotem na podłodze.

– Rozbierajcie się - rozkazał Ahkmed. - Wszyscy, i to natychmiast!

Indy zaczął powoli od góry rozpinać koszulę. Faye i Mystery również bez pośpiechu przystąpiły do zdejmowania odzieży.

– Gdzie twoja laska, kiedy naprawdę jest potrzebna? - Indy zapytał Faye.

– Zamknij się - rzuciła Faye.

– Co takiego? - spytał Ahkmed.

– Nic - odparł Indy.

– Mówiłeś o jakiejś lasce.

– Może i tak - odparł Indy.

– Czy to cenna rzecz?

– Bezcenna - odpowiedział Indy. - Ale teraz nie ma to już znaczenia, prawda?

Skończył rozpinąć koszulę. Faye uklękła, by rozwiązać sznurowadła, Mystery zaś zsunęła z ramion nową sukienkę.

– Opowiedz mi o tym - powiedział Ahkmed.

– To długa historia - odparł Indy. - A ty aż palisz się, żeby sprawić nam kąpiel w tej solance.

Lufa rewolweru zachwiała się.

Ahkmed i Abdul patrzyli jak zahipnotyzowani na Mystery ubraną teraz jedynie w bieliznę. Ich oczy lśniły z oczekiwania.

Indy sięgnął za plecy i udając, że chce wyjąć z za spodni poły koszuli, wyciągnął bat i ruszył do przodu. Bat trzasnął i uderzył w nadgarstek Ahkmeda. Rewolwer wypalił zanim Arab zdążył wypuścić go z ręki. Potem broń upadła na drewnianą ławkę. Kula wbiła się w ścianę za plecami Ahkmeda. Ławka przewróciła się. Ciało oraz kosze z węzami spadły na podłogę.

Kobry rozpierzchły się we wszystkie strony.

– Węże! - krzyknął Indy. - Mnóstwo, mnóstwo węży!

Abdul żelazną dłonią chwycił Indy'ego za kark i zaczął ciągnąć do kadzi. Wokół nogi oplotła mu się trzy i półmetrowa kobra. Abdul próbował ją strząsnąć, ale bez rezultatu.

Kobra zasyczała, otworzyła paszczę i wbiła zęby w udo Araba. Olbrzym zawył i obiema rękami chwycił węża, ale nie mógł go oderwać od swojej nogi. Gdy odwrócił się, by błagać o pomoc swą niedoszłą ofiarę, Indy zamachnął się i wymierzył mu jeden ze swych najlepszych ciosów w szczękę.

Abdul zatoczył się do tyłu i wpadł twarzą do kadzi z solanką. Ciecz zapieniła się i zasyczała.

Ahkmed już nie żył. Z jego twarzy zwisało kilka węży. Na policzkach Araba widać było wiele czerwonych śladów po ukąszeniach.

– Chodźmy stąd - powiedział Indy.

Wskoczył na schody.

– Nie chcesz odzyskać rewolweru? - spytała Mystery, wkładając z powrotem sukienkę.

– Daj spokój - odparł Indy, zwijając bat i wsuwając za pasek.

Mystery potrząsnęła głową, po czym spokojnie przeszła przez pomieszczenie.

– Nie rób tego! - zareagował szybko Indy.

– Ciii - powiedziała Faye. - Nie rozpraszaj jej.

Mystery szła dalej, omijając wijące się gady, aż wreszcie podniosła webleya.

– One tylko szukają drogi ucieczki - powiedziała dziewczyna. - Ahkmed był już stracony, ale Abdul pewnie by przeżył, gdyby nie wpadł w panikę. Ukąszenie kobry zwykle nie jest śmiertelne.

– Trzymam cię za słowo - stwierdził Indy, wsuwając webleya do kabury.

– Co oni robią z... tymi rzeczami? - spytała Mystery.

– Na czarnym rynku nieźle rozchodzą się sproszkowane mumie - odparł Indy. - Niektórzy używają ich jako lekarstwa, inni wierzą, że to silny afrodyzjak.

– Ohyda - stwierdziła Mystery. - Może spalimy to miejsce?

– Moglibyśmy, gdyby nie sąsiadowało po obydwu stronach z uczciwymi sklepami i domami mieszkalnymi - odparł Indy. - Teraz już chodźmy i niech węże zajmą się resztą.

9.

Szakale

Pojechali do Gizy starym rozklekotanym fordem należącym do szwagra Sallaha. Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, zaparkowali nad Nilem pod wysoką wydumą i czekali na wschód księżyca. Kiedy w dwie godziny później pojawił się na niebie, niczym eteryczny posłaniec spoglądający z góry na Kair, w oddali zawył szakal. Jego wycie wyгнаło z Gizy ostatnich turystów, którzy wrócili do bezpiecznego Kairu, pozostawiając zabytki pustyni jej stałym mieszkańcom.

Sallah wyjął z samochodu płócienną torbę, w której były nasączone sosnową żywicą pochodnie, oraz ciężką żelazną sztabę do wyważania drzwi. Indy wziął szpadle i kilofy. Faye niosła Laskę i dwa kaganki, a Mystery liny i przyrządy wyciągowe.

Wspięli się na skalisty brzeg Nilu i ruszyli przez zniszczoną równinę w stronę Sfinksa. Kiedy podeszli bliżej, zobaczyli nad linią horyzontu głowę Sfinksa oraz czubki dwóch spośród trzech piramid. W końcu minęli powalone kolumny i głazy świątyni i znaleźli się na głównym placu nekropolii.

Przed nimi była tajemnicza twarz Sfinksa, wpatrującego się uparcie na wschód. Poszarpane łapy wysuwały się ku nim. Głowa potwora o wystających uszach i rzeźbionej grzywie była tak zniszczona, że odnosili wrażenie, iż w każdej chwili może na nich runąć. Sfinks został wykuty z jednej skały wapiennej, dlatego na horyzoncie widać było jedynie jego głowę, reszta cielska spoczywała w ogrodzonym wykopie.

Pomiędzy łapami bestii wznosił się pokryty hieroglifami granitowy obelisk wysokości człowieka. Podobnie jak Sfinks, słupek był poważnie

uszkodzony i niekompletny.

– Jest w tym miejscu coś dziwnego - stwierdziła Faye. - Masz wrażenie, że przytłaczają cię całe tysiąclecia. Nie, nawet nie tysiąclecia, a cała wieczność.

– Nie ty pierwsza odnosisz takie wrażenie - odparł Indy. - Czułem to samo, kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy jako młody chłopak. Teraz wiemy o Sfinksie znacznie więcej niż wtedy. Jego historię najpierw przysypały piaski pustyni, a potem odkopały następne pokolenia.

– Nikt nie zauważy, że kręcimy się tutaj?

– To niemożliwe - odparł Indy. - Jesteśmy tak dobrze osłonięci, że ktoś musiałby stanąć nad naszymi głowami, żeby nas dostrzec.

– Co tu jest napisane? - spytała Mystery, stając przed słupem. Księżyc świecił tak jasno, że Indy mógł odczytać napis bez latarki.

– To jeden z wielu rządowych obelisków - powiedział Indy. - Upamiętnia projekt robót publicznych i przywódcę, który był jego pomysłodawcą. Jakieś dwa i pół tysiąca lat temu Tutmos IV kazał oczyścić Sfinksa z piasku i naprawić uszkodzenia. Ponieważ na zniszczonym w tym miejscu fragmencie słupa zachowała się tylko jedna sylaba „Khaf”, większość egiptologów twierdzi, że Sfinks został zbudowany tysiąc lat temu przez Chafre.

– A co ty sądzisz? - spytała Mystery.

– Myślę, że nie znamy jeszcze wszystkich odpowiedzi - powiedział Indy.

– Czytałam, że Napoleon potraktował Sfinksa jako cel - powiedziała Mystery - i odstrzelił mu nos.

– Nie, Sfinksa oszpecił jakiś islamski fanatyk w czternastym wieku - odparł Indy.

– No, dobrze, Indy - wtrącił się Sallah, odkładając bagaże i biorąc do ręki szpadel. - Jestem gotowy. Gdzie zaczynamy?

– Dobre pytanie - przyznał Indy. - Faye, już czas.

Faye skinęła głową.

Podeszła do Sfinksa, obróciła się i usiadła między jego łapami. Położyła Laskę na kolanach, opuściła głowę, skoncentrowała się i trwała w tej pozycji przez piętnaście minut. Pozostali czekali w milczeniu.

W końcu podniosła głowę.

Otworzyła oczy, ale wyglądała tak, jakby wsłuchiwała się w dźwięki odległej muzyki. Wstała i trzymała Laskę przed sobą w wyciągniętych rękach.

Zrobiła siedem kroków, zawahała się i zrobiła jeden krok w lewo. Trzymała Laskę jedną ręką nad głową, zakręciła nią i opuściła w dół. Laska zaryła jednym końcem w płytkim piachu i uderzyła w coś twardego.

– Kopcie tutaj - powiedziała Faye.

– Jesteś pewna? - spytał Indy. - Nie było żadnej błyskawicy ani nic podobnego. Oczekiwałem czegoś więcej.

– Kiedy Izraelici szukali wody na pustyni - powiedziała Faye - uderzyli po prostu Laską w skałę i wytrysnęło źródło. Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

– Wiesz, tysiące, nie, prawdopodobnie miliony ludzi przechodziło tędy w ciągu ostatnich pięciu tysięcy lat, ale nikt tu niczego nie znalazł. Wydaje mi się, że laska stuknęła po prostu o skałę wapienną, która leży pod warstwą piasku.

– Przestań narzekać i zacznij kopać - powiedziała Faye.

Sallah zaznaczył stopą wskazane miejsce i zaczął odgarniać piach łopatą. Indy i Mystery też wzięli się do pracy, Faye zaś przyglądała się im, trzymając w dłoni wyprostowaną laskę. Po chwili miejsce było na tyle oczyszczone z piachu, że zobaczyli gładką, płaską powierzchnię.

– To ludzkie dzieło - stwierdził Indy. - Ale może to być równie dobrze jedna z płyt dawnego dziedzińca.

– Kopcie dalej - powiedziała Faye.

Sallah postukał w głaz tępym końcem sztaby do podważania. Usłyszeli głuchy, pusty dźwięk.

– A niech mnie diabli - mruknął Indy.

Sallah popatrzył na niego z dezaprobatą.

– Znalazłam jeden koniec - powiedziała Mystery.

Pół godziny zajęło im dokładne oczyszczenie kamienia z piasku. Głaz był płaski i miał około metra kwadratowego powierzchni. Sallah wsunął sztabę pod jedną z krawędzi.

– Jeszcze nie - powiedział Indy. - Mystery, sprawdź, czy teren jest czysty.

Dziewczyna skinęła głową.

– Tylko uważaj.

Wdrapała się po prawej łapie Sfinksa, wlaźła na jego ramię, po czym przylgnęła do głowy bestii. Księżyc stał już wysoko na niebie.

Mystery spojrzała za siebie. Cielsko sfinksa, dorównujące niemal długością boisku do piłki nożnej, nie miało harmonijnych proporcji. Głowa była zbyt mała w stosunku do potężnej sylwetki. Na północnym wschodzie wznosiła się w niebo widoczna wyraźnie w blasku księżyca piramida Cheopsa, ostatni istniejący cud świata antycznego. Niemal dokładnie za Sfinksem znajdowała się nieco mniejsza piramida Chefrena, zaś na południowym wschodzie - najmniejsza w Gizie piramida Mykerinosa.

Dziewczynie wydało się, że coś się poruszyło na południu, równoległe do Nilu. Zamknęła oczy, po czym spojrzała znowu, ale niczego już nie było.

– Czysto - krzyknęła.

Gdy schodziła, tysiącletni fragment rzeźby usunął się spod jej stóp. Zdążyła złapać się w samą porą.

– Mówiłem, żebyś uważała - powiedział Indy.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj następnym razem - odparł Indy. - Tylko uważaj na siebie.

Sallah wziął głęboki oddech, zacisnął zęby, po czym napał na wetkniętą w szczelinę sztabę.

Nic.

Mocniej chwycił sztabę i napał na nią całym ciałem. Jego mięśnie uwypukliły się i drżały, ale znowu bez skutku.

– Niemożliwe, żeby był taki ciężki - stwierdził Indy.

– Chcesz sam spróbować? - spytał Sallah. Był czerwony na twarzy, a z jego nosa ściekały krople potu.

– Widocznie źle ustawiłeś dźwignię - odparł Indy.

– Myślisz, że robię to po raz pierwszy?

– Daj, sam spróbuję - zadeklarował się Indy. - Ten głaz nie może ważyć więcej niż kilkaset kilogramów.

Splunął w dłonie, przestawił dźwignię, po czym nacisnął.

– Masz rację - stwierdził.

– Spróbujmy razem - zaproponował Sallah.

Sallah złapał za koniec dźwigni, Indy za część środkową, zaś Mystery pchała z drugiej strony. Po trzydziestu sekundach wspólnego wysiłku, usłyszeli odgłos skały pocierającej o skałę.

– Rusza się - powiedział Indy przez zaciśnięte zęby.

– Pchajcie dalej - zachęcił towarzyszy Sallah.

Głaz ustąpił.

Mystery puściła dźwignię i zrobiła krok do tyłu. Otarła wierzchem dłoni pot z czoła, po czym spojrzała na gwiazdy.

– Dziwne - stwierdziła, z trudem łapiąc oddech. - Myślałam, że będzie to najwspanialsza chwila w moim życiu, ale tak nie jest. Dziwnie się czuję, jak gdybym była jednym z tych szakali wyjących na pustyni.

– Jesteśmy szakalami - odparł Sallah, a jego oczy błyszczały. - To nie jest nic złego, takie jest prawo natury. Moja rodzina od pokoleń przekopuje te grobowce. Jesteśmy ludzkimi szakalami. Najeźdźcami.

10.

Ojciec grozy

Kiedy Sallah przesunął z trudem głaz na bok, z otworu wypłynęła fala tak gorącego powietrza, że sfinks i gwiazdy zaczęły drżeć niczym fatamorgana.

– Weź głęboki oddech, Indy - powiedział Sallah. - To powietrze faraonów!

– I niewolników - odparł Indy, wyjmując pochodnię z płóciennej torby, którą przewiesił sobie przez ramię. Potarł zapałkę o wapienny głaz, zasłaniający wcześniej tajemne wejście i przytknął ją do nasączonych smołą trzciny. Płomień przez chwilę trząsał, po czym wybuchnął pomarańczowym blaskiem.

Trzymając pochodnię przed sobą, Indy zrobił kilka kroków w głąb korytarza. Znajdowały się tam pokryte grubą warstwą czerwonego pyłu schody, prowadzące dalej w mrok.

Ściany korytarza były gładkie, tylko na poprzecznej belce widniały hieroglify.

– Hieroglify - powiedział Sallah. - Co to znaczy?

– Zachęcają mądrych, by poszli naprzód, głupich zaś, by zawrócili z drogi - odparł Indy.

– I tak nigdy nie słuchasz żadnych rad - skomentował Sallah.

– Bardzo śmieszne - odparł Indy. - Czy musisz ciągle mnie prowokować?

– Poczekaj, Indy - wyjąkał Sallah. - Kto zaopiekuje się kobietami?

– Chcesz zostać tu z Faye i z tym kijem?

Sallah wahał się przez chwilę, ale pospieszył i dołączył do Indy'ego.

– Mam nadzieję, że podjąłem właściwą decyzję - powiedział.

– Wkrótce się przekonamy - odparł Indy, wręczając towarzyszowi pochodnię. - Idź za mną i niczego nie dotykaj, dopóki ci nie pozwolę.

Strome schody prowadziły w głąb ziemi, przechodząc następnie w wąskie pomieszczenie o ścianach ozdobionych wielobarwnymi, skomplikowanymi malowidłami. Na suficie królowała bogini Nut, po której bokach spływały rzędy gwiazd. Na ścianach znajdowały się płaskorzeźby, przedstawiające kapłanów przygotowujących faraona do podróży w zaświaty. Ankh, krzyż z pętlą u góry - egipski symbol życia wiecznego - powtarzał się wielokrotnie. Po obydwu stronach wejścia stały dwie gliniane wazy, z których wystawały zwoje papirusów.

– To drugie przejście - stwierdził Indy. - Jak na razie, wszystko wygląda dokładnie tak jak w typowym królewskim grobowcu.

Wziął jeden ze zwojów i ostrożnie rozwinął go na kilkanaście centymetrów. Zwój był zapisany pochyłą odmianą hieroglifów, zwaną pismem hieratycznym.

– Ile lat może sobie liczyć ten labirynt? - zapytał Sallah.

– Nie wiem - odparł Indy. Brzegi papirusu, który trzymał, zaczęły kruszyć się w pył. Odłożył go do wazy i wziął następny, który po rozwinięciu również zaczął rozpadać mu się w dłoniach. - To świadectwa kapłanów, którzy najwyraźniej remontowali grobowiec co kilkaset lat. Ten pochodzi z czasów Ramzesa II, tysiąc trzysta lat przed narodzeniem Chrystusa. Jest tu napisane, że to miejsce jest tak stare jak ludzkość i że właśnie tu doszło do najważniejszych wydarzeń Pierwszego Czasu.

– Pierwszy Czas - stwierdził Sallah. - Czas, kiedy bogowie zstąpili na ziemię. Myślałem, że to tylko legenda. Ale w tym miejscu wydaje się to bardziej prawdziwe niż samo życie. Co o tym myślisz, przyjacielu?

– Myślę, że nie pora na dysputy teologiczne - odparł Indy. - Starożytni Egipcjanie mieli zupełnie odmienne poczucie rzeczywistości niż my. Uznawali za pewnik fakt, że ich faraonowie są bezpośrednimi spadkobiercami bogów.

Indy odstawił papirus na miejsce, po czym strzepnął kurz z dłoni.

– Nie będę oglądał pozostałych, bo boję się, że unikalne teksty ulegną zniszczeniu - powiedział. Miał wrażenie, że stulecia przytłaczają go.

– Gdyby tylko był na to czas - zauważył Sallah.

– Ale go nie ma - odparł Indy. - Ironia losu, prawda?

– Nienawidzę ironii - powiedział Sallah. - Z reguły nie przynosi nic dobrego.

– No, przestań już - zaproponował Indy. - Wydaje mi się, że w tej komnacie jesteśmy całkiem bezpieczni. Kłopoty zaczną się w następnej.

– Nienawidzę kłopotów - zauważył Sallah.

Indy stanął u szczytu kolejnych schodów. Wysunął pochodnię w mrok. Po obu stronach schodów w wykutych w wapieniu niszach lśniły złote posągi o wysokości równej połowie wysokości człowieka.

– Trzecie przejście - powiedział Indy. - I sanktuaria, w których spoczywają bogowie Wschodu i Zachodu. Pójdę pierwszy.

– Jak sobie życzysz - odparł Sallah.

Indy ostrożnie zrobił jeden krok w dół, potem następny.

– Na razie wszystko gra - rzucił przez ramię. - Idź po moich śladach widocznych w warstwie kurzu.

Uczył kolejny krok.

Po lewej stronie w niszach lśniły figury bogów Wschodu, po prawej zaś równolegle stali bogowie Zachodu. Wszystkie postacie wyglądały na agresywne monstra, często byli to pół ludzie pół zwierzęta. Każdy z nich spełniał jakąś określoną funkcję w panteonie starożytnego Egiptu. Horus,

mściciel, miał głowę sokoła; Anubis, władca podziemnego świata, miał głowę szakala; Ammon, patron faraonów, miał głowę barana; Hathor, bogini narodzin, miała głowę krowy.

Indy poczuł, że stopień, na którym stanął obniża się o kilka milimetrów.

– O, nie - powiedział.

Złoty Anubis o głowie szakala otworzył paszczę, pokazując rzędy lśniących zębów. Indy skulił się i zaczął turlać się w dół po schodach dokładnie w chwili, gdy z gardła bóstwa śmignęła zakończona miedzianym grotem strzałka i utkwiała w przeciwległej ścianie.

Gdy Indy turlał się po kolejnych schodach, strzały posypały się jak grad, za każdym razem o ułamek sekundy za późno, by ugodzić właściwy cel. Indy podejrzewał, że u stóp schodów jest przepaść i kiedy znalazł się na dole, trzymał już bat w pogotowiu. Zamachnął się. Koniec bata okręcił się wokół gzymsu kamiennej kolumny stojącej w następnej komnacie.

Indy upuścił pochodnię i obydwoma rękami zawisł na rączce bata. Patrzył, jak pochodnia spada na piasek sześć metrów niżej, i rozpędza dziesiątki skorpionów.

Nagle kamienna kolumna, obluzowana pod ciężarem Indy'ego, przewróciła się. Stanowiła teraz most nad przepaścią, jednak przez jej upadek Indy obniżył się tak bardzo, że czubkami butów dotykał piasku na jej dnie.

Kapelusz Indy'ego wpadł do przepaści.

– Indy, przyjacielu! - zawołał Sallah. - Wszystko w porządku?

Indy podniósł kapelusz i powoli podciągał się na rękach po bacie do kolumny.

– Tak - odkrzyknął, wyjmując z płóciennej torby kolejną pochodnię. Zapalił ją zapalką, którą potarł o kolumnę. - Chodź do mnie, tylko uważaj.

Sallah przeszedł ostrożnie po zwałonej kolumnie i dołączył do Indy'ego po drugiej stronie przepaści ze skorpionami. Zdjął skorpiona z kapelusza przyjaciela i wrzucił go z powrotem w przepaść.

– Dzięki - powiedział Indy.

– Nie zabiłyby cię - stwierdził Sallah. - Ale po jednym, dwóch dniach żałowałbyś, że tego nie zrobiły. Gdzie teraz jesteśmy?

– W komnacie dwóch strażników - odparł Indy, podnosząc w górę pochodnię. - Oto oni.

W niszy we wschodniej ścianie tkwiło wysuszone ciało wojownika. Skóra przylgnęła do jego kości, zbroja była nadgryziona zębem czasu, ale włócznię wciąż trzymał sztywno w kościstej dłoni.

Po drugiej stronie stał kapłan. Jego biała tunika przegniła, głowa opadła do tyłu, zaś dolna szczęka spoczywała na mostku martwego mężczyzny. Pozółkłe zęby wystawały z jego rozdziawionych ust. W dłoni trzymał miedziany topór.

– Jak przejdziemy? - spytał Sallah.

– Bardzo ostrożnie - odparł Indy.

Zrobił krok naprzód, zatrzymał się, po czym zrobił następny krok.

– Coś się dzieje? - zapytał.

– Nic - odparł Sallah.

– Dobrze - powiedział Indy, robiąc następne dwa kroki. - A teraz?

– To wszystko jest... za proste - powiedział Sallah.

– Racja - przyznał Indy.

Płomień pochodni zadrżał, poruszony przez ledwie wyczuwalny podmuch powietrza.

– Padnij! - krzyknął Indy.

Przywarł do podłogi w chwili, gdy miedziany dysk o krawędziach ostrych jak brzytwa runął z sufitu. Zakołysał się na tyle nisko nad podłogą,

że zdołał przeciąć na plecach skórzana kurtkę Indy'ego, po czym zamarudził jeszcze nad wygiętym grzbietem Sallaha i z powrotem uniósł się do sufitu.

– Nic ci się nie stało? - zapytał Indy.

– Chyba nie - zaryzykował odpowiedź Sallah.

– To dobrze - powiedział Indy. - Następna komnata, piąta, to będzie pomieszczenie z szybem.

Ruszył ostrożnie wzdłuż przejścia ku następnej komnacie. Sallah postępował za nim krok w krok. Tak jak przypuszczał, na środku pomieszczenia znajdował się dół otoczony czterema potężnymi, kwadratowymi słupami. Widniały na nich wizerunki pawianów i krokodyli.

Indy przysiadł na chwilę na piętach, obserwując uważnie wnętrze komnaty. Następnie wziął z podłogi kamyk i cisnął go do dołu.

Kilka metrów poniżej kamyk odbił się gwałtownie o skałę.

– Przejdziemy - stwierdził Indy.

– Jesteś pewien?

– Nie dotykaj słupów ani podłogi - powiedział Indy, zstępując do dołu i przechodząc po kamiennych płytach na drugą stronę.

– A co będzie, jeśli dotknę? - zapytał Sallah.

– Nie wiem - odparł Indy - ale to nie będzie nic przyjemnego.

Indy znalazł się po drugiej stronie szybu i zatrzymał się, czekając na Sallaha.

– W typowym grobowcu - odezwał się Indy - następna komnata byłaby komorą grobową, chyba że grobowiec jest rozbudowany. W takim wypadku następna powinna być Sala Rydwanu, coś w rodzaju pomnika na cześć wojny.

Znaleźli się w następnej komnacie, obszernym pomieszczeniu ozdobionym malowidłami przedstawiającymi sceny bitewne - zwarte szyki

wojowników, pędzące rydwany, rzędy nieprzyjaciół z odciętymi głowami. Na środku komnaty, otoczony kolumnami, znajdował się ścięty u góry, kamienny pomnik. Każdy z jego boków ozdobiono rzędami krzyży ankh. W przeciwieństwie do poprzednich komnat, z tego pomieszczenia nie było widać wyjścia.

– Musi tu być jeszcze jeden poziom - stwierdził Sallah.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko znaleźć wejście i nie dać się przy tym zabić - odparł Indy.

– Szczytny cel, nie ma co - powiedział Sallah.

Indy obejrzał dokładnie podłogę i ściany pomieszczenia, przyświecając sobie pochodnią. Dostrzegł rząd dziwnych płaskorzeźb i malowideł, a wzdłuż północnej ściany szereg owalnych kartuszy z imionami faraonów.

– Popatrz na to - powiedział Indy.

– Imiona wszystkich królów, którzy władali Egiptem od czasów Menesa z Pierwszej Dynastii - powiedział Sallah, trzymając swoją pochodnię tuż przy ścianie. - Zobacz, imiona dochodzą aż do Trzydziestej Dynastii w Epoce Późnej.

– To niemożliwe - stwierdził Indy z niedowierzaniem. - Ten labirynt nie mógł powstać wcześniej niż w okresie Średniego Państwa.

– A jednak - odparł Sallah - są tu te wszystkie imiona. Nawet ja mogę je odczytać.

– Musiały zostać wyryte podczas remontu - stwierdził Indy.

– Miejmy nadzieję - odparł Sallah. - W przeciwnym razie aż strach pomyśleć, skąd się tu wzięły.

Indy odwrócił się od ściany, by obejrzeć monument na środku komnaty.

– Może to jest jednak miejsce pochówku - zasugerował Sallah.

– Za małe, żeby pomieścić mumię - odparł Indy.

– A jeśli leży w nim dziecko? - nie dawał za wygraną Sallah. - Albo jedno ze świątynnych zwierząt, na przykład pawian?

– Nie sądzę - odparł Indy, stukając kostkami o monument. - Brzmi solidnie jak lity kamień. Jak daleko zaszliśmy twoim zdaniem?

– W głąb ziemi? - spytał Sallah.

– Nie - odparł Indy. - Chodzi mi o odległość.

– Trudno powiedzieć - zawyrokował Sallah. - Nie liczyłem kroków, ale myślę, że przynajmniej kilkaset metrów.

– A w jakim kierunku? - zapytał Indy.

– Na południowy zachód.

– Tak też myślałem - stwierdził, wskakując na płaską powierzchnię pomnika. - Jesteśmy w podziemiach Wielkiej Piramidy. Nie zejdziemy na dół, idziemy w górę!

Podniósł pochodnię prawie do sufitu i zaczął go obmacywać palcami drugiej ręki. Po chwili nacisnął sufit otwartą dłonią i odniósł wrażenie, że kamienna płyta unosi się.

– Pomóż mi - zwrócił się do Sallaha. - Myślę, że to działa na zasadzie dźwigni.

Sallah niezdarnie wdrapał się na monument z drugiej strony i, trzymając pochodnię w zębach, położył swe dłonie na suficie i pchnął.

Płyta jęknęła, zatrzeszczała, sufit otworzył się i posypał się czerwony pył. Na górę prowadziły wąskie schody.

– Kolejne pierwsze przejście - stwierdził Indy i podciągnął się. Wysunął rękę i pomógł Sallahowi wspiąć się.

– Nigdy nie widziałem czegoś takiego - powiedział Sallah. W jego oczach po raz pierwszy zabłysło podniecenie. - Jak starożytni to nazywali?

– Nie wiem - przyznał Indy. - Dla mnie to też zupełna nowość. Ale znaleźliśmy się głęboko pod ziemią i teraz zaczynamy drogę w górę. To

musiało mieć religijne odniesienia. Nazwijmy to Drogą ku Zbawieniu.

– Jak myślisz, co znajdziemy na końcu? - zapytał Sallah. - Pomyśl o znalezionym przez Cartera grobie Tutenhama, a przecież był to pomniejszy władca! Pomyśl, co my możemy tutaj znaleźć!

– Aż boję się o tym myśleć - odparł Indy. - Uważaj, te schody są strome, a kurz sprawia, że są jeszcze do tego śliskie.

Po trzydziestu stopniach wciąż nie było widać półpiętra. Sallah oparł się o ścianę i chustką otarł pot z twarzy.

– Przepraszam, przyjacielu - powiedział. - Ciało odmawia mi posłuszeństwa.

– Nic nie szkodzi - odparł Indy, zatrzymując się. - Mnie też przyda się odpoczynek. Daj znać, kiedy będziesz w stanie iść dalej.

Sallah położył palec na ustach.

– Słyszałeś? - zapytał. - Jakiś ruch, zupełnie jakby ktoś szedł za nami.

– Kiedy te grobowce zostaną otwarte wzdychają i jęczą jak żywe istoty - powiedział Indy. - To skutek zmiany ciśnienia i absorbowania wilgoci przez wapień.

– Ale było coś jeszcze - upierał się Sallah. - Chyba kroki.

– Masz bardziej wyostrzony słuch niż ja - stwierdził Indy.

– Odzywa się we mnie krew Beduina - odparł z uśmiechem Sallah. - Idź pierwszy. Ja zostanę tu jeszcze chwilę, żeby się upewnić, czy nikt nas nie śledzi.

– Wolałbym, żebyś...

– Indy?

Na dole schodów rozblęskło światło. Mystery bez wysiłku wchodziła pod górę. Trzymała latarkę na baterie, a na ramieniu nadal miała zwój liny.

– Jesteśmy tutaj - zawołał Indy. - Uważaj.

Gdy dołączyła do nich, Indy odezwał się:

– Kiedy następnym razem wskoczysz do grobowca, zabierz ze sobą pochodnię. Płomień zawsze ci wskaże, kiedy znajdziesz się w zbiorniku złego powietrza.

– Nie planuję następnego razu - odparła Mystery.

– Z twoją matką wszystko w porządku? - spytał Indy.

– Wysłała mnie, żebym sprawdziła, co się z wami dzieje - powiedziała dziewczyna. - Strasznie długo was nie było. Kiedy zobaczyłam te strzały i przepaści, zrozumiałam dlaczego.

– Nie powinnaś była sama stawiać im czoła - stwierdził Indy, starając się, aby jego głos zabrzmiał jak najpoważniej.

– Ale przecież tu jestem, prawda? - spytała zaczepnie Mystery.

– Dobrze, teraz musisz pójść razem z nami, bo nie puszcę cię samej z powrotem - odparł Indy.

– Idźcie już - powiedział Sallah. - Ja muszę trochę odpocząć, a wy musicie działać tak szybko jak to możliwe. Już niedługo nadejdzie świt. Jeżeli pojawią się jakieś kłopoty, będę krzyczał.

Indy poklepał starego druha po ramieniu, po czym zwrócił się do Mystery.

– Chodź za mną, ale bądź bardzo ostrożna. - I zaczął wspinać się po schodach.

Faye zobaczyła na piasku u swych stóp cień Jadoo rzucony przez księżyc w pełni, stojący już nisko na niebie. Opuściła rękawy sukni, odgarnęła ciemne włosy z twarzy, po czym obróciła się, by stanąć twarzą w twarz z zaskoczonym czarownikiem.

– Wiedziałam, że przyjdiesz - powiedziała. - Ale, prawdę mówiąc, spodziewałam się z twojej strony czegoś bardziej wyrafinowanego niż zwykłe śledzenie mnie.

– Ale to przynosi efekty - odparł Jadoo, odzyskując pewność siebie. - Szczególnie, gdy mam ze sobą uzbrojonych towarzyszy, którzy nie są nastawieni pokojowo.

Sokai i porucznik Musashi wpadli na placyk przed Sfinksem, a za nimi oficer Miyamoto i pół tuzina japońskich żołnierzy uzbrojonych w pistolety półautomatyczne. Miyamoto wydał rozkaz i żołnierze wymierzyli broń w Faye.

Jadoo zbliżył się do kobiety i wyrwał jej Laskę.

– Nie przypuszczałem, że będzie w tak dobrym stanie - wykrzyknął. - Wciąż ma taką wagę i cudowną fakturę drewna, jakby była częścią żywego drzewa. - Podniósł Laskę do nosa. - I pachnie świeżymi migdałami!

Faye skrzyżowała ramiona i patrzyła na Jadoo pogardliwie. Ze wschodu nadleciał lekki podmuch wiatru, rozrzucił po piasku śmieci i stare gazety, i łagodnie pieścił włosy Faye. Jadoo po raz pierwszy spostrzegł, że włosy kobiety są tak gęsto poprzetykane siwizną.

– Powiedz, próbowałaś użyć jej do czarów?

Faye milczała.

Jadoo trzymał teraz Laskę przed sobą, nie bardzo wiedząc, co z nią począć. Nagle skierował ją w niebo i rozkazał, by sprowadziła grad.

Faye wybuchnęła śmiechem.

– Nic nie szkodzi - odparł Jadoo. - Znajdę właściwe słowa.

– Widzę, że twoja banda wyrzutków odwaliła już za nas sporo roboty - stwierdził Sokai, podchodząc. - Żywię szczególną wdzięczność dla doktora Jonesa, że sam zechciał pokonać labirynt jako pierwszy i na własnej skórze przetestować wszystkie pułapki. Powiedz nam, czy jego gruby przyjaciel i twoja trzpiotowata córeczka są razem z nim?

Faye wzruszyła ramionami.

– Taka odważna kobieta - stwierdził Sokai, udając smutek - a jednak taka głupia.

– Zawsze słuchałam mojego serca, a nie rozumu - odpowiedziała Faye.

Sokai rozsunął poły płaszcza i wyciągnął miecz samuraja. Skierował go w stronę Faye, czubek umieścił pod jej podbródkiem, po czym pchnął go na tyle, by pojawiła się kropelka krwi.

– Jeżeli zaczniesz krzyczeć - powiedział - żołnierze zabiją cię bez wahania. A jeżeli będziesz sprawiać kłopoty tu, na powierzchni, gdy ja będę na dole, z zimną krwią wykończę twojego dzieciaka. Rozumiesz?

– Tak - powiedziała Faye.

– Dobrze - odparł Sokai, chowając miecz. - Oficerze Miyamoto, proszę nie spuszczać oka z tej amerykańskiej dziwki. Poruczniku Musashi, za mną.

Schody zaprowadziły ich do małego pomieszczenia pozbawionego jakichkolwiek ozdób. Mały, kwadratowy otwór w suficie przechodził w długi szyb.

– Podsadź mnie - powiedział Indy.

Mystery splotła ręce, by zrobić miejsce podparcia dla prawego buta Indy'ego, po czym podsadziła go do sufitu. Indy umieścił dłonie po obydwu stronach szybu, ale zranione ramię tak go przy tym zabolalo, że skrzywił się i aż krzyknął.

– Ja to zrobię - powiedziała Mystery.

– Nie, poradzę sobie - odparł Indy, zeskakując z powrotem na podłogę. - Daj mi tylko minutę.

– Nie mamy minuty - odparła Mystery, poprawiając na ramieniu zwój liny. - Ja to zrobię, a potem spuszczę ci linę. Takie akrobacje to moja specjalność, doktorze Jones.

– To zbyt niebezpieczne - odparł Indy.

– A myślisz, że to nie będzie niebezpieczne, jak spadniesz z sześciu metrów na tę kamienną podłogę? - zapytała, podskakując i chwytając się opuszkami palców za ledwie kilkumilimetrowego występu u ujścia szybu. Wisiała tak przez chwilę, potem podciągnęła się i, wsparta plecami o jedną, a stopami o przeciwną ściankę, znalazła się w szybie. Zrzuciła buty.

– Dobrze - powiedział Indy. - Ale bądź ostrożna. Idź wolno i nie dotykaj niczego podejrzanego. Jeśli poczujesz jakikolwiek ruch, natychmiast uciekaj z szybu.

– Nie wydaje ci się, że jednak wiem coś nie coś? - spytała Mystery.

– To fakt - odparł Indy. - Po prostu trochę się już przyzwyczailem do opieki nad tobą, nic więcej.

– Widzę nad sobą jakąś belkę - powiedziała Mystery, kiedy weszła trochę wyżej. Nie dała po sobie poznać, że zauważyła ojcowską troskę Indy'ego.

– Jest drewniana czy kamienna? - spytał Indy.

– Metalowa - odpowiedziała dziewczyna.

– Z jakiego metalu? - dopytywał się Indy. - Z miedzi?

– Nie - odparła Mystery. - Z żelaza.

– To niemożliwe - stwierdził Indy. - Budowle w Gizie powstały przed epoką żelaza.

– Oczywiście - odparła Mystery. Podczas gdy Indy zastanawiał się, czy dziewczyna może dotknąć drąga, Mystery chwyciła go i podciągnęła się po nim do następnej komnaty. - Wygląda jak żelazo, w dotyku przypomina żelazo jest mocne jak żelazo, ale to nie jest żelazo.

– Nie dotykaj go - zawołał Indy.

– Za późno - odpowiedziała Mystery, zrzucając w głąb szybu linę.

Indy wziął pochodnię w zęby, złapał linę, wdrapał się po niej i dołączył do Mystery. Znalazł się w dość obszernej komnacie o ścianach z

wypolerowanego wapienia. Nie było tam nic poza drągiem - który, jak Indy musiał przyznać, rzeczywiście był żelazny - oraz wejścia prowadzącego na północ.

– Dobra robota - stwierdził Indy.

– Dzięki.

– Kolejna komnata - powiedział Indy i skinął głową w stronę drzwi. - Komnata Prawdy. Jeżeli księga rzeczywiście istnieje, będzie właśnie tam. Jesteś gotowa?

– Jestem gotowa, od kiedy skończyłam dwanaście lat - stwierdziła Mystery.

Po obu stronach wejścia do komnaty były dwie potężne marmurowe kolumny, po lewej czarna, a po prawej - świetliście biała.

Indy podniósł pochodnię wysoko i wszedł do kolejnej komnaty. Za nim podążyła dziewczyna. Rozbrzmiał drżący akord, akord durowy.

Mystery zgasła swoją latarkę.

Nie była teraz potrzebna.

Pomieszczenie było oświetlone przez jakieś rozproszone niewidoczne źródło światła. Posadzka, ściany i sufit komnaty wykonano z wypolerowanego różowego granitu. Na środku znajdował się czarny granitowy słup, na którym były wyryte napisy w licznych starożytnych językach - sumeryjskim, egipskim, sanskrycie, koptyjskim, greckim, chińskim i kilku, których Indy nie znał. Jedyna inskrypcja, którą rozpoznała Mystery była po grecku.

Na słupie spoczywała książka lub coś, co przypominało książkę, chociaż nie było podobne do żadnej książki, jaką którekolwiek z nich dwojga kiedykolwiek widziało. Jej karty były wykonane ze lśniącego srebrzystego metalu. Szemrały i poruszały się delikatnie w rytm muzyki, którą Indy i Mystery wywołali przez samo wejście do pomieszczenia. Karty

przewracały się nad złotym grzbietem, ale też wnikały do wnętrza słupa tak, że księga wydawała się nie mieć końca.

– Księga Omega - powiedziała Mystery.

– Teraz już nie mam wątpliwości, że śnię - stwierdził Indy.

– A czy to też ci się śni? - spytała dziewczyna, szczypiąc go w rękę.

– Nie - odparł Indy, rozcierając bolące miejsce.

– To przestań gadać bzdury. Mój ojciec twierdził, że księga istnieje i jak się okazuje, miał rację. Ale to wygląda raczej jak maszyna czy coś w tym rodzaju, nie książka.

– Może Siła Dni Wszystkich? - zapytał Indy, rzucając pochodnię na kamienną posadzkę.

– Co takiego? - spytała Mystery.

– Boskie..., co każdego ranka dostarczało Izraelitom miłosierdzia i chleba - wyjaśnił Indy. - Niektórzy twierdzą, że biblijny opis tego czegoś jest opisem samochodu przez ludzi z epoki kamienia. Oczy to reflektory, usta - chłodnica, i tak dalej.

– A co ty o tym sądzisz? - spytała Mystery.

– To możliwe, ale nie mamy pewności.

– Ciekawe, skąd bierze się to światło - zastanawiała się Mystery.

– Może z wklęsłych luster albo wypolerowanych powierzchni, a może z kryształów umieszczonych w ścianach lub suficie - odparł Indy. - Widziałem w Anglii kurhany, w których osiągnano niemal takie same efekty, wykorzystując promienie słoneczne i to w środku zimy.

– Doktorze Jones - stwierdziła Mystery. - Chyba zapomina pan, że na zewnątrz jest noc.

– To nieco burzy moją teorię - odparł niezrażony Indy. - W każdym razie bądź ostrożna. Na drugim poziomie nie było dotychczas żadnych zasadzek, więc tutaj musi być coś śmiertelnie niebezpiecznego.

– Może sama księga - powiedziała Mystery.

Indy pokiwał głową, i podszedł do słupa. Pochylił się, by przyjrzeć się księdze i sam jego oddech przewracał błyszczące stronice. Z prawej strony uniosły się następne karty, zajmując miejsce tych, które zniknęły we wnętrzu słupa.

– Chyba stoimy ze złej strony - stwierdziła Mystery. - Książka jest do góry nogami.

– Nie - odparł Indy. - W większości starożytnych języków czyta się od prawej strony do lewej.

Delikatnie wziął jedną z kartek pomiędzy kciuk i palec wskazujący prawej ręki. Kartka była tak lekka i cienka, że nie czuł jej między palcami. Znaki pisarskie, wielkości mniej więcej czcionki gazetowej, były jakby wyżłobione w kartce. Na wierzchołku słupa była tęcza różnokolorowych stron z tego samego materiału.

– Potrafisz to przeczytać? - spytała Mystery.

– Nie - odparł Indy. - Nic nie rozumiem. Ciekawe, do czego służą tamte strony.

Mystery uniosła czerwoną kartkę, która była na wierzchu.

– Są zrobione z czegoś dziwnego - zawyrokowała. - Zginasz je, a one wracają do poprzedniego kształtu.

Przez chwilę eksperymentowała z dziwnym materiałem, po czym zgmiotła kartkę w dłoniach w zbitą kulkę. Kiedy ją puściła, stronica rozwinęła się i stała się znowu doskonale gładka.

– Miałam taką grę, kiedy byłam dzieckiem - powiedziała dziewczyna. - To była zaszyfrowana książka i trzeba było położyć na stronie kolorową kartkę żeby ją odczytać. Ciekawe, czy tutaj też tak jest.

Indy wziął czerwoną kartkę i wsunął ją za inną stronę księgi.

– Rzeczywiście - powiedział Indy. - Zobacz, widać chiński, sanskryt i jeszcze jakiś język, którego nie znam.

Wziął inną kolorową kartkę, tym razem niebieską, i umieścił ją za tą samą stroną. Pojawiły się trzy kolumny tekstu - jedna po egipsku, druga - po koptyjsku, ostatnia - po grecku.

– To zdumiewające - stwierdził Indy. - Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Świat czegoś takiego nie widział, przynajmniej ten świat, który znamy. Będziemy musieli zweryfikować dzieje ludzkości. To archeologiczne odkrycie stulecia.

– Co jest napisane na tej stronie? - spytała Mystery.

– To życiorys francuskiego farmera, Francois Malevila - odparł Indy. - Wszystkie trzy tłumaczenia są identyczne. Daty są również podane w różnych systemach mierzenia czasu. Zobaczmy, zajmie mi chwilę przeliczenie greckiego oznaczenia na współczesny system.

Indy przerwał na moment.

– Czternasty wiek - zawyrokował. - Naszej ery. Nie, to nie może być prawda. Mój Boże, a jednak. Spójrz, ten fragment mówi o rzymskim żołnierzu, który zginął pod Akcjum.

Indy poddał się instynktowi: przewracał po kilka stron na raz, przebiegając wzrokiem nazwiska i szukając zawzięcie hasła, Jones”.

– Nie jest ułożona w porządku alfabetycznym - stwierdził z żalem.

– Co robisz? - spytała Mystery.

– Oczywiście - powiedział Indy, patrząc na daty. - Jest ułożona chronologicznie.

– Czego szukasz?

– Siebie samego.

– Nie - zaproponowała dziewczyna. - Nie powinniśmy tego wiedzieć.

– Ta książka... - wyjąkał Indy.

– Nie rozumiesz? - zapytała Mystery. - To jest ostatnia pułapka. Możesz znaleźć w niej każde imię i nazwisko poza własnym. To najlepsza weryfikacja wszelkich dotychczasowych odkryć archeologicznych. Poszukaj hasła Jezus albo Joanna d’Arc, ale nie Indiana Jones.

Indy przestał wertować księgę.

– Mam rację - powiedziała dziewczyna. - Wiesz, że mam rację.

– Siedemnastolatki są takie pewne siebie.

– Ta na pewno tak - odparła Mystery. - Świat nie jest przygotowany na przyjęcie takiej księgi.

– W takim razie, co tu jeszcze robimy? - spytał Indy.

– Jestem tu z jednego powodu - odparła dziewczyna. - Chcę wiedzieć, co stało się z moim ojcem. A ty jesteś tu dlatego, że nie znam żadnego z tych języków, w jakich napisana jest księga.

Indy zamarł w bezruchu.

– Co się stało? - spytała Mystery.

– Nie pomyślałem o tym wcześniej - odparł Indy. - Chciałbym sprawdzić informacje o ludziach, którzy zniknęli z mojego życia, ale chyba nie powinienem tego robić.

Zaczął znowu przewracać karty, szukając lat trzydziestych dwudziestego wieku.

– Książka robi się coraz grubsza w miarę posuwania się w czasie - powiedział. - Jest po prostu więcej ludzi, których trzeba opisać. Dobrze, zbliżam się do celu. Jestem teraz w latach dwudziestych.

Mystery skinęła głową.

– Co my tu mamy. Maskelyne... Wierz lub nie, ale jest sporo ludzi o tym nazwisku. Kiedy urodził się twój ojciec?

– W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim.

– Jest. Kaspar Maskelyne. Urodzony 16 lipca 1893 roku w Leeds.

– To on.

Indy przesunął palec w dół tekstu, czytając po cichu.

– I co? - spytała Mystery.

– Ten tekst jest bardziej pogmatwany od relacji z meczu baseballowego w porannej gazecie - odparł Indy, biorąc zieloną kartkę i wkładając ją pod czytaną stronę. - Wiesz, nie jestem zbyt biegły w sanskrycie. Sprawdzę jeszcze w...

Drżące dźwięki muzyki rozległy się znowu.

– Doktorze Jones - powiedział Sokai, przydeptując obcasem drogiego, ale dobrze już wysłużonego, czarnego buta tłącą się jeszcze pochodnię Indy'ego, porzuconą przed wejściem do ostatniego pomieszczenia. - Nie powinien pan tak nieostrożnie postępować z ogniem.

Stojąca za nim porucznik Musashi roześmiała się złowieszczo.

Sokai obnażył miecz i wszedł do komnaty.

– Widzę, że odnalazłeś skarb, którego wszyscy szukamy. Czy jest tak niezwykły jak przypuszczaliśmy?

– Gdzie jest Sallah? - spytał Indy.

– Znaleźliśmy go w korytarzu - odparł Japończyk. - Jest teraz na zewnątrz, razem z kobietą. Pilnuje ich oficer Miyamoto i jego żołnierze. Odsuń się od księgi.

Indy wykonał polecenie.

– Masz pecha, że znowu się spotykamy. Moja zemsta nie ograniczy się tylko do pozbawienia cię oka. Pomyślałem o organie znacznie bliższym twojemu... z braku lepszego słowa, powiedzmy: sercu. Od tego zaczniemy. Teraz marzysz chyba, żeby umrzeć szybką śmiercią, prawda?

– Nie nakręcaj się zbytnio - odparł Indy.

– Co to za świr? - spytała Mystery.

– To Sokai - powiedział Indy. - To przez niego zaczęły się te wszystkie kłopoty.

– Cisza - powiedział Sokai, wręczając miecz Musashi. - Przebij ich, jak tylko się poruszają.

Sokai zbliżył się do książki. Jego jedyne widzące oko lśniło w łagodnym świetle. Pochylił się nad kartką książki, po czym zmarszczył brwi.

– Coś nie tak? - spytał Indy. - Czyżbyśmy nie znali sanskrytu?

– Chodź tu - rozkazał Sokai, nie zdając sobie sprawy, że inna kolorowa kartka pokazałaby mu ten sam tekst po mandaryńsku, w języku, który potrafił odczytać.

Indy podszedł wolno do Japończyka.

– Jak to działa? - spytał Sokai.

– Nie mam pojęcia - odparł Indy.

– Mam na myśli hasła - powiedział zniecierpliwiony Sokai. - Objawiają przeszłość, teraźniejszość i przyszłość? Znajdź zapis dotyczący mnie i przeczytaj na głos. Kiedy się dowiem, co ma nastąpić, będę mógł ukształtować wszystko według mojej woli.

– Dobrze - powiedział Indy, podchodząc do książki.

Powoli przewracał kartki.

– Pospiesz się - powiedział Sokai.

– Niełatwo to odczytać - bronił się Indy.

Musashi złapała Mystery za włosy tuż przy skórze i skręciła je. Mystery z trudem stłumiła jęk bólu.

– Robię, co w mojej mocy - powiedział Indy z błyskiem w oku. - Sokai, urodzony na Hawajach. Uczył się w...

– To wszystko już wiem - powiedział Sokai. - Przejdź do przyszłości.

– Tysiąc dziewięćset trzydziesty czwarty - przeczytał Indy. - Oślepiiony w Mandżurii przez Amerykanina, którego torturował. Ruszył w pościg za

tym Amerykaninem, Indianą Jonesem, z Mandżurii do Indii, a w końcu do Egiptu.

Indy przerwał czytanie.

– Czytaj dalej!

– Skoro nalegasz - odparł Indy. - Spłonął żywcem w podziemiach Wielkiej Piramidy w Komnacie Losów w Gizie.

– Nie!

– Tak jest napisane.

Sokai wymierzył Indy'emu cios na odlew.

– Kłamiesz - rzucił.

Indy otarł rękawem kurtki krew z rozciętej wargi i twardo spojrzał na Japończyka. To przekonało Sokaia, że Amerykanin mówi prawdę.

– Zmień to - powiedział.

– Nie mogę - zaprotestował Indy. - Nawet nie wiem w jaki sposób to zostało napisane.

– Weź ołówek - wrzasnął Sokai. - Masz przecież ołówek, prawda?

Indy wyciągnął ołówek z kieszeni koszuli i spróbował pisać na karcie książki.

– Nie zostawia żadnego śladu - stwierdził.

– Naciśnij mocniej - powiedział Sokai - bo inaczej Musashi zabije dziewczynę.

Musashi przerzuciła miecz do lewej ręki, wyjęła pistolet i przyłożyła go do głowy Mystery. Indy tak mocno nacisnął ołówek, żeby napisać cokolwiek, że ten złamał się.

Sokai chwycił kartkę i próbował wyrzeć ją z książki, ale ta tkwiła niewzruszenie na swoim miejscu. Zdołał jedynie rozciąć sobie rękę o krawędź strony.

– Spójrz - powiedziała Musashi.

Nogawka spodni Sokaia, na tej nodze którą wcześniej zdeptał pochodnię Indy'ego, zaczęła dymić powyżej kostki.

– Boże, więc to prawda - powiedział Indy.

– Nie - powiedział Sokai, widząc że mankiet spodni stanął w ogniu. Próbował rozpaczliwie ugasić płomień, a kiedy nie przyniosło to rezultatu, odpiął pasek i chciał zdjąć spodnie. Ale wtedy płomienie objęły już jego koszulę i płaszcz.

Sokai wrzasnął. Pomieszczenie wypełniał teraz swąd palonego ciała i włosów. Sokai upadł na posadzkę i zaczął się tarzać.

– Zedrzyj ze mnie ubranie - zwrócił się błagalnie do Musashi.

Japonka upuściła pistolet. Próbowała mieczem oderwać płonącą odzież od ciała mężczyzny, ale jedynie pokaleczyła go. Zdawało się, że to płonie ciało Sokaia; ogień rósł bez względu na to, ile sztuk odzieży udało się zerwać.

– Mój miecz - zacharczał Sokai i płonąca dłonią chwycił klingę. - Przynajmniej zabiorę ze sobą Jonesa.

Z trudem podźwignął się na kolana i próbował pchnąć Indy'ego, ale miecz był o wiele za krótki. Z jego twarzy i rąk zaczęły odpadać płonące kawałki ciała. Sokai upadł na plecy, miecz jednak trzymał uniesiony, dopóki płomienie nie przepaliły jego nadgarstka. Wówczas samurajski miecz upadł z brzękiem na granitową posadzkę.

– O, Boże - jęknęła Mystery. Podbiegła do Indy'ego i ukryła twarz w jego skórzanej kurtce.

Sokai był już tylko kupką tłących się popiołów.

– Chcesz, żebym odczytał twój zapis? - zagroził Indy, zwracając się do Musashi.

Kobieta zawahała się. Uklękła przy kupce popiołów. Zdjęła szalik i przy jego pomocy podniosła samurajski miecz.

– Nie zabierzesz jego prochów? - zapytał Indy. - Czyżbyś nie dbała o to, czy dołączy do swoich przodków?

– Do diabła z Sokaiem - potrząsnęła mieczem w ich stronę. - To jest siła! - to mówiąc, wybiegła z komnaty.

Gdy wybiegała, znów rozległy się drżące dźwięki - jednak tym razem był to jakiś złowróżbny, molowy akord. Światło zmieniło się z białego w czerwone.

– Nie podoba mi się ta muzyka - stwierdził Indy.

– Moja mama - zawołała Mystery z nagłym niepokojem.

– Chodźmy stąd - powiedział Indy.

– Ale tata...

– Chodź - odparł Indy i pociągnął dziewczynę za sobą. Obydwoje opuścili Komnatę Prawdy.

11.

Cuda i ich ofiary

Burzowe chmury zebrały się na niebie, gdy Indy i Mystery wysunęli się z tunelu między łapami Sfinksa. Faye i Sallah klęczeli na ziemi, a dwóch japońskich żołnierzy celowało w ich plecy z karabinów. Jadoo stał przed Faye i wygrażał jej pięścią.

– To nie jest Laska Aarona - mówił. - Wcale nie działa.

– Działa - odpowiedziała spokojnie Faye.

– Przykro mi, Indy - odezwał się Sallah. - Próbowałem was ostrzec...

– W porządku - powiedział Indy, gdy jeden z japońskich żołnierzy odbierał mu bat i rewolwer.

– Zastrzelcie ich! - rozkazała Musashi.

– Nie - sprzeciwił się Jadoo. - Mogą nam być jeszcze potrzebni.

– Ośmielasz się wydawać nam rozkazy? - zapytała zaczepnie Musashi.

– Sokai nie żyje - odparł Jadoo. - W tej sytuacji ja przejmuję dowodzenie.

– Sokai Sensei nie żyje? - spytał Miyamoto.

– Tak - odparł Indy. - Spłonął żywcem. Porucznik Musashi ma jego miecz.

Miyamoto spojrział na Musashi. Kobieta pokazała mu miecz, on zaś klasnął w dłonie i wykonał dworski ukłon.

– *Hai* - powiedział. - Musashi Sensei przejmuję dowodzenie.

– To wina tego Amerykanina - powiedziała szybko Musashi.

– To nieprawda - zaoponowała błagalnie Mystery.

– Prawda! Oszukał Sokaia Sensei, przekręcając słowa księgi! - zawołała Musashi.

– Znaleźliście Księgą Omega? - spytała Faye.

– Tak, znaleźli - odparła Musashi. - Ale użyli jej, by zabić Sokaia Sensei. Muszą umrzeć.

Żołnierze wymierzili broń w Indy'ego.

– Nie - powiedział Miyamoto, rozpinając mundur. - Nie strzelajcie do niego. Chcę mieć tę przyjemność i zabić go gołymi rękami.

– Nie zabijajcie dziewczyny, dopóki jej matka nie pokaże mi, jak używać laski - powiedział Jadoo.

– Skoro i tak zamierzasz ją zabić - zapytała Faye - dlaczego miałabym cokolwiek ci pokazywać?

– Żeby kupić dla niej jeszcze kilka minut życia - odparł Jadoo. - I wykorzystać szansę, że może krwiożercza pani porucznik jednak zmieni zdanie. Ty pomożesz mnie, a ja postaram się przekonać ją, żeby was obie puściła wolno.

– Nie zależy mi na kobietach - stwierdził Miyamoto, rzucając koszulę na ziemię. Nawet w mdłym świetle księżyca Indy widział napięte mięśnie jego ramion i klatki piersiowej. - Ale on jest mój.

Faye skinęła głową.

Jadoo wręczył jej Laskę. Kobieta z trudem podniosła się na nogi.

– Faye, nie wierz mu - powiedział Indy.

Miyamoto wymierzył cios z lewej, który Indy zdołał zablokować, ale nie był na tyle szybki, by uniknąć potężnego ciosu z prawej, który ugodził go w brzuch. Indy stracił oddech i padł na kolana.

– Wstawaj i walcz, ty tchórze.

Indy uniósł palec.

Miyamoto kopnął go w pierś.

Indy poleciał do tyłu i wylądował na stelach.

Miyamoto ruszył do przodu. Indy z trudem podniósł się i z całej siły wymierzył przeciwnikowi cios w splot słoneczny. Miyamoto jednak uśmiechnął się tylko i prawą pięścią rąbnął Indy'ego w szczękę.

Indy znów upadł. Usta miał pełne krwi. Złamany ząb przyprawiał go o mdłości. Jeszcze raz podniósł się i wypluł na ziemię kawałek zakrwawionego trzonowca.

Popatrzył na ząb i pomyślał bezwiednie o starotestamentowej zasadzie: „oko za oko, ząb za ząb”, to zaś przywiodło mu na myśl Księgę Wyjścia i bitwy, które staczali Izraelici...

– Faye - wymamrotał Indy. - Laska...

Miyamoto ponownie uderzył go w brzuch, a gdy Indy zgiął się, Japończyk wymierzył mu potężny cios w tył głowy. Indy szarpnął się i upadł na kolano. Uderzył Japończyka pięścią w krocze. Sierżant jęknął i zataczając się, odstąpił od swej ofiary.

Indy próbował przypomnieć sobie początek Księgi Wyjścia, ale kiedy odświeżał swoją pamięć, Miyamoto znowu gotował się do walki. Wkrótce okładał Indy'ego po twarzy.

– Indy! - krzyknęła Faye. - Co mam zrobić?

Nagle wszystko sobie przypomniał.

– Podnieś ją - wymamrotał.

– Co takiego?

Indy zainkasował kolejne dwa ciosy w tułów.

– Podnieś Laskę do góry - błagał Indy. - Dopóki Mojżesz trzymał Laskę w górze, Izraelici byli niepokonani w walce.

Faye ostrożnie podniosła Laskę.

Indy prawą ręką odparował kolejny cios Japończyka, a lewą złapał go za nadgarstek i wykręcił tak mocno, że Miyamoto padł na kolana, krzycząc z

bólu. Wyrwał obolałą rękę, drugą zaś zadał kolejne dwa ciosy, ale Indy je zablokował.

– Dołoż mu! - krzyknęła Mystery.

Indy ruszył do przodu i dwukrotnie uderzył Japończyka w szczękę. Potem zadał mu potężny cios w odcinek pomiędzy nosem a górną wargą. Miyamoto upadł na ziemię i wypluł przednie zęby.

– Tak trzymać! - zawołał Sallah.

– Masz dość? - spytał Indy.

Miyamoto podniósł otwartą dłoń.

Musashi zrobiła kilka kroków do przodu.

– Ty idioto - zwróciła się do Jadoo. - Zabierz tej kobiecie Laskę.

Jadoo złapał Laskę. On i Faye zaczęli ją sobie wydzierać.

– Wstawaj i skończ z nim - wrzasnęła Musashi do Miyamoto.

Oficer pokręcił głową.

– Jesteś żaloszny - stwierdziła Japonka. Jednym ruchem wyciągnęła z pochwy miecz Sokaia i odrąbała głowę Miyamoto.

Mystery krzyknęła.

Musashi z twarzą poznaczoną kroplami krwi towarzysza, odwróciła się i podeszła do Indy'ego.

Zrobiła to tak szybko, że Indy ledwo zdążył zareagować, kiedy spostrzegł, że ostrze zbliża się do jego splotu słonecznego. Zdołał tylko znacznie zmniejszyć siłę uderzenia, przykładając do płaskiej powierzchni ostrza rękaw skórzanej kurtki. Miecz jednak przeciął jego kurtkę.

Był zdumiony.

– Nic nie czuję - powiedział.

– Za chwilę poczujesz - odparła Musashi i przekręciła ostrze.

Ból przeszył bok Indy'ego, a kurtkę splamiła krew.

Faye końcem laski uderzyła Jadoo w usta, gdy ten gapił się na miecz przeszywający bok Amerykanina. Ponownie uniosła laskę do góry. Kiedy Jadoo chciał ją znów złapać, Faye kopnęła go w krocze.

Indy odskoczył od zakrwawionego miecza, który upadł na piasek tak, jakby nagle Musashi zabrakło sił, by go utrzymać. Indy zrobił krok do przodu i postawił prawą stopę na mieczu.

Ostrze pękło na dwoje.

Musashi rzuciła rękojeść i wyciągnęła pistolet. Indy cofnął się. Był pewien, że za chwilę dostanie kulkę między oczy. Ale gdy broń wypaliła, usłyszał, że kula odbiła się rykoszetem od kamiennej tablicy za jego plecami.

– Jak mogłam spudłować? - zapytała Musashi.

Po jej nosie spłynęła kropla krwi.

Kula odbiła się rykoszetem od steli i trafiła ją między oczy. Podniosła dłoń do twarzy i spojrzała na zakrwawione palce. Nagle oczy wywróciły się jej białkami do góry i padła u stóp swej niedoszłej ofiary.

– Nie - powiedział Indy.

Mystery uklękła i sprawdziła puls Japonki.

– Czy ona...

– Tak, martwa jak kłoda - powiedziała Mystery, odwracając się do Indy'ego. - Ma to, na co zasłużyła. Wiesz ile razy ta kobieta próbowała nas zabić?

– I nadal próbuje - odparł Indy.

Dziewczyna rozsunęła jego kurtkę i przyjrzała się uważnie ranie.

– Zraniła mnie - powiedział Indy.

– Bardzo krwawi - stwierdziła Mystery.

– Nienawidzę mieczy - poskarżył się Indy.

– Ostrze przebiło mięśnie - powiedziała dziewczyna. Oderwała rękaw swojej bluzki i wsunęła materiał pod kurtkę. - Dobrze, że masz w tym miejscu sporo tłuszczu. Dzięki temu miecz nie uszkodził żadnego ważnego organu. Tak sędzę.

– Wielkie dzięki - odparł Indy.

– Idioci - zawołał Jadoo do żołnierzy. - Zabierzcie jej ten kij!

Żołnierze popatrzyli ze zdziwieniem na czarownika i zapytali:

– Żeby skończyć jak Miyamoto?

– Faye - zaczął błagalnie Jadoo. - Oddaj mi Laskę Aarona i pokaż mi, jak się z nią obchodzić. Pozwolę wam wszystkim odejść.

– Nie wierz mu - wtrącił się Indy.

– Dlaczego nie? - spytała Faye. - Żołnierze wciąż trzymają nas na muszce.

– To on zabił Kaspara - wyrzucił z siebie Indy.

– Co takiego? - spytała Mystery.

Burzowe chmury przysłoniły księżyc.

– Przykro mi - mówił dalej Indy. - Nie chciałem ci o tym mówić, ale przeczytałem to w księdze. Jadoo otruł twojego męża, kiedy ten odwiedził go w 1930 roku. Potem odciął mu głowę, a z czaszki zrobił puchar do picia. Przykro mi, Faye, ale to właśnie czaszkę Kaspara widzieliśmy w mieszkaniu Jadoo w Kalkucie.

– Podejrzywałam to - powiedziała ze smutkiem Faye.

Wiatr rozsypał jej włosy na twarz. Kiedy po policzku kobiety spłynęła łza, zaczęło kropić.

Żaba upadła pod stopy Jadoo, po czym skoczyła dalej.

– Widzieliście to? - spytała Mystery.

Nagle lunął rzęsisty deszcz. Spadła kolejna żaba, tym razem na rondo kapelusza Indy 'ego, a potem na ziemię runęła chmara płazów, które

spadały w piach i uciekały na wszystkie strony.

– Co to znaczy? - zapytał Jadoo.

– Nie wiesz? - zdziwił się zadowolony Indy. - To plaga.

Żołnierze opuścili karabiny.

Jadoo krzyknął na nich i stanęli znów na baczność.

– To nie jest nic niezwykłego - wyjąkał Jadoo. - Zdarzały się już takie deszcze z żabami, wie o tym każdy, kto czytał „Księgę potępionych” Charlesa Forta. To nie plaga, tylko wybryk natury.

– Czyżby? - spytała Faye.

Trzymając Laskę w prawej dłoni, rozłożyła ręce i zwróciła twarz ku niebu.

– Grad - rozkazała.

Piorun uderzył w głowę Sfinksa. Na zebranych u jego stóp posypał się deszcz iskier. W uszach im dzwoniło. Błyskawicy towarzyszył grad płonących kulek wielkości piłek baseballowych, który przykrył piasek.

Żołnierze rzucili karabiny i osłaniali rękami głowy. Jadoo wrzeszczał na nich, ale odmówili podniesienia broni.

Indy przyciągnął do siebie Mystery, Jadoo skulił się, a Sallah rozglądał się dookoła ze zdumieniem.

– Faye - krzyknął Indy, gdy płonąca kula uderzyła go w plecy. - To nie był najlepszy pomysł.

Faye skinęła głową. Znowu zwróciła się twarzą ku niebu i zawołała:

– Krew!

Krople deszczu pociemniały.

– O, Boże - powiedziała Mystery, przykładając palce do ust. - Prawdziwa krew.

Żołnierze zostawili broń i rzucili się do ucieczki, nie oglądając się na Jadoo.

– Faye, skończ z tym - poprosił Indy.

Faye spojrzała nieustępliwie na Jadoo.

– Klątwa - powiedziała.

– Nie - błagał czarownik. Rzucił się na kolana i złożył ręce. - Błagam o litość.

– A okazałeś litość mojemu mężowi?

– Nie zabiłem go - skłamał Jadoo. - Nie rozumiesz okoliczności, w jakich to się stało. To nie była moja wina.

– Śmierć - zawyrokowała Faye - dla co siódmego...

– Nie! - krzyknął Indy. - To dotyczy też Sallaha!

– ...dla co siódmego.

– No, już dobra - powiedział Indy i wzruszył ramionami.

W oczach Jadoo rozbłysło szaleństwo. Wstał i zaczął się cofać, a potem puścił się biegiem. Nagle upadł, ciężko dysząc i trzymając się za pierś. Zmarł na rozległy zawal. Oczy miał otwarte, a jego stopy kopały piasek.

Faye popatrzyła na ścielące się wokół niej trupy.

Uniosła laskę niczym oszczep i cisnęła ją. Laska poszybowała wielkim łukiem i zaryła w piach dwieście metrów od nich tuż nad brzegiem Nilu.

– Skończone - powiedział Sallah.

– Prawie - poprawił go Indy.

– Padlinożercy rozprawią się ze ścierwami tych łotrów, zanim jeszcze słońce zacznie porządnie prażyć - stwierdził Sallah. - Nie zasłużyli na nic lepszego.

– Nie - sprzeciwił się Indy, trzymając się za bok. - Musimy ich pochować. Ale jest jeszcze jedna rzecz do zrobienia: musimy zapieczętować wejście do podziemi. Chodź, pomóż mi włożyć kamień na miejsce. Potem zakryjemy płytę piaskiem i nikt nie odkryje wejścia przez kolejne dziesiątki lat.

– Ale co z księgą? - spytał zdziwiony Sallah. - Przecież ją znalazłeś, prawda?

– Tak, znaleźliśmy ją - odparł Indy.

– Świat nie jest przygotowany do jej przyjęcia - dodała Mystery.

– Racja - przyznał Indy. - Mystery ma zawsze rację. I rację mają też przepowiednie w Komnacie Prawdy, że świat dowie się o istnieniu księgi dopiero wiele lat po jej odkryciu.

– Ależ, Indy - powiedział Sallah. - Skoro nie teraz, to kiedy?

– Kiedy nadejdzie czas, przyjacielu - odparł Indy. - Kiedy nadejdzie czas.

12.

Kryształowa czaszka

Taksówka zatrzymała się przed kamienicą i zatrąbiła. Indy, ubrany w nowy garnitur, ale w starym ulubionym kapeluszu na głowie, wyszedł z budynku. Za nim pojawił się Sallah i gromadka jego dzieci. Indy i Sallah uścisnęli sobie dłonie, następnie Sallah przycisnął przyjaciela do piersi i trzymał go w niedźwiedzim uścisku.

– Muszę poprosić cię o przysługę - powiedział Indy, kiedy znowu mógł złapać oddech.

– Wszystko, co zechcesz.

– Kiedy spotkamy się następnym razem, nie rozmawiajmy o tym, co zdarzyło się w podziemiach w Gizie, nie wspominaj też o tym Marcusowi Brody. Nie kuśmy samych siebie, by to ujawniać, zanim świat nie będzie gotów albo dopóki nie przewróci się do góry nogami. Nie umiem tego wytłumaczyć, po prostu zaufaj mi.

– Jak sobie życzysz, przyjacielu - odparł Sallah.

– Gdzie Faye i Mystery? - zapytał Indy. - Myślałem, że będą tutaj.

– Wyjechały wczesnym rankiem - odparł Sallah. - Są teraz w drodze do Stanów. Ale zostawiły coś dla ciebie.

Sallah podał przyjacielowi list.

– Dzięki - powiedział Indy.

– Do widzenia, przyjacielu - odezwał się Sallah. - To była wspaniała przygoda. Ale następnym razem wybierzmy coś bezpieczniejszego.

Indy uśmiechnął się szeroko, ale nic nie powiedział.

Wsiadł do taksówki. Gdy odjeżdżała, dotknął palcami runda kapelusza.

– Dokąd jedziemy?

– Na lotnisko - odpowiedział Indy.

Gdy taksówka ruszyła, Indy otworzył list i zaczął czytać.

Drogi Indy,

Przepraszam, że ani mama, ani ja nie przyszliśmy Cię pożegnać, ale jesteśmy przesądne, jeśli chodzi o rozstania. Dziękujemy Ci za wszelką pomoc, jakiej udzieliłeś nam przy ustalaniu prawdy o tym, co stało się z moim ojcem. Byłam zrozpaczona, gdy okazało się, że nie żyje, ale cieszę się, że znam prawdę.

Mama mówi, że chociaż magia istnieje, działa zgodnie z własnymi zasadami i w żaden sposób nie daje się kontrolować. Nie może, na przykład, przywrócić do życia tych, których kochamy. Ja jednak uważam, że prawdziwa magia pochodzi od Boga, który ustalił zasadę, że mamy pracą osiągać to, czego pragniemy. Dzięki temu nie będziemy zepsuci.

Wracamy do domu do Oklahomy. Mama chce, żebym skończyła tam liceum. O Boże! Jak mogę teraz wrócić do szkoły, skoro stałam na Sfinksie, przeżyłam dwie katastrofy statków, o mały włos nie zrobiono ze mnie mumii i widziałam prawdziwe cuda? Najgorsze, że nikt nie uwierzy w istnienie Księgi Omega, ani w deszcz żab czy krwi, ani we wszystko inne. No, dobrze. W końcu my wiemy, jak było naprawdę, no nie?

Trzymaj się. Nie znam jeszcze naszego adresu, ale jeśli napiszę do Ciebie na adres Uniwersytetu Princeton, to odpiszesz, prawda?

*Twoja oddana przyjaciółka
Mystery*

PS Podkochiwałam się w Tobie, ale już mi przeszło.

Indy przyjechał do Princeton tydzień później.

Było duszne, niedzielne popołudnie, uniwersytet był opustoszały. Na trzecim piętrze w Sali im. McCormicka na Wydziale Sztuk i Archeologii stał przez chwilę przed drzwiami swojego gabinetu, zdumiony własnym odbiciem w szybie. Przez większą część niezaplanowanej wyprawy w poszukiwaniu Księgi Omega pozbawiony był możliwości wpatrywania się we własne odbicie, gdyż miejsca, w których przebywał przez ostatnich kilka tygodni były pozbawione takich sprzętów jak lustro. Teraz, kiedy wreszcie mógł dokładnie się sobie przyjrzeć, odniósł wrażenie, że widzi obcego człowieka znacznie chudszy niż pamiętał, zarośniętego, z za

długimi, nieporządnymi włosami, i ze zmarszczkami, które nie były tylko skutkiem niekorzystnego działania słońca i wiatru.

Potrząsnął głową i położył rękę na gałce. Drzwi, oczywiście, były zamknięte. Z roztargnieniem poklepał się po kieszeniach, starając się przypomnieć sobie, gdzie są zapasowe klucze. W domu? A może u Marcusa Brody? Już miał wybić szybę łokciem - trochę z frustracji, a trochę ze złości, że wygląda tak, jak przed chwilą widział - kiedy w drugim końcu holu dostrzegł woźnego.

– Przepraszam - odezwał się Indy - ale jestem tutaj profe...

– Doktorze Jones - odparł woźny. - Wiem, kim pan jest.

– Nazywa się pan...

– Artur.

– Właśnie - powiedział Indy, uśmiechając się. - Problem w tym, że nie mam kluczy i nie mogę dostać się do środka. Czy nie zechciałby mi pan otworzyć?

– Doktorze Jones - powiedział Artur. - Nigdy nie zostawia pan kluczy w domu. Zdumiewa mnie pan.

– Taak - odparł Indy, znowu się uśmiechając. - Nie jestem dziś sobą.

– Wygląda pan na zmęczonego - przyznał Artur.

Woźny otworzył drzwi jednym z kluczy, który miał na kółku przy pasku i Indy wszedł do środka.

– Dzięki - powiedział, zamykając za sobą drzwi.

Na jego biurku usianym jak zwykle papierzyskami, które należało uporządkować, piętrzyła się sterta korespondencji. A na wierzchu leżał list ze stemplem z Claremore, Oklahoma. Indy wsunął list do kieszeni marynarki.

Pod listem od Mystery leżał inny, oficjalne pismo z Barnett College, w którym była oferta pracy. Przez chwilę wahał się, czy go otworzyć, ale po

chwili odłożył go na kupkę. Odwrócił się w stronę półek, gdzie za książkami znalazł dwunastolitrowy słoje z denaturatem.

Wziął słoje, postawił na biurku i zdjął pokrywkę. Ściągnął marynarkę i podwinął rękawy koszuli. Wydawało się, że w słoju nie ma niczego poza alkoholem.

Indy sięgnął do słoja, obmacywał przez chwilę jego wnętrze, po czym wsunął dwa palce w oczodoły kryształowej czaszki i wyciągnął ją. Szczęka opadła, co sprawiało wrażenie, jak gdyby czaszka krzyczała. W okrągłych oczodołach tańczyło rozszczerzone, różnokolorowe światło. Czaszka wyglądała równie przerażająco jak tego dnia przed wielu laty, kiedy znalazł ją w Świątyni Węża, w podziemiach zaginionego miasta Cozan, w brytyjskim Hondurasie.

Czaszka stanowiła najwyższą nagrodę w śmiertelnej grze w kotka i myszkę, która toczyła się od lat i w której Indy na przemian to wygrywał, to ponosił porażkę. Czaszka przemierzyła już całą Europę, zatonała i spoczęła na dnie morza, po czym odnaleziono ją w strefie podbiegunowej.

Podobnie jak na większości skarbów, również na czaszce ciążyła klątwa: ten, kto zabierze ją z ołtarza w Świątyni Węża, zabije to, co najmocniej pokocha. I chociaż Indy nie wierzył w klątwy, patrzył, jak umiera Alecia Dunstin, za której śmierć czuł się odpowiedzialny. Ich związek był przeklęty od pierwszej chwili, kiedy poznali się w British Museum. Indy był przekonany, że gdyby się nie spotkali, jasnowidząca Angielka żyłaby nadal. Czasami, kiedy przed zaśnięciem Indy zamykał oczy, pojawiała się jej twarz.

Spojrzał na wiszący na ścianie kalendarz; rząd dużych, czerwonych liczb oznaczał niedziele. Każdy dzień powinien być oznaczony na czerwono, pomyślał Indy, żeby przypominać nam, że każdy jest bezcenny i żeby ostrzegać przed zmarnowaniem nawet jednego.

Wziął czaszkę w dłonie, podniósł ją do poziomu oczu i obrócił pustymi oczodołami w swoją stronę.

– Straciłem przez ciebie zbyt wiele - powiedział Indy.

Po zębach przebiegł niebieskawy, drżący cień, a dłonie Indy'ego przeszył nagły chłód. Optymistycznie uznał oba zjawiska za efekt szybkiego parowania alkoholu. Zazwyczaj nie dotykał czaszki gołymi rękami, ale tym razem z jakiegoś powodu chciał poczuć na skórze zimny dotyk kwarcu. Może, tłumaczył sobie, chciał po prostu przekazać jej, że wreszcie jest gotów stawić jej czoła - i niech się dzieje co chce.

Zamierzał zwrócić czaszkę świątyni w zaginionym mieście, gdzie została znaleziona. I chociaż miał taki zamiar od chwili, gdy znalazł ją w strefie podbiegunowej, coś zawsze stawało temu na przeszkodzie. W końcu ukrył czaszkę w swoim biurze, w słoju z alkoholem. Alkohol miał niemal taką samą gęstość jak kwarcowy kryształ i dzięki temu czaszka była niewidzialna. Chociaż wielokrotnie włamywano się do jego biura, czaszka nie została znaleziona.

Postawił czaszkę na biurku.

Zadzwoił telefon.

Indy przez moment patrzył tępo na aparat, zastanawiając się, czy odebrać. W końcu, pod wpływem uczucia, którego nie był w stanie wyjaśnić, podniósł słuchawkę.

– Indy? - odezwał się znajomy głos. - To ty?

– Marcus?

– Oczywiście. Dobrze, że cię złapałem.

– Jeszcze tam nie byłem - powiedział Indy i usiadł.

– Dopiero co wróciłeś i musiałeś sprawdzić, co w pracy, tak?

– Po prostu próbuję połączyć ze sobą różne niepowiązane wątki.

– Wiesz co, jak tylko wyjechałeś, zdarzyło się coś bardzo dziwnego. Jakiś gość, podający się za ciebie, zdepeszował z Indii, prosząc o tysiąc dolarów. Wiedziałem, że jesteś w Chinach, ale przesłałem pieniądze, bo była pewna możliwość, że to rzeczywiście ty jesteś w potrzebie. W każdym razie, o ile mi wiadomo, facet uciekł z pieniędzmi.

– To byłem ja - powiedział Indy.

– Serio? - zdziwił się Brody. - Co robiłeś w Kalkucie?

– To, co zwykle - odparł Indy. - Byłem w drodze w inne miejsce. Skończyło się na wykopaliskach w Gizie...

– Nie, nic nie mów - przerwał Brody. - Jestem pewien, że twoje poczynania miały charakter ściśle profesjonalny i pozostawały w zgodzie z prawem międzynarodowym oraz wytycznymi Service des Antiquites.

– Można uznać, że miałem pozwolenie od największego autorytetu.

– Świetnie. A propos, dzisiaj przyszła do muzeum jakaś paczka z Kairu. Jest zaadresowana do ciebie, a nadał ją, o ile dobrze odcyfrowałem te bazgroły, twój stary przyjaciel Sallah. Czy to jakieś trofea z twojej podróży? Mogę ją otworzyć?

Zanim Indy zdążył odpowiedzieć, usłyszał w słuchawce odgłos rozdieranego papieru.

– To pudełko migdałów - powiedział Brody, nie kryjąc rozczarowania. - Jest jeszcze liścik. „Nie łamiąc obietnicy, pomyślałem sobie, że powinienes wiedzieć, iż w miejscu, gdzie leży laska, kwitnie teraz drzewko migdałowe. Do zobaczenia, przyjacielu”.

Indy roześmiał się.

– Musi się za tym kryć jakaś historia - stwierdził Brody.

– I kryje się - odparł Indy.

– Kiedyś na pewno mi o tym opowiesz. Aha, jeszcze jedno. Zadzwoń mi właściwie po to, żeby spytać, czy słyszałeś kiedykolwiek o

jakichś prochach Nurhachi?

– Tak - odparł Indy. - Ale zanim pojedę do Szanghaju, żeby ich szukać, muszę trochę odpocząć. Poza tym, dostałem ofertę pracy, którą zamierzam rozważyć. Może wkrótce zmienię college.

– Świetnie - powiedział Brody. - Ach, być znowu młodym. Odpocznij i zadzwoń do mnie, kiedy już coś zdecydujesz.

– Jasne. Marcus?

– Co takiego?

Przez moment Indy czuł w gardle taką suchość, że nie mógł mówić.

– Miło znowu usłyszeć twój głos, Marcus - wykrztusił w końcu.

– Dobrze się czujesz? - spytał Brody. - Nic ci nie dolega?

– Nie - odparł Indy. - Wszystko w porządku. A przynajmniej wkrótce będzie.

13.

Świat do góry nogami

Indy wbił pochodnię w błoto przed pustym ołtarzem, po czym wyjął z kieszeni parę skórzanych rękawic. Twarz miał ubłoconą i ściekał po niej pot, posiniaczone ręce bolały, gdy wsuwał na nie rękawiczki. Zejście do jaskini pod Świątynią Węża było równie niebezpieczne jak poprzednio, z jedną istotną różnicą: tym razem nie spotkał na swej drodze ogromnego węża. Na brzegach podziemnego stawu leżały roztrzaskane kości dziewięciometrowej anakondy, którą Indy zabił kilka lat temu.

Z torby przerzuconej przez ramię Indy wyciągnął wypchaną aksamitną sakwę, a z niej kryształową czaszkę. Światło pochodni odbite w czaszce rozszczepiło się i wzmocniło i zaczęło igrać na ścianach i podłodze. Przez moment Indy był jakby zahipnotyzowany grą światła i przemknęło mu przez myśl, że może jednak zatrzyma czaszkę.

– Nie - powiedział głośno. - Nie wiem, kim byłeś, czy kim jesteś, ale tu właśnie jest twoje miejsce.

Ołtarz stanowiła nisza wykuta w ścianie jaskini. Indy mocno zaparł się nogami w ziemię, upewnił się, że utrzyma równowagę i ostrożnie umieścił czaszkę na szczycie ołtarza. Zrobił krok do tyłu, spodziewając się, że z podstawy ołtarza lub z góry może pojawić się jakaś niemiła niespodzianka.

– Dobrze - powiedział Indy.

Uśmiechnął się, zdjął rękawiczki, po czym dotknął ręką runda kapelusza w pożegnalnym geście. Nagle, kiedy podnosił pochodnię i odwracał się, by ruszyć w drogę powrotną, usłyszał to: plusk wody, odgłos przesuwanego się po błotnistym brzegu gładkiego ciała i okropny syk ogromnego węża. W drugim końcu snopa światła rzucanego przez pochodnię Indy zobaczył

zbliżające się do niego bursztynowe szparkowate oczy wielkości małych melonów.

Wąż, którego zabił w tej jaskini kilka lat wcześniej był największym gadem, jakiego w życiu widział. Kiedy wrócił do Princeton, zapytał pewnego herpetologa, czy słyszał o dziewięciometrowych anakondach. Tak, odparł specjalista, byli tacy, którzy twierdzili, że w głębi lasów deszczowych widywali nawet jeszcze większe sztuki.

Przy tym wężu poprzedni wydawał się malutki.

– Tylko nie to - jęknął Indy.

Wąż sunął w jego kierunku.

Indy wyciągnął rewolwer.

Nie było dokąd uciekać. Wąż był tak długi, że jego cielsko całkowicie odcinało drogę powrotną obok podziemnego stawu, a rzucenie się do wody oznaczało tylko jedno - stanie się jeszcze łatwiejszym łupem dla gada.

Indy cofnął się niepewnie i trzykrotnie wypalił w oko węża. Jeśli nawet odniosło to jakiś skutek, gad nie dał tego po sobie poznać. Otworzył paszczę, ukazując kły tak potężne jak szable, i wysunął gąbczasty różowy język w stronę Indy'ego. Jak wszystkie węże, miał słaby wzrok, za to wyczulone zmysły węchu i smaku.

Indy wcisnął się w niszę obok ołtarza i oddał kolejne dwa strzały. Wąż zaatakował, ale jego otwarta paszcza była większa niż nisza i kły gada otarły się o skałę.

Kuląc się przed atakiem, Indy rzucił się do tyłu. Uderzył głową o poprzeczną belkę kamiennego portalu w głębi niszy. Portal był niewysoki - miał około półtora metra. W ciemnościach za ołtarzem Indy nie dostrzegł go wcześniej. Najważniejsze, że przejście było za małe, by wąż mógł się przez nie przecisnąć.

Ale upłynęła chwila, zanim Indy to sobie uświadomił. Uderzenie w tył głowy niemal pozbawiło go przytomności i przez kilka minut Indy siedział w nowo odkrytym przejściu. Miał mdłości, a przed oczami wirowały mu plamy światła. Dotknął tyłu głowy i poczuł krew.

Uśmiechnął się jednak, myśląc o tym, ile ma w życiu szczęścia.

Wziął pochodnię i podniósł się z trudem, by zbadać nowe miejsce i uciec jak najdalej od wściekłego syczenia dochodzącego z drugiej strony portalu. Strop był niski i Indy, posuwając się krok po kroku, musiał przez cały czas być pochylony.

Nagle korytarzyk skończył się.

Na jego końcu nie było ani kolejnych drzwi, ani ściany, ani też przepaści. Była tam jakaś chmura tak ciemna, że nieprzenikniona; jakby złowroga próżnia, której światło pochodni nie było w stanie rozproszyć. Przeciwnie, zdawało się, że ciemność wchłania światło, nie dając nic w zamian. I rosła. Albo po prostu zbliżała się do Indy'ego.

Indy zaczął szukać w korytarzu jakichś drzwi czy niszy, w której mógłby się ukryć lub jakiegokolwiek drogi ucieczki przed tym *czymś*, co miał przed sobą oraz wściekłym, potężnym gadem czyhającym za jego plecami.

Nie było nic.

Indy przełożył pochodnię do lewej ręki, po czym wyciągnął palce prawej dłoni. Ostrożnie dotknął chmury. Jego ręka zniknęła w próżni, ale nie poczuł niczego. Nie czuł nawet, jak palce wbijają mu się w śródrezcze, gdy zwinął dłoń w pięść.

Szybko wyciągnął rękę. Z ulgą zobaczył, że wszystko jest na swoim miejscu.

Zerknął za siebie, a potem znowu na korytarz. Miał trzy wyjścia z sytuacji. Dwa skazywały go na pewną śmierć: śmierć głodową w podziemiach świątyni lub zmiżdżenie w uścisku ogromnej anakondy. Ale

choć trzecia możliwość jedynie sugerowała nieszczęśliwe zakończenie, nie obiecując go z całą pewnością, Indy wahał się, czy wybrać to rozwiązanie. Gdy chmura zaczęła otaczać go jedwabistymi wąsami, płomień pochodni przygasł i zasyczał. Indy bał się, że jeśli nie przecisnie się na drugą stronę chmury, ta zdusi go tak jak płomień. Wziął głęboki oddech i ruszył naprzód.

Nagle znalazł się w pełnym słońcu.

„Musiałem uderzyć się w głowę mocniej niż myślałem,” powiedział do siebie Indy, rozcierając kark i mrużąc oczy oślepienie blaskiem dnia. Zamknął oczy i znowu je otworzył.

Gdy jego wzrok przywykł do światła, zobaczył dookoła zarysy miasta Cozan. Indy klęczał na najniższym stopniu schodów prowadzących do Świątyni Węża. W pobliskich drzewach śpiewały ptaki i skakały małpy. Gdzieś zaryczał jaguar.

Ale to nie było to samo miasto, które odkrył Indy - tym razem była to tętniąca życiem, młoda metropolia. Na ulicach było pełno ludzi, którzy chodzili w cieniu budynków, które Indy pamiętał jako sterty gruzów pośród gęstej dżungli. Teraz były to wspaniałe budowle z piaskowca ozdobione dwiema barwami - zielenią i terrakotą. Jednak ruiny, które widział Indy wskazywały na istnienie większej liczby budynków niż te, które miał teraz przed oczami. Za nim wznosiła się Świątynia Węża, ale była mniejsza - znacznie niższa, o mniejszej liczbie kondygnacji niż przypominał sobie Indy.

Indy zszedł po schodach i stanął na kamiennych płytach głównej, ruchliwej ulicy. Choć gapił się na przechodzących obok ludzi - krzepkich, o ciemnej, brązowej skórze, ubranych głównie w tuniki z włókien agawy - żaden z mieszkańców nie odwzajemnił jego spojrzenia.

Wielu z nich w pośpiechu kupowało kukurydzę, owoce i nadziane na szpikulce mięso na pokrytych strzechą straganach poustawianych po obydwu stronach ulicy. Inni zdawali się niespokojnie na coś czekać. Od czasu do czasu popatrywali w niebo lub na swoje coraz krótsze cienie, czyniąc to z takim samym wyrazem twarzy jak biznesmen z Wall Street spogląda na zegarek.

Słońce stało już niemal w zenicie.

Cokolwiek miało nastąpić, nie było wątpliwości, że stanie się to w samo południe.

Chociaż tutaj w brytyjskim Hondurasie należało spodziewać się Majów, zastanawiał się Indy, ci ludzie mieli ostrzejsze łysy Azteków ze środkowego Meksyku. Ale nie było żadnych charakterystycznych cech kultury azteckiej. Indy nie rozpoznawał języka mieszkańców miasta Cozan, wiedział jednak, że z pewnością nie jest to *nahuatl*, język, jakim posługiwali się Aztekowie. Głównym motywem płaskorzeźb zdobiących budowle w mieście była stylizowana spirala rozwijająca się na prawo. Mogła wyobrażać konchę muszli, pomyślał Indy, a może gwiazdę lub kometę. O historii miasta Cozan nic nie wiadomo, poza tym, że było niegdyś potężne i że zostało opuszczone przez mieszkańców z powodu jakiegoś nieszczęścia. Tyle tylko przekazywały podania ludowe - nic więcej. Indy zawsze wątpił w istnienie miasta, dopóki w gąszczu dżungli nie trafił na jego ślad.

Cozan - nazwa miasta, została zapożyczona z szesnastowiecznego przekładu niezrozumiałego zwrotu w języku Majów, w którego hiszpańskiej wersji dominowało słowo „*corazon*” - „serce”. Czasami interpretowano go jako „*del mai corazon*”, czyli „bez serca”, inni byli zwolennikami przeciwstawnego tłumaczenia. Tak czy inaczej, najbliższy zdawał się zwrot „serce zła”.

Wojownicy, których wszędzie było pełno, nosili u boku obsydianowe miecze, a na ramionach groźnie wyglądające proce wykonane z gałęzi dębu. Spacerowali po głównej arterii dwójkami, zatrzymując się od czasu do czasu, by zwrócić uwagę sprzedawcy lub kupującemu, by kończyli interesy, gdyż za chwilę rozpocznie się ceremonia.

Indy zauważył, że różnice społeczne nie sprowadzały się do podziału na wojowników i cywili. Inna klasa obejmowała co najmniej trzecią część obywateli. Ich twarze były pokryte niebieskim pudrem, co sprawiało, że wyglądali raczej jak duchy, stąpające za swoimi panami i paniami. Mieli puste oczy, pozbawione nadziei i Indy domyślił się dlaczego: niebieski to kolor ofiary.

Indy często miał do czynienia ze szczątkami ludzi składanych w ofierze. Poza nielicznymi wyjątkami zawsze wydawało się, że poświęcali się dobrowolnie dla dobra współplemieńców. Złożenie w ofierze następowało często po roku, podczas którego ochotnicy ci byli traktowani jak bohaterowie i składano im hołdy królewskie. Nawet gdy mieli związane na plecach ręce lub gdy na kręgach szyjnych spoczywała pętla, wiele świadczyło o tym, że poddawali się dobrowolnie temu, co ich spotyka. Tym razem niewolnicy, których widział, najwyraźniej jeńcy wojenni, bynajmniej nie czekali z niecierpliwością, by poświęcić się dla ludzkości.

– Przepraszam - mówił Indy, chodząc od jednego obywatela do drugiego. - Mogę zająć minutkę? - Najwyraźniej żaden z zaczepianych ludzi nie widział go ani nie słyszał.

Indy wyciągnął rękę i dotknął przechodzącego wojownika. Mężczyzna uskoczył, jak gdyby ugodzony w ramię w miejscu, którego dotknął Indy. Przekonany, że to ukąszenie owada, mężczyzna machnął ręką przed nosem Indy'ego, jakby opędzał insekty, po czym ruszył dalej.

Nagle, na dźwięk trąbki wykonanej z konchy muszli, ciżba rozpięzchła się na boki, robiąc przejście środkiem ulicy. Niewolnicy o niebieskich twarzach padli na kolana i dotknęli czołami ziemi. Wojownicy stali na baczność, trzymając w gotowości zakończone obsydianowymi grotami włócznie.

W stronę piramidy szedł tyłem szaman, zamiatając ulicę gałęzią. W drugiej ręce trzymał buzdygan zrobiony z ludzkiej kości udowej, na której końcu przymocowano gładki rzeczny otoczek. Poza przepaską na biodrach był nagi. Skórę miał starannie wytatuowaną w spirale rozwijające się na prawo - symbol tutejszej społeczności, jak zdążył już zauważyć Indy. Czarownik miał na twarzy ponurą maskę zrobioną z przedniej części ludzkiej czaszki, ozdobioną jadem i obsydianem. Z czoła i otworu nosowego wystawały dwa złowrogi, cienkie i ostre kawałki krzemienia.

Ten potwór, skrywający człowieka, rzucał się co chwila na tłum, wymachując buzdyganem. Ludzie cofali się, przerażeni. Niezależnie od tego, kogo miał odgrywać czarownik - boga śmierci czy zniszczenia - Indy zauważył, że zgromadzeni ludzie wierzą, że jest to postać autentyczna.

Indy poklepał szamana po ramieniu. Obserwował z zadowoleniem, jak czarownik odskakuje, zaniepokojony tym objawem *prawdziwej* magii. Zamachał wściekle buzdyganem w kierunku Indy'ego, ale nadal kroczył ku świątyni.

Za szamanem podążała grupa kapłanów. Ubrani byli w bawełniane tuniki barwione na zielono i na kolor terrakoty, przyozdobione tutejszymi spiralami. Kapłan idący w środku trzymał dębową skrzynką wielkości kapelusza.

Za kapłanami podążali niewolnicy niosący lektykę, w której siedziała uderzająco piękna kobieta. Ubrana była w prostą bawełnianą suknię i nie miała na sobie biżuterii ani żadnego innego symbolu określającego jej

pozycję społeczną. Była wysoka, miała około metra osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. Mięśnie rąk i nóg miała rozwinięte jak sportsmenka. Patrząc na jej gładkie czarne włosy, szeroką twarz i lśniące zielone oczy, Indy miał wrażenie, że jest podobna do jaguara.

Gdy lektyka mijala Indy'ego, zdawało się, że ich oczy spotkały się.

Przez chwilę Indy był przekonany, że kobieta go spostrzegła. Wyglądała na zdumioną i zaniepokojoną. Wyprostowała się i spojrzała przez ramię na miejsce, gdzie stał obcy. Tym razem jednak nie dostrzegła go w tłumie.

Za lektyką ciężkim krokiem szło pół tuzina niewolników o niebieskich twarzach prowadzonych przez grupę żołnierzy. Były tam kobiety i mężczyźni, ludzie starzy i młodzi. Stopy mieli skrupowane liną, która pozwalała im chodzić, ale nic więcej. Gdy tak się posuwali, szurając nogami, ciżba ciskała w nich odpadkami i obrzucała ich wyzwiskami. Wypychano dzieci, by wychodziły do przodu i waliły jeńców kijami. Robiły to z radością, po czym uciekały i chowały się u nóg matek.

Kiedy procesja dotarła do stopni piramidy, niewolnicy ostrożnie postawili lektykę na ziemi. Królowa zeszła z tronu z gracją i zwinnością dużego kota i podeszła do schodów. Ruszyli za nią kapłani i pozostali ludzie. W końcu wszyscy mieszkańcy miasta zaczęli napływać ku piramidzie. Indy podążał wraz z tłumem. Kiedy był już na szczycie, stwierdził ze zdumieniem, że wcale nie ma tam świątyni, lecz jest to miejsce zebrań ze świętą studnią. W ciągu kolejnych dwudziestu czy trzydziestu stuleci piramida miała wznosić się coraz wyżej, zaś to miejsce, w którym znajdował się teraz Indy miało stać się stawem w podziemiach Świątyni Węża.

Wysoki kapłan postawił drewnianą skrzynkę na kamiennym ołtarzu i wyjął z niej kryształową czaszkę. Wyglądała dokładnie tak jak tego dnia, kiedy Indy ją odnalazł. Kapłan podniósł czaszkę do góry, zgromadzeni

odwrócili oczy, gdy promienie słońca skupiły się w pryzmatach na dnie oczodołów czaszki i wystrzeliły tęczowymi strumieniami światła ponad głowami tłumu. Jedynie królowa - i, oczywiście, Indy - nie odwrócili wzroku. Potem kapłan zaczął monotonicznie wypowiadać rytualne formułki. Indy zorientował się, że opowiada dzieje czaszki. Szaman w masce zaczął odgrywać pantomimę. Chociaż Indy nie rozumiał ani słowa z recytacji, obserwując ruchy szamana zorientował się, że ludzie znaleźli czaszkę pewnego dnia w dżungli, prawdopodobnie na dnie jakiejś świętej studni lub w grocie zasłanej prastarymi szczątkami ludzkich ofiar. Najwyraźniej od tamtej chwili czaszka stała się wśród tego ludu obiektem kultu - religii podboju i wojny oraz nienasyconego apetytu na ofiary z ludzi.

Faszyści, pomyślał Indy. Nienawidzę tych gości.

Kiedy kapłan skończył recytację, inny zabrał z ołtarza drewnianą skrzynkę i postawił na tym miejscu kryształową czaszkę, która wpatrywała się w święte źródło. Kiedy najwyższy kapłan zaczął nucić świętą pieśń, królowa z dostojeństwem weszła do wody i rozpostarła ramiona. Bawełniana suknia owijała się wokół jej ciała. Gdy woda sięgała jej już do piersi, zatrzymała się i położyła ręce na głowie.

Coś poruszyło się w wodzie obok kobiety.

Dwie anakondy owinęły się wokół jej piersi i wystawiły łby na powierzchnię. Nie były tak duże jak często bywają anakondy - miały po około trzy i pół, cztery metry - ale Indy przez cały czas nasłuchiwał, czy nie rozlegnie się trzask żeber, gdy gady zaczną zadawać kobiecie śmierć.

Ale anakondy owinęły się spokojnie wokół piersi królowej niczym dwa oswojone koty. Kobieta rozchyliła wargi i mrugała powiekami w stanie religijnej ekstazy.

Nagle gady opuściły królową i popłynęły do przeciwległego brzegu stawu, gdzie klęczeli niewolnicy przeznaczeni na ofiarę. Nad nimi stali

wojownicy z wymierzonymi w jeńców dzidami o obsydianowych grotach.

– Hej - zawołał Indy, zbliżając się do nich. - Wstańcie! Uciekajcie stąd! Przynajmniej spróbujcie uciekać.

Wyciągnął webleya, wymierzył starannie w łeb większego gada i wypalił. Broń szczęknęła, ale kula nie wyrządziła żadnej szkody. Indy wystrzelił pozostałe naboje z magazynka, ale tylko plusk wody świadczył o tym, że w ogóle użył broni.

Węże zabrały się za najbliższą z ofiar. Wpełzły po nogach mężczyzny i owinęły się wokół jego podbrzusza. Dygotał z przerażenia, kiedy wyciskały z niego życie. Kiedy z nim skończyły, wtoczyły ciało do świętego stawu. Potem zabrały się za następną ofiarę, powtarzając ten sam rytuał.

– Walcz! - krzyknął Indy. - Dlaczego nie walczysz?

W środku rzędu niewolników klęczała mocno zbudowana kobieta o ustach spuchniętych od pobicia. Głowę miała opuszczoną, ale spod półprzymkniętych powiek obserwowała zbliżające się węże. Indy widział, jak kobieta bierze głęboki oddech, jak napina mięśnie nóg i rąk. Gdy odwróciła się i wbiła kolano w krocze stojącego nad nią strażnika, krzyknął, by zachęcić ją do działania.

Wojownik syknął z bólu, zaś dziewczyna wyrwała mu obsydianowy miecz. Chwyciła broń w obydwie dłonie, po czym zamachnęła się i niemal odcięła strażnikowi głowę. Gdy ciało runęło na ziemię, dziewczyna wydała z siebie okrzyk wojenny tak przerażający, że z pobliskich drzew poderwały się ptaki.

Przecięła więzy krępujące jej kostki. Ale zamiast rzucić się po schodach do ucieczki, by odzyskać wolność, zwróciła się w stronę wysokiego kapłana. Wbiła ostrze w jego brzuch, a potem wskoczyła do stawu i szybko zbliżała się do królowej. Mimo że słońce schowało się już za chmurami, kryształowa czaszka lśniła jeszcze mocniej niż poprzednio.

Królowa uśmiechnęła się i otworzyła ramiona, jak gdyby chciała uściskać dziewczynę.

Nagle pół tuzina kamieni wielkości piłki baseballowej wystrzelonych przez wojowników z proc uderzyło dziewczynę. Każdy kamień miażdżył jej kości w miejscu, które ugodził: plecy, żebra i lewą rękę. Ale mimo obrażeń, dziewczyna sunęła naprzód, trzymając miecz w drugiej ręce.

Już miała spuścić miecz na głowę uśmiechniętej królowej, ale ostatni kamienny pocisk trafił w podstawę jej czaszki. Dziewczyna padła martwa. Miecz wpadł do wody. Leżała w wodzie twarzą do dołu, a wokół jej głowy rosła plama krwi.

Indy odwrócił się.

Kryształowa czaszka lśniła tak jasno na kamiennym ołtarzu, że zdawało się, iż płonie. Nagle szczeka opadła i z ust czaszki zaczęła wypływać czarna mgła.

Obraz przed oczami Indy'ego zamazał się. Otoczyła go chmura.

Gdy odzyskał wzrok, stał przed ruinami Świątyni Węża. Dżungla znowu była panią tego miejsca. Ale na ziemi u stóp Indy'ego leżał granitowy kamień wielkości piłki do baseballa, pokryty włosami i świeżą krwią.

Epilog.

Znalazł profesora w Quadrangle. Mężczyzna siedział w słońcu na ławce i jadł kanapkę. Był dopiero po pięćdziesiątce, ale widać już było na nim oznaki starzenia się. A może zawsze taki był. Jego siwiejące włosy były zmierzwione, ubranie wygniecione i źle dobrane, a kiedy założył nogę na nogę, Indy dostrzegł, że profesor nie nosi skarpetek. Powoli jadł kanapkę, a jego niewidzące oczy były utkwione w dachach i wieżyczkach Uniwersytetu Princeton.

Indy, z kapeluszem w rękach, stał niespokojnie kilka metrów od ławki, nie chcąc zakłócać zadumy profesora. Ale pełne wyczekiwania, zmartwione spojrzenie Indy'ego przyciągnęło uwagę starego belfra.

– Proszę usiąść - powiedział w końcu profesor. Machnął ręką i spojrzał na przybysza. - Będzie pan tak stał przez cały dzień, czy zamierza pan powiedzieć w czym rzecz?

– Nie chciałem przeszkadzać - odparł nieśmiało Indy.

– A myśli pan, że takie gapienie się wcale nie przeszkadza?

– Proszę mi wybaczyć. To było niegrzeczne.

Odwrócił się, żeby odejść.

– Proszę zaczekać - powiedział starszy pan. - Niech pan usiądzie. Obawiam się, że teraz to ja jestem niegrzeczny. Co pana gryzie? Mam nadzieję, że coś interesującego. A może jest pan tylko łowcą autografów? Zupełnie nie rozumiem, skąd u Amerykanów ta obsesja sławy.

– Nie, panie profesorze - odparł Indy. Usiadł na ławce, wciąż trzymając w rękach kapelusz. - Nie przyszedłem do pana po autograf ani po zdjęcie, ale po radę.

– Po radę - powtórzył profesor i zachichotał. - Ostatnio wszyscy przychodzą do mnie po radę. Obawiam się, że zwrócił się pan do

niewłaściwej osoby. Oskarża się mnie, że jestem oderwany od rzeczywistości, za bardzo zatapiam się we własnych myślach i poświęcam światu zbyt mało uwagi. Wie pan, o czym właśnie myślałem? O tym, jakie piękne są chmury i o tym, jak wpatrywałem się w nie przez szkolne okno podczas lekcji, kiedy byłem dzieckiem.

– Lubił pan szkołę?

– Nie znosiłem - odparł profesor, machając pogardliwie ręką. - Chciałem szybować w chmurach. W szkole było nudno. Wszystko było poszufladkowane i wysysano z młodych umysłów wszelką myśl. Byłem bardzo nieszczęśliwym chłopcem. To wstyd, że postępujemy tak z naszą młodzieżą.

Indy uśmiechnął się.

– Rada, o którą chciałem pana prosić - odezwał się - nie jest natury praktycznej.

– Czy my się znamy?

– Tak. Wykładał tu archeologię. Nazywam się Jones i spotkaliśmy się już kilka razy. Przedstawił mnie mój przyjaciel, Marcus Brody.

– Przykro mi, ale nie pamiętam - powiedział profesor.

– Nie wątpię, że ma pan ważniejsze sprawy na głowie.

– Na przykład chmury - odparł profesor z figlarnym uśmiechem. Skończył kanapkę, strzepnął z dłoni okruchy, po czym sięgnął do woreczka na drugie śniadanie. Wyciągnął jasnoczerwone jabłko i podał je Indy'emu.

Indy był głodny. Położył kapelusz na ziemi między stopami. Potarł jabłko o nogawkę spodni, przez chwilę wpatrywał się w lśniącą skórkę owocu, po czym wbił zęby w jego miąższ.

– O jaką to niepraktyczną radę chciałby pan prosić?

– Chodzi o czas - wymamrotał Indy, wierzchem dłoni ocierając sok z kącika ust. - Dlaczego tak się dzieje, że zawsze mamy „teraz”? Czy

możliwe jest cofnięcie się w przeszłość albo wybiegnięcie w przyszłość?
Czym dokładnie jest czas?

Profesor uśmiechnął się.

– Czas - odpowiedział - to zjawisko, które odmierzamy przy użyciu zegara.

Indy czekał cierpliwie na dalsze wyjaśnienia.

– Tylko tyle? - zapytał, gdy uświadomił sobie, że profesor skończył wypowiedź.

– Chce pan czegoś więcej?

– Nie wiem - powiedział Indy. - Chyba chcę odpowiedzi. W końcu jest pan światowej sławy ekspertem.

Mężczyzna zachmurzył się.

– Los spłatał mi takiego figla - stwierdził. - Przez całe życie kwestionowałem autorytety, a teraz okazuje się, że ja sam stałem się autorytetem.

Indy był rozczarowany.

– Miałem nadzieję, że uzyskam od pana... potwierdzenie - powiedział. - Mam za sobą niezwykle doświadczenia, przy których cuda wydają się możliwe. Nawet podróż w czasie.

– I chce pan teraz, żebym utwierdził pana w przekonaniu, iż nie brakuje panu piątej klepki - skwitował profesor. - Ale nie mogę panu pomóc. Jestem tylko naukowcem, takim samym człowiekiem jak pan. Odpowiedzi, jakich szukasz, synu, są w tobie.

Indy skinął głową.

Profesor uśmiechnął się.

– Jedną z najbardziej niepojętych rzeczy we wszechświecie - stwierdził profesor - jest to, iż w końcu potrafimy go zrozumieć. Wciąż jeszcze tkwimy w dzieciństwie, ale w miarę wzrostu naszego zrozumienia, rośnie

także nasza odpowiedzialność. Wszyscy podróżujemy w czasie, doktorze Jones. Żyj w teraźniejszości, patrz w przyszłość, ale zawsze pamiętaj o przeszłości. I nigdy nie zapomnij słuchać swojego serca.